

SEZAM  
Stanisław Lem

**SPIS TREŚCI**

Topolny i Czwartek.....	3
Kryształowa kula.....	38
Sezam.....	72
Electric Subversive Ideas Detector.....	87
Klient Panaboga.....	100
Hormon agatotropowy.....	112
Dzienniki gwiazdowe Ijona Tichego.....	143

## **TOPOLNY I CZWARTEK**

### **I. ZACZAROWANIE TOPOLNEGO**

Pośród rozległej równiny mokotowskiej, otoczony zagajnikami rzadkich sosenek, rozpościera się na przestrzeni kilkuset hektarów Instytut Chemii Jądrowej Polskiej Akademii Nauk i Uniwersytetu Warszawskiego. Budynki poprzedzielane żywopłotami i kępami sztucznie zasadzonych lip dochodzą pięcioma grupami do brzegu uregulowanej Wisły. Rozpoczyna się tu autostrada biegnąca bulwarami nadrzecznymi, która kilka kilometrów dalej przechodzi w główną arterię warszawską Północ - Południe. Okolica jest cicha i bezludna;

dopiero z wyższych pięter budynków widać półksiężycem rozrzucone wилjki kolonii uniwersyteckiej, a dalej, na horyzoncie wystają nad sinawy rąbek dymów smukłe wieżowce śródmieścia z centralną sylwetką Pałacu Nauki.

Najbliżej Wisły, odosobniony od innych zabudowań, leży bezokienny kloc betonowy, w którym mieści się główny stos atomowy Instytutu. Przysadzista budowla jest do połowy wpuszczona w ziemię; z tyłu dochodzą do niej wielkie rurociągi. Krąży w nich woda chłodząca reaktory, podawana pod ciśnieniem ze stacji pomp na pochyłej skarpie wiślanej. Za betonowym graniastosłupem stosu wznosi się widoczny już z daleka, podobny do masztu, podtrzymywany systemem rozpiętych szeroko lin stalowych czterystumetrowy komin. Podziemne sprężarki wyrzucają przezeń w najwyższe warstwy atmosfery radioaktywne gazy wytwarzane w stosie, by nie mogły wyrządzić szkody mieszkańcom okolicznych osiedli. Tam gdzie stare lipy rosną najgęściej, widnieją płaskie dachy budynków laboratoryjnych; szerokie aleje dochodzą kolejno do budynku Chemii Jądrowej, Oddziału Promieni Kosmicznych i wreszcie do Laboratorium Syntezy Nukleonowej. Gmach Laboratorium jest siedzibą jednego z największych na świecie kosmotronów, urządzeń do nadawania wysokiej energii cząstkom atomowym. Budynek ten otaczają otwarte stacje transformatorów, do których dochodzi linia wysokiego napięcia.

Było sobotnie popołudnie wczesnej w tym roku i dżdżystej jesieni. Gmachy Instytutu opustoszały już, w wielkich salach laboratoriów panowała cisza. Aleją pustego o tej porze parku szedł szybkim krokiem jeden z asystentów profesora Siołły, magister fizyki Toporny.

Był to młodzieniec dwudziestoczteroletni, lnianowłosa, jasnooki i bez zarostu, czym się skrycie trapił, gdy miał na to czas. Dziecinnie błękitne spojrzenie usiłował przygasać wielkimi okularami w czarnej ramce; studenci twierdzili, że było w nich zwyczajne szkło okienne. Na kimś, kto go widział po raz pierwszy, robił wrażenie człowieka, który właśnie przed chwilą dowiedział się jakiejś rzeczy całkiem niesłychanej i nie może dojść z nią do ładu, w istocie był to jego normalny wygląd.

W Topolnym żyły jak gdyby obok siebie dwie natury, w rozmaitych okresach to jedna, to druga brała górę.

„Pierwszy Topolny” wytworzył sobie pewien ideał uczonego i ze wszech sił starał się w niego wcielić. W tym celu planował tryb życia na całe lata naprzód; układał harmonogramy studiów, nauki obcych języków i nawet rozrywek; nie podejmował niczego, nie poradziwszy się wprzód grubego terminarzyka przewidującego podział godzin każdego dnia. Przeczytane książki odfajkowywał na specjalnej liście i wciągał do umyślnie założonej kartoteki, a ściany swego pokoju zawieszał wykaligrafowanymi powiedzeniami wielkich ludzi i cennymi

hasłami nawołującymi do systematyczności. Całą tę pedanterię narzucał sobie, uważał bowiem, że ma słabą wolę i pragnął zrekompensować ów mankament „protezą charakteru”, jak nazywał swój system. Studenci powiadali, że wyznacza sobie czas nawet na choroby i raz omal nie zginął od nie zaplanowanego kataru.

Ten „pierwszy Topolny”, pedantyczny i nieśmiały, skłonny do zapatrzeń, milkliwy i gorliwie wypełniający liniowane arkusze znaczkami stenografii własnego pomysłu, od czasu do czasu ginął gdzieś i na jego miejsce pojawiał się jak gdyby nowy człowiek. Działo się tak, ilekroć młodzieńca zafascynował jakiś problem. Przemieniał się wtedy jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Podziały godzin i kartoteki pokrywały się kurzem, hasła obrastały pajęczyną, a on, który przedtem rumienił się jak panienka przemawiając publicznie i pierwszy przeproszał, gdy mu w tramwaju nastąpiono na nogę - stawał się bezwzględny, ślepy i głuchy wobec otoczenia; nie cofał się przed niczym, gdy szło o zgłębienie pasjonującego go tematu, gotów był w środku nocy budzić telefonem znakomitych uczonych, kiedy przyszło mu do głowy jakieś pytanie, a pragnąc kupić dzieło, na które nie miał akurat pieniędzy, wyprzedawał, co wpadło w rękę: garderobę, płaszcz, nie oszczędzał nawet aparatu do golenia, który „pierwszy Topolny” otaczał pełną szacunku opieką w oczekiwaniu upragnionej chwili, gdy poczną mu się sypać wasy.

Kiedy wielka namiętność wygasła, Topolny przeżywał okres gorzkich wyrzutów sumienia, po czym odkurzał kartoteki, z pierwszej pensji odkupywał aparat do golenia i z gorliwością nawróconego grzesznika wracał do zaniedbanych harmonogramów - aż do następnego „zaczarowania”.

Podobne do opisanych przemiany zdarzały się z nim już w czasie studiów. Siłą rzeczy tematy, jakie go wtedy urzekały, były błahe, nie obyło się nawet, co prawda jeszcze na pierwszym roku studiów, bez próby skonstruowania perpetuum mobile.

Ostatnią jego pasją był napęd rakiet kosmicznych energią atomową przy użyciu pierwiastka rozpadającego się asymetrycznie. Po pięciu miesiącach kopania się w książkach, po wielu bezsensownych nocach i gorących dysputach z profesorami i kolegami ogłosił w końcu Topolny w fachowym piśmie niewielką rozprawkę, w której udowodnił, że pomysł jego jest całkowicie nierealny.

Specjaliści których praca ujęła ścisłością rozumowania i obszerną znajomością przedmiotu, przyjęli ją życzliwie, opinia zaś Studencka - to krzywe zwierciadło życia uniwersyteckiego - zareagowała natychmiast we właściwy sobie sposób Topolny awansował w niej na „największego negatywnego badacza epoki”, to jest odkrywcę wszelkiego rodzaju absolutnych niemożliwości.

W ten pochmurny, mglisty dzień sobotni Topolny spieszył na konferencję naukową, jedną z tych, jakie profesor Siodło urządzał dla swoich współpracowników, dzieląc się z nimi najnowszymi wynikami badawczymi, o jakich donosiła literatura fachowa całego świata.

Młodzieniec był przykładowie już od szeregu miesięcy i chwilami gam był niemal z siebie zadowolony, co zdarzało mu się rzadko. Bliżsi jednak koledzy, szczególnie zaś inny asystent Siołły, magister Czwartek, obserwowali wzorowe sprawdzanie Topolnego ze skrytą podejrzliwością, do czego uprawniały ich jego dawniejsze metamorfozy.

Gdy Topolny wszedł do gabinetu Siołły, profesor zmywał właśnie, gąbką ustawioną w kącie tablicę gotując się do wykładu pokój urządzony był zarazem wygodnie i skromnie, półki z książkami, biurko obciążone stosami czasopism i podręczne segregatory służyły pracy naukowej na równi z puszystym dywanem i głębokimi fotelami; na ścianach pomiędzy wykresami pochłaniania neutronów, wisiały barwne reprodukcje obrazów Breughla i Cezanne'a. Ledwo Topolny znalazł wolne miejsce obok Czwartka i usiadł, Siołło zabrał głos.

Czwartek był przedmiotem cichej i starannie skrywanej zazdrości Topolnego. Już samym wyglądem zdawał się zdradzać wysoką abstrakcyjność obranej przez siebie dyscypliny naukowej. Bardzo wysoki, chudy, z opadającymi ramionami, na bladej, nieruchomej twarzy nosił stalowe okulary. Ciemnooki i ciemnowłosy, ubierał się też czarno, przez co, jako specjalista od energetyki jądra atomowego, zaskarbił sobie u studentów przydomek „jądrowego mnicha”. W przeciwieństwie do Topolnego, który stale grzązał w rozmaitych spekulacjach i wątpliwościach, Czwartek wiedział wszystko z zupełną pewnością; talentem matematycznym górował nad Topolnym, który ku swemu pożałowaniu nieraz na ćwiczeniach mylił się w najprostszych działaniach i studenci musieli go poprawiać. Także pamięć miał w przeciwieństwie do Topolnego niezawodną; nie używał też żadnych terminarzy, harmonogramów ani wykresów, albowiem systematyczność samorodnie wynikała z jego charakteru. Czwartek lubił Topolnego i przyjaźnił się z nim, lecz traktował go z drobną domieszką pobłażliwości. Wszystkie różnice ich charakterów jak w soczewce skupiały się wyraziście w ich stosunku do fizyki.

Czwartek dobrze wiedział, czemu ją właśnie obrał za swą specjalność. Uważał ją za królową nauk, bo stanowiła najpotężniejsze ludzkie narzędzie władania materialnym światem. Pociągał go ład jej wielkich teorii, doskonałych przez swą precyzję. Każdy spór mógł tu być bezapelacyjnie rozstrzygnięty przez odwołanie się do ich krystalicznych konstrukcji i doświadczenia. Zarazem była fizyka źródłem radości czysto intelektualnej, wynikającej ze swobodnego ogarniania umysłem wielkich zawitych całości. Problemy jeszcze nie rozwiązane były dlań jakby dziedziną ciemności w przeciwieństwie do światła prawd już

odkrytych; był przekonany, że w przyszłości i ona ulegnie rozumowi, lecz ta kraina mroku nie stanowiła dla niego źródła żadnych wzruszeń; nie fascynowała go ani nie wydawała mu się tajemnicza. Nieznane - to było jeszcze nie zbadane, nic więcej.

Stosunek Topolnego do fizyki najlepiej może dałoby się porównać do postawy nieustannie odrącanego i nieznużenie ponawiającego swe próby nieszczęśliwie zakochanego. Wobec istniejących teorii pełen był podejrzliwości i niedowiarstwa; jednocześnie odnalezienie w nich miejsc słabych zamiast dawać satysfakcję odkrycia, zasmucało go jak poznanie wad kogoś drogiego. Problem zaś nieznan, jeśli go napotkał, wciągał go w siebie i wchłaniał z nieodpartą siłą, dostarczając tyleż intelektualnego wysiłku rozumowi, co cierpienia sercu. Fizyka teoretyczna to była jego sprawa prywatna i niezmiernie osobista, jak każda wielka miłość. Nie mógł zakazać sobie myślenia o niej, jak nie-sposób usunąć z wyobraźni obrazu ukochanej. Podczas kiedy Czwartek wiedział wszystko tak dobrze, jemu zdawało się czasem, że właściwie nie wie nic. Były chwile, kiedy po bezsennej nocy zginał w kule i rwał zapisane arkusze niby listy ze złymi wieściami, i chwile, w których zmęczony do ostateczności daremnymi próbami pochwylenia i zrozumienia, raz jeszcze zbity z tropu, oszukany, odrącony, siedząc nad pokreślonymi kartkami, ronił na nie łzy - nie łzy dziecka, lecz mężczyzny; o tym jednak nie wiedział nikt.

W dniu tym Siołło zwawszy był niż zwykle i jego temperament dobrego wykładowcy błyszczał w całej pełni. Opowiedziawszy o nowych wynikach Francuzów w dziedzinie badania promieni kosmicznych, zakończył rzecz „dowcipem i odczekawszy wybuch śmiechu obecnych, przyglądał się im z wyrazem twarzy jednocześnie zafrasowanym jakby i filuternym. Potem odezwał się:

- Mam tu ostatni numer Physical Review, w którym jest nowa praca Thurstone'a i Wringa... Jak wiecie, pół roku temu Garrahad, Tombey i Seitz stworzyli w Berkeley superciężki pierwiastek, któremu nadali nazwę syntetium. Thurstone i Wring zajęli się tym właśnie ciałem i doszli do rezultatów godnych uwagi... Jak stwierdzili ci badacze, z ogólnej teorii budowy jądra atomowego wynika, że gdyby udało się połączyć jądro atomu syntetium z jądrem atomu węgla, powstanie nie znany dotąd superciężki pierwiastek transuranowy o nowych, niezwykle doniosłych własnościach. Ten hipotetyczny pierwiastek, który Wring nazywa stellar, w zwykłych warunkach jest ciałem trwałym. Natomiast podgrzany do temperatury stosunkowo niskiej, to jest do dwóch tysięcy stopni, zaczyna się rozpadać wydzielając energię jądrową. Regulując dopływ ciepła można by kierować tym procesem z nie znaną dotąd precyzją. Dość jest ochłodzić stellar poniżej 2 000 stopni, a rozpad się zatrzyma, by rozpocząć się przy ponownym podgrzaniu. Trudno wyobrazić sobie, jakie

znaczenie miałyby wytworzenie stellaru na skalę przemysłową. Mielibyśmy w nim pierwiastek zdolny zaspokajać energetyczne potrzeby kuli ziemskiej na nieograniczony przeciąg czasu. Promieniowanie wydzielane przez rozpadający się stellar jest, jak wynika z teorii, stosunkowo mało szkodliwe biologicznie, więc silniki stellarowe znalazłyby najszersze zastosowanie, poczynając od statków oceanicznych i rakiet, a kończąc na maszynach do szycia. Dość byłoby wkładać do tych silników raz na parę lat drobną pigułkę stellaru, by zapewnić ich bieg nieustanny...

Siołło zrobił przerwę i bystro spojrzął na zebranych. Widząc, że słuchają go z najwyższym napięciem, uśmiechnął się i rzekł:

- Dziwicie się pewno, jak to może być, że Amerykanie, tak skryci, gdy chodzi o sekrety atomowe, okazali nagle podobną wylewność? Rzecz jest prosta. Thurstone i Wring po długim badaniu doszli do wniosku, potwierdzonego przez szereg sław fizycznych, że stellaru nie da się w rzeczywistości nigdy wytworzyć...

- Dlaczego, profesorze? - spytał ktoś ochryłym z emocji głosem. W zaległej ciszy Siołło podszedł do tablicy i zaczął pisać, mówiąc jednocześnie:

- Dlaczego? Jak tutaj widzicie, stellar powstaje przez połączenie karb 10nu, to jest jądra węgla, z jądrem syntetu. Tak się to przedstawia na tablicy, a jakby wyglądało w praktyce? Do tego, żeby z dwu zderzających się jąder powstało jednolite jądro nowego pierwiastka, potrzeba pewnego czasu, rzędu jednej trylionowej sekundy. Tak więc, żeby powstał stellar, karbion musi wniknąć do jądra syntetu i pobyc w nim co najmniej przez taki czas, inaczej bowiem obie składowe - syntet i węgiel - nie zdążą się po prostu zlać w jedno nowe jądro. Dalej, jak wiadomo, jądro atomu otoczone jest wałem potencjału i wywiera działanie odpychające na każdą zbliżającą się do niego naładowaną cząstkę. Żeby ten wał przebić, żeby przedostać się do twierdzy jądra, potrzeba pocisków o największej energii, jakimi są cząstki rozpędzane w wielkich przyspieszaczach, takich jak nasz główny kosmotron. Jednakowoż tu właśnie wyłania się paskudny szkopał. Mianowicie, ta niezbędna do przebicia wału prędkość, jaką trzeba nadać karbionowi, leży już w zakresie, dla którego jądra atomowe są, jak mówimy, przezroczyste.

Cały obraz wygląda tak: Jeżeli będziemy bombardować jądro syntetu karbionami nie dość szybkimi, to odskoczą od niego jak groch od ściany, jeżeli natomiast rozpędzimy karbion do prędkości dostatecznej, by przebił wał potencjału, to przestrzeli on całe jądro na wylot i wyleci z drugiej strony. Obliczenie wykazuje, że karbion przebija jądro w czasie jednej kwadry trylionowej części sekundy, to znaczy przebywa w nim tysiąc razy za krótko, żeby mogło nastąpić zespolenie obu jąder w jądro stellaru.

Jak widzicie, albo nie otrzymujemy żadnego rezultatu, albo rezultat jest, że się tak wyrażę, za dobry. Mimo tak zniechęcającej prognozy Thurstone i Wring podejmowali wielokrotnie próby syntezy stellaru klasycznym sposobem, jakiego używa się do syntez jądrowych, mianowicie rozpędzali karbiony do niezbędnej prędkości i na drodze ich strumienia ustawiali cienką płytkę syntetu. Bewatron, jakiego używali, pobiera przy pełnym obciążeniu 90 tysięcy kilowatów mocy, dając strumień karbionów przyspieszonych do 16 miliardów elektronowoltów, jest więc nieco słabszy od naszego. Wyniki doświadczeń amerykańskich w całej pełni potwierdziły teoretyczne przypuszczenia:

powolne karbiony wcale nie wnikają do jąder syntetu, a szybkie przebijają je na wylot. Jak się wyraził Urey, próba syntezy stellaru przedstawia się tak, jakbyśmy usiłowali złapać kulę do szklanej flaszki, strzelając do niej z rewolweru.

- A czy nie można przeprowadzić syntezy inaczej? - spytał ktoś z kąta. - Karbion składa się przecież z protonów i neutronów, można by więc wprowadzić go do jądra syntetu, że tak powiem, porcjami, dodając stopniowo po jednej cząstce, aż się utworzy stellar...

- Bardzo słuszna myśl! - zawołał Siołło. - Amerykanie też na nią wpadli. Niestety, już po czwartym z kolei wprowadzonym protonie całe jądro rozlatuje się na kawałki. Rzecz w tym, że pierwiastki przejściowe pomiędzy trwałym syntetem i trwałym stellarem są nietrwałe. Natura zmusza nas do stosowania dość dziwnych metod budownictwa: nie możemy kłaść cegły po cegle, ale niejako od razu całe piętra. Nie wiem, czy wyrażam się jasno. Chodzi o to, że synteza musi iść tylko po drodze „jądro węgla plus jądro syntetu”; postępowanie etapami nie jest możliwe, to da się zresztą łatwo wykazać...

Siołło napisał kilka przekształceń, puknął kredą w tablicę i rzekł:

- Widzicie, jakie to proste. Amerykanie powiadają, że napotykamy tutaj nie jakieś trudności przejściowe, techniczne, które pokona przyszłość, ale zasadniczą niemożliwość syntezy, dyktowaną nam przez prawa natury...

Kiedy Siołło skończył, posypały się pytania. Asystenci podchodzili do tablicy, wrywali sobie kredę, kreślili wzory i gorąco spierali się z profesorem; potem, potrząsając głową, jeden po drugim wracał na miejsce, jakby mówiąc:

„beznadziejne, nic się nie da zrobić”

- Zresztą - zauważył aspirant Sikorka - gdyby był choć naj bledszy cień nadziei. Amerykanie niczego by nie opublikowali. Wiadomo przecie, jaką potworną mają cenzurę. Uważam, że szkoda tracić na to czas, ale do licha, piekielnie szkoda!



Przez cały czas dyskusji Topolny nie opuścił swego fotela; nieruchomy, zgarbiony, z brodą wspartą na pięści, zapatrzył się ślepo przed siebie, a policzki, czoło, szyję wreszcie pokrywał mu coraz ciemniejszy rumieniec. Sikorka przechodząc obok niego aż ręce podniósł:

- Patrzajcie! Czysty preparat laboratoryjny!

- Co, co się stało? - spytano z kilku stron na raz.

- Jak to, nie widzicie? Ależ powiadam wam: oto dzieje się nowe zaczarowanie Topolnego! Chłop już jest stracony, daję głowę, od tej chwili nie będzie od niego spokoju!

Najbliższe tygodnie wykazały, jak przeraźliwą rację miał Sikorka wygłaszając swoje prorocstwo. Nowe zaczarowanie Topolnego okazało się groźniejsze od poprzednich. Zaraz po konferencji poprosił Siołłę o pożyczenie wszystkich publikacji dotyczących syntezy i stellularu, porwał gruby ich pakiet i ledwo dobiegł do domu, rzucił się nań jak ginący z pragnienia na źródło. Studenci ogłosili z emfazą, że „największy odkrywca negatywny” pracą swoją postanowił na amen zakorkować syntezę stellularu, i kiedy nadszedł listopad, a z nim imieniny Topolnego, wręczyli mu uroczyście ogromny, barwnie malowany dyplom odpowiedniej treści. Topolny śmiał się wraz z nimi, a po zabawie zasiadł do swych dociekań.

Z początkiem grudnia, kiedy pierwszy śnieg cienką warstewką przyprószył park Instytutu, asystent zjawił się wieczorem u Siołły i zwracając pożyczone pisma poprosił o pięć minut rozmowy, która przeciągnęła się do późnej nocy.

- Pytacie mnie, czy warto zajmować się syntezą? - rzekł gburliwie Siołło, podnosząc oczy na młodego człowieka. - Doskonale. A jeżeli wam powiem, że nie warto, czy rzucicie wszystko w diabły?

Topolny milczał przez chwilę, popatrzał na profesora, uśmiechnął się nieśmiało i powiedział:

- Nie.

Siołło roześmiał się basem. Śmiał się długo. Wreszcie, odchrząknąwszy, machinalnie przestawił przycisk na biurku i rzekł:

- No, więc po co się mnie właściwie pytacie?

- Zależy mi na opinii pana profesora.

- Na mojej opinii? Hm, cóż warta moja opinia wobec wyroku Ureya, Wringa, Seitza i całej reszty? No, ale jeżeli chcecie koniecznie, proszę bardzo, powiem wam, co sędzę o tej historii.

Topolny zaostrzył słuch.

- Sprawa - tubalnym głosem ciągnął profesor - wygląda kiepsko. Bardzo, bardzo kiepsko! Rzecz jest jasna jak kryształ: synteza stellularu jest niemożliwa.

Rozłożył szeroko ręce.

- Istnieje jednak pewne drobne, choć interesujące „ale”. Urey, Thurstone czy Wring to wybitni fachowcy. Niewątpliwie. Bardzo utalentowani. Nikt im tego nie odmówi. Powiadają, że synteza jest niemożliwa. No tak. Ale czy Heisenberg, jeden z największych fizyków XX wieku, nie oświadczył swoim asystentom w czasie ostatniej wojny, że masowa synteza plutonu nie jest możliwa? A inżynierowie, którzy w XIX wieku uznali, iż nie będzie można zbudować cięższej od powietrza maszyny latającej, nie byliż to znamienici specjaliści? Najgorszą rzeczą w nauce jest zbyt wielka pewność siebie. Choćby i oparta o najsumienniejszą wiedzę, taka pewność bardzo łatwo przeradza się w dogmaty zm. Pięknie. Czy z tego jednak wynika, że synteza stellaku jest możliwa? Bynajmniej. Czy istnieją zagadnienia nierozwiązalne? Niewątpliwie istnieją. I co teraz robić?

Topolny milczał patrząc nieruchomo w perorującego z ożywieniem Siołłę.

- Nie jestem ślepy. Widzę, jak pracujecie. Macie bardzo cenną rzecz: pasję. Tylko czy warto ją angażować w ten problem? Najlepszy nurek nie dosięgnie dna tam, gdzie go w ogóle nie ma. Więc czy zgruntujecie? Czy nie szkoda wysiłku? Twierdzenie Thurstone’a i Wringa uzyskało milczącą aprobatę całej amerykańskiej komisji energii atomowej, a tam są tacy ludzie jak Bethe, jak Fermi, jak Morrison. Tak tedy sprawa przedstawia się źle - jeszcze gorzej niż przed pięćdziesięciu laty, kiedy to lord Rutherford powiedział, że wyzwolenie energii atomowej w ciągu najbliższych wieków jest niemożliwe. No, a moja opinia? Moja opinia brzmi: nie wiem, czy możliwa jest synteza stellaru. Nie wiem, czy jest niemożliwa. Nic nie wiem. Zaspokoilem waszą ciekawość?

Profesor się zdziwił, bo Topolny uśmiechał się nieznacznie, ale w takim zachwyceniu, jakby tuż przed oczami miał jakąś rzecz niezwykle piękną.

- Hola, cóż was tak bawi?!

Topolny drgnął. Ocknął się z zapatrzenia. Spoważniał.

- Myślałem o tym, co bym zrobił, gdyby mi ktoś tu, zaraz chciał ofiarować rozwiązanie problemu - całą gotową receptę syntezy stellaru...

- I coś wymyślił?

- Nic niezwykłego - odparł Topolny i uśmiechnął się, przepraszająco. - Nie przyjąłbym. Nie chciałbym takiego rozwiązania. Czy mi pan wierzy?

- Czy ja ci wierzę? - wybuchnął Siołło wstając z fotela. - Czy ja ci wierzę?! Idź już, idź do swoich atomów, pograź się w nich i uton; oto przeklinam cię i skazuję na wieczne poszukiwania i tropienie, na wątpliwości i nie kończące się rozmyślania, i życzę ci, żebyś na tej drodze przewracał się, nabijał sobie guzów i wciąż wstawał, a przede wszystkim - żebyś

znajdował jak najwięcej, uznanych za nierozwiązalne, problemów w nauce... i jak najmniej w życiu.

Stellarowe zaczarowanie Topolnego - w tym zgodni byli wszyscy - przybierało formy ostrzejsze niż jakiegokolwiek poprzednie. Szczególnie cierpieli od niego najbliżsi koledzy i przyjaciele, a także wielu wybitnych uczonych - fizyków. Rektor Andrzejewicz opowiadał, jak Topolny zjawił się u niego w domu późnym wieczorem i pragnąc przedstawić mu jakąś kwestię pokonał zjednoczony opór całej rodziny, wdarł się do łazienki, w której rektor brał właśnie kąpiel, i wciągnął go w dwugodzinną rozmowę, w czasie której obaj rysowali wzory palcem na zapoconym parą lustrze. Docent Szyliński skarżył się publicznie, że Topolny przyszedł do konwersatorium fizycznego na jego odczyt o szybkich elektronach, odciągnął całą dyskusję od właściwego tematu i skierował ją na sprawę nieszczęsnego stellaru. Wreszcie bibliotekarz Instytutu drżał na sam widok młodzieńca, który nadbiegał zawsze klusem z przepaścistą teką, by unieść w niej dziesiątki niezbędnych mu książek. Zwracał je popatrzono na marginesach hieroglificznymi zapiskami. Bibliotekarz ścierał gryzmoły gumką i kłął się, że nie da więcej żadnej książki niechlujnemu czytelnikowi, lecz w końcu ustępował przed jego nieubłaganą postawą.

Oczywiście wszystkie plany zajęć, harmonogramy i podziały godzin dawno poszły w ką. Topolny bądź to przesiadywał w swym pokoju do późnej nocy zapisując sterty papieru i zaciskając w zębach ołówki, których pogryzionymi szczątkami wypełniał się powoli kosz, bądź to wypadał z mieszkania w krzywo zapiętym płaszczu, by godzinami snuć się po alejkach parku; w takiej wędrówce od czasu do czasu przysiadał na piętach i kawałkiem uschłej gałązki kreślił wzory na śniegu.

Co kilka dni zjawiał się u któregoś z kolegów, najczęściej u Czwartka, by przedstawić w formie wykładu, odbywającego się najczęściej między pierwszą i trzecią w nocy, wyniki swoich samotnych rozmyślań. Przyjaciele nie opuszczali go w potrzebie, owszem, skwapliwie brali się do dzieła i rozbijali w puch każdy nowy pomysł. Celował w tym zwłaszcza logicznie rozumujący erudyta Czwartek, który z godną uwagi cierpliwością powtarzał mu, że synteza stellaru jest niemożliwa.

- Dlaczego? - pytał Topolny, który setki, jeśli nie tysiące razy sam stawiał sobie to pytanie.

- Dlaczego? Ależ zastanów się. Jeśli masz dwa jądra atomowe i chcesz je zespolić, musisz siłą wtłoczyć jedno jądro w drugie i, że tak powiem, potrzymać je złączone przez jedną trylionową sekundę, czy nie tak?

- Tak.

- Doskonale. Teraz, dlaczego jedno jądro musi przebywać w drugim właśnie co najmniej przez jedną trylionową część sekundy?

- No, bo musi nastąpić wymiana sił jądrowych między cząsteczkami - odpowiadał Topolny.

- Bardzo słusznie, ale dlaczego ta wymiana nie zachodzi natychmiast, lecz trwa jakiś czas?

- Ponieważ siły jądrowe nie działają momentalnie na odległość, ale rozprzestrzeniają się z prędkością skończoną, równą prędkości światła, tak samo jak pole elektryczne czy grawitacyjne...

- No więc sam widzisz. Wymiana sił rozpoczyna się w miejscu, w którym jedno jądro wnika w drugie, i rozprzestrzenia się jak kręgi na wodzie po wrzuceniu kamienia. Jądro syntetu ma około  $10^{-11}$  cm średnicy i żeby pokryć tę przestrzeń, działanie o prędkości światła potrzebuje właśnie jednej trylionowej sekundy. Tymczasem karbion powolny w ogóle nie dostanie się do jądra, a szybki przestrzeli je na wylot w ciągu jednej kwadry bonowej... nieprawdaż?

- No tak.

- A więc udowodniłem ci, że synteza stellaru jest niemożliwa; dobranoc!

- Dobranoc - odpowiadał Topolny wstając. Potem wychodził mocno zgnębiony, ale już po drodze do domu wpadał na nowy pomysł przechytrzenia natury.

Taki stan trwał do lutego. Jediną godną uwagi rzeczą w zachowaniu Topolnego było w owym czasie to, że ze swymi koncepcjami nigdy nie przychodził do Siołty, a profesor przy spotkaniach - widywali się codziennie - o nic nie pytał.

Przyszedł marzec, a z nim wielkie śniegi, które zamieniły okolicę kolonii uniwersyteckiej w pejzaż białych wzgórz. Pewnego szczególnie mroźnego wieczoru ktoś zadzwonił do mieszkania Czwartka położonego w domku tuż za parkiem Instytutu. Gospodarz w szlafroku narzuconym na pidżamę otworzył drzwi. Późnym gościem był Topolny. Drżał z zimna. Wszedł do pokoju zanosząc się od kaszlu. Czwartek bez słowa poszedł do kuchni i po chwili wrócił z parującym imbrykiem, cukiernicą, chlebem i masłem. Odszukał w szafce butelkę rumu, z aptekarską dokładnością odmierzył kieliszek, wlał do herbaty i przysunął gorący napój Topolnemu, który z bezmyślnym wyrazem twarzy apatycznie patrzył w płytę stołu. Czwartek znowu się zakrzętnął, wydobyl skądś aspirynę, kazał Topolnemu zażyć dwie tabletki i zapić je herbatą; potem usiadł naprzeciw niego i przypatrywał mu się badawczo. Na koniec odezwał się spokojnie:

- Wcześniej dziś przyszedłeś. Masz coś nowego? Topolny nie odpowiedział, głową nawet nie ruszył, tylko jego dłoń końcami palców spoczywająca na krawędzi stołu jakoś sama obsunęła się w dół. Ten drobny gest powiedział Czwartkowi więcej niż obszerny wywód.

Znowu zapanowało milczenie. Topolny pił herbatę i rozgrzewał się; na policzki wystąpiły mu rumieńce.

- Wiesz co - powiedział nagle Czwartek - to wszystko razem dawno przestało mi się podobać. Pracujesz z uporem, tego się nie da zaprzeczyć, ale ty się przecież marnujesz, człowieku!

Topolny nic nie odpowiedział.

- Czasem trzeba być nieustępliwym - ciągnął Czwartek - ale teraz? Co byś powiedział o człowieku, który poświęca życie budowie perpetuum mobile?

Topolny mocniej niż było trzeba odstawił szklanekę.

- Synteza stellaru to nie jest budowa perpetuum mobile - powiedział. Rozkaszał się. Czwartek odczekał chwilę i rzekł:

- Ależ zastanów się. Ta synteza musi iść po drodze „karbion plus syntet”. Tego nie ominiesz. Karbionu, który na wylot przebija ci jądro, też palcem nie przytrzymasz. Mówię do ciebie jak do brata: rzuć to. Daj temu pokój. Jest więcej ciekawych problemów na świecie.

Topolny chciał się odezwać.

- Nie mów nic - szybko powiedział Czwartek. - Nie będę teraz z tobą gadał. Lecisz z nóg. Idź do domu, połóż się i prześpij wszystko; jak będziesz chciał, jutro porozmawiamy o tym dalej, chociaż, Bóg mi świadkiem, nie wiem, o czym by tu jeszcze mówić: rzecz była niemożliwa od samego początku. Wiesz, że cię lubię i nie chcę cię obrażać, ale gdybyś zdobył się na obiektywne spojrzenie z boku, sam przyznałbyś, że to śmieszne: dwudziestoparoletni asystent przeciw czołówce najwybitniejszych fizyków amerykańskich., No idź już, idź. Czekać, dam ci proszek nasenny. Masz.

W przedpokoju Topolny z takim impetem naciągnął rękaw płaszcza, że dał się słyszeć odgłos rozdieranej podszewki. Mruknął coś pod nosem, zatrzasnął za sobą drzwi i poszedł do domu. Mieszkał ledwo dwieście kroków od Czwartka. Kiedy zdjął u siebie płaszcz, ujrzał zwisające z rękawa długie strzępy podszewki, usiadł więc przy lampie i jał cierpliwie cerować rozdarcie. Nie zależało mu wcale na tym, by mieć cały płaszcz, lecz uznał, że szycie będzie niezłym sposobem uspokojenia nerwów. Skończywszy pracę przez chwilę oglądał swoje dzieło, po czym westchnął ciężko i zasiadł do zeszytu z wzorami, ale już po dziesięciu minutach miał dość tego zajęcia. Zeszyt poleciał na podłogę, a Topolny w ciągu kilkunastu sekund rozebrał się i wskoczył do łóżka.

Teraz dopiero poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Nie mógł zasnąć. W głowie, gdy przymknął powieki, poczynaly krążyć momenty kwadropolowe, czynne przekroje pochłaniania, spiny, funkcje falowe i pola mezonowe. Przewracał się z boku na bok, w końcu zaśwycił lampę przy łóżku i z półeczki wziął pierwszą książkę, jaka się nawinęła; były to "Elementy teorii względności Weyla. Czytał nieuważnie i co jakiś czas łapał się na tym, że rozmyśla z oczami wlepionymi ślepo w jakieś miejsce tekstu. Czwartek miał rację. Czy nie było maniaków, którzy z uporem równym mojemu, ba, przewyższającym go wielokrotnie, usiłowali budować jakieś wiecznie poruszające się maszyny, marnując życie całe? Gdzie probierz wartości wysiłku, gdzie pewność, że rozwiązanie w ogóle istnieje?

Zmusił się do czytania, przebiegł kilka stron, ale nic nie rozumiał. Jestem jak wóz bez kierowcy - myślał - muszę sztucznie stwarzać sobie tor, po którym mogę się posuwać, i co jakiś czas przychodzi katastrofa: wyskakuję z szyn, wykolejam się, tracę grunt pod nogami. A Czwartek? O, jemu nie trzeba szyn, on sam jest kierowcą, sternikiem własnego losu. Mój Boże, jak on nie ma żadnych wątpliwości, jak rozumie, co można, a czego nie można. Niemal z podziwem wspominał zalety przyjaciela: jego umiar, spokój, równowagę duchową... Gdzież mi do niego! - pomyślał, westchnął i znowu czytał, aż doszedł do miejsca, w którym Weyl podaje swój znany przykład na względność wpływu czasu:

„Na Ziemi mieszka dwu braci bliźniaków. Jeden z nich wyrusza w podróż międzygwiazdową na rakiecie pędzącej z ogromną szybkością. Po powrocie na Ziemi okazuje się on dużo młodszy od brata, który nie podróżował, albowiem we wszystkich ciałach materialnych, a więc i żywych organizmach, czas płynie tym wolniej, im szybciej się poruszają. Tak więc podczas gdy ziemski brat postarzał się o lat kilkadziesiąt, brat - podróżnik gwiazdowy przeżył ledwo lat kilkanaście”.

Tutaj uwaga Topolnego znowu się rozproszyła. Wspomnił o tym, z jaką pewnością przed kilku miesiącami mówił do Siołty, że nie przyjąłby gotowego rozwiązania problemu, i usta wykrzywił mu ironiczny uśmiech.

Cóż za bezczelna pewność siebie - pomyślał. Z książką wspartą o kódrę, zapatrzył się nie widzącymi oczami. Hm, gdyby tak można wyprawić się w gwiazdową podróż i powrócić przeżywszy kilka lat, podczas gdy na Ziemi upłynie tymczasem wiek cały, może bym się dowiedział, czy synteza stellaru jest możliwa. Może do tego czasu odkryte zostaną jakieś nowe tajemnice jądra, otworzą się nie znane dziś drogi...

Powoli ogarniała go senność. Odłożył książkę i zgasił lampę. Świat rozwiewał się, myśli topniały, nikły w ogarniającym wszystko mroku. Wtem drgnął jak od uderzenia. Uniósł głowę. Co to było? Jakiś zwid na skraju snu? Znowu się położył, znowu jawa opuszczała go,

nagle po raz drugi owo wewnętrzne uderzenie: nie głos żaden, nie myśl konkretna, ale gwałtowny niepokój. Serce uderzało mocniej. Usiadł w ciemności na łóżku. Co to znaczy? Nie wiedział. Miał równie silne jak nie dające się sprecyzować wrażenie, że na granicy snu i jawy błysnęła mu i przepadła natychmiast jakaś myśl niezmiernie ważna. Wyteżał pamięć do ostatnich granic, lecz uwaga skierowana w głąb świadomości wyławiała tylko strzępy, bezsensowne potworki myślowe. Krążąc w ciemnym labiryncie, co chwila natykał się na ślepe uliczki. Miał nieznośne uczucie człowieka, który zapomniał jakieś słowo i daremnie szturmuje w jego poszukiwaniu pamięć. Zrezygnowany, ułożył się raz jeszcze do spoczynku. Głowa nie bolała go właściwie, ale nalana była ołowiem. Czy ta noc nigdy się nie skończy? Żebyż już nadszedł świt, który zdmuchnie te obłądne majaki! - przemknęło mu. Po raz trzeci ogarnęła go senność i po raz trzeci obudził się z bijącym głośno sercem. Było to jakby działanie skrytej w nim istoty, która nie pozwalała wyłączyć świadomości, która zmuszała do czuwania, ponieważ coś się stało.

Zaświecił lampę. Wzrok padł na odłożoną książkę i od razu sobie przypomniał. Z rozpadających się na progu snu myśli ulepił się dziwoląg: gdyby tak całe laboratorium z kosmotronem postawić na rakiecie i wysłać do gwiazd...

Było też czego łamać sobie głowę! - pomyślał. - Idiocyzm jakiś... chociaż... zaraz... zaraz!!!

Usiadł.

- Tylko spokojnie... - powtarzał samymi wargami! Upływ czasu w pędzącej szybko rakiecie jest wolniejszy we wszystkich bez wyjątku znajdujących się na niej ciałach. I oto tam, w mknącym pocisku, stoi kosmotron, ta olbrzymia machina bombardująca płytkę syntetu kARBIONAMI. Z wąskiego wylotu wypada świszczący płomień cząstek i uderza w metaliczny syntet. KARBIONY WNIKAJĄ DO JEGO JĄDER, ale nie przebywają w nich już przez jedną kwadrylionową cząstkę sekundy. Czas płynie na rakiecie wolniej, muszą więc przebywać w nich dłużej... ależ to bardzo ciekawe!

Siedział w łóżku skulony, obejmując kolana rękami i myślał szybko: No dobrze, powiedzmy, że wystrzelę całe laboratorium z kosmotronem w przestrzeń gwiazdową. Czy by to coś dało? No, dałoby czy nie? Rozważmy systematycznie. Więc to jest tak: żeby kARBION zespolił się z jądrem syntetu i dał jądro stellaru, potrzeba jednej trylionowej części sekundy. Tymczasem wystrzelony w jądro przebywa w nim tylko przez jedną kwadrylionową, to znaczy tysiąc razy za krótko. A gdy kosmotrona będzie mknąć z prędkością bliską światła? Wtedy czas w głębi atomów będzie płynął wolniej, kARBIONY BĘDĄ W JĄDRACH STELLARU przebywać dłużej... będą przebywać dłużej? Czy to pewne? Ależ tak, relacja einsteinowska

mówi o tym jasno, a zresztą znane są doświadczenia z mezonami: mezon poruszający się z dużą prędkością rozpada się znacznie wolniej, trwa dłużej od mezonu spoczywającego. Tak, można by dobrać taką prędkość rakiety, żeby karbiony przebywały w jądrach syntetu przez jedną trylionową sekundę. No dobrze, ale czy to coś da? Chyba nie, bo wszystkie w ogóle procesy materialne ulegną zwolnieniu w jednakowym stopniu, tak więc karbion będzie wprawdzie przebywał wewnątrz jądra syntetu dłużej, ale też będzie się z nim powolniej łączył... Ejże, czy na pewno? Zespolenie odbywa się za pośrednictwem sił jądrowych, siły te przenoszą się z prędkością światła... a prędkość światła niezależnie od prędkości układu jest zawsze taka sama, bo jest...

- Prędkość światła jest inwariantą!!! - okropnym głosem krzyknął Topolny i tak jak siedział, w koszuli, bosymi nogami skoczył na podłogę.

Dopał stołu, podniósł zeszyt, rozpostarł go i zaczął rachować. Na drugiej całej ostrze ołówka przysło. Zaklął i rzucił się na poszukiwanie scyzoryka. Mijały sekundy, które zdawały się wiekami. Scyzoryka nie było. Porwał kałamarz, pudełko zapalek i zaczął pisać maczając je w atramencie. Całki jak oszalałe węże wiły się na papierze. Przekształcenia wynikały coraz szybciej; ostatni wyraz obwiodł grubą ramką, zapalka złamała się. Spojrzał na zasmarowane atramentem palce, otarł je o włosy i wstał. Chodził wielkimi krokami po pokoju oddychając głęboko. Powoli ochłonął. Wrócił do stołu, popatrzył na poplamione kartki.

No tak - pomyślał - i co z tego? Czy można wystrzelić całe laboratorium w gwiazdy? Z czego się tak cieszysz, idioto jeden? Co za nonsens - „wystrzelić kosmotron w gwiazdy...”

Chodził wciąż po przekątnej pokoju; zaczęło mu się robić zimno w nogi, więc włożył pantofle i kontynuował marsz z kąta w kąt. Więc jakże to jest? Żeby zaszła synteza, jądra syntetu muszą wraz z zawartymi w nich karbionami pędzić z ogromną prędkością. Kosmotron naturalnie nie musi nigdzie lecieć. Może stać, to tylko miejsce, w którym zachodzi reakcja, a więc płytka syntetu musi pędzić z ogromną prędkością. Czy nie dałoby się tego jakoś urządzić? Powiedzmy tak: z kosmotronu wylatuje pęk karbionów i w tym samym kierunku wystrzelimy z armatki pocisk sporządzony z syntetu. Karbiony dogonią go w locie, i zajdzie reakcja... Nieprawda, nie zajdzie. Najszybszy pocisk armatni może osiągnąć dwa kilometry na sekundę, a tu trzeba prędkości akurat 150 000 razy większej. Co najmniej - 140 000 razy. Nie, to beznadziejne. Czy jest na świecie sposób rozpędzenia płytki syntetu do takiej prędkości? Nie ma. Wykluczone. Do ciężkiej cholery z tą płytką! Dlaczego nie można jej jakoś tak rozpędzić...

Nagle Topolny stanął na miejscu, jakby wpadł na niewidzialny mur. Oczy rozszerzyły mu się, gardło nagle zaschło. Rękami zaciskał skronie.



- Mam!!! Mam!!! Rzecz była tak prosta... Nie trzeba żadnej rakiety, nie trzeba wyprawiać kosmotronu w gwiazdy, nie trzeba strzelać płytką syntetu. Po co? Trzeba całą reakcję przenieść do wnętrza kosmotronu. Przecież to właśnie tam, w rurze próżniowej kolistego kształtu rozpędza się cząstki materii do prędkości przyświatlnej. Energia elektryczna przyspiesza ich lot. Krążą wciąż w kółko, coraz szybciej i szybciej... Trzeba wziąć syntet - nie płytkę, do diabła z płytką! - trzeba po prostu wstrzyknąć do kosmotronu rozpyloną chmurkę atomów syntetu. A raczej jonów. Oczywiście! W kosmotronie krążą już karbiony. Teraz zaczną się rozpędzać także jony syntetu, ale jako cięższe od karbionów będą biec od nich wolniej. Na każde dwa okrążenia karbionów wypadnie z półtora okrążenia jonów syntetu, więc będą się mijać, przy mijaniu będą następować zderzenia, ciągle zderzenia, karbiony będą wnikać do jąder syntetu i będą powstawać w nich nowe jądra, bo czasu będzie na to dość: syntet, w którym zachodzi reakcja, sam będzie mknął bardzo szybko! I w taki sposób w głębi kosmotronu, w rurze próżniowej narodzi się superciężki pierwiastek - stellar!

Topolny liczył na papierze, łamał zapalki, atrament ściekał mu po palcach plamiąc kartki, a on gadał do siebie wcale o tym nie wiedząc. Naraz zerwał się na równe nogi i gwałtownie zaczął się ubierać. Do Siołty! Tak, teraz był na to czas. Dopinając marynarkę wybiegł do przedpokoju i tam dopiero zauważył, że ma na nogach domowe pantofle. Wrócił po buciki. Po minucie wypadł z domu naciągając w biegu płaszcz; po łokieć wbił ramię w rękaw i po raz drugi rozdarł podszewkę od góry do dołu. Powiewając jej długimi frędzlami gnał na przeciwległy koniec osiedla uniwersyteckiego.

Usłyszawszy przeciągły dzwonek, który go obudził, Siołto spojrzął na zegarek świecący zielonkawymi cyframi z nocnego stolika. Dochodziła piąta.

- Narzucił płaszcz i wyszedł do korytarza, otworzył drzwi i zderzył się z dyszącym ciężko człowiekiem, który ziajał jak po wyczerpującym biegu. Był to Topolny.

- Jest stellar! Profesorze! Jest stellar! - dyszał młody człowiek, popychając przed sobą Siołtę ciemnym korytarzem. Profesorowi mignęła niedobra myśl, że Topolny zwariował.

- Gdzie... gdzie stellar? - spytał odruchowo, zwracając oczy na zgnieciony pakiet, który Topolny zaciskał w garści.

- Nie, stellaru jeszcze nie ma, ale będzie; odkryłem metodę - powiedział już spokojniej Topolny. Rozwinął pakiet, który okazał się zwiłkiem wyszarpniętych z brulionu, zapisanych kartek. Profesor zaświeceił dużą lampę, zobaczył twarz Topolnego i oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

- Co to jest? - powiedział - co zrobiliście z sobą? Topolny mrugał uśmiechając się bezradnie.

- Ja przepraszam... nie myślałem, że pora tak wczesna, to znaczy późna, ale naprawdę...

Siołło wziął go za ramię i skierował w stronę lustra. Topolny ujrzał własną twarz od czoła po brodę pokrytą granatowymi i niebieskimi pręgami.

- Ach, poplamilem się, bo bez pióra... pisałem zapalkami, ale... ale niechże pan spojrzysz tu, profesorze!

Takie uniesienie brzmiało w jego głosie, że Siołło poddał mu się mimo woli. Stojąc w pidżamie z narzuconym na ramiona płaszczem, patrzył na biegające błyskawicznie palce Topolnego, który rzucając skąpe słowa objaśnień rysował plan doświadczenia. W pewnej chwili położył młodzieńcowi rękę na ramieniu.

- Czekaście - powiedział.

Poszedł do drugiego pokoju, wrócił z piórem, usiadł przy stole, przyciągnął do siebie papiery i zaczął pisać. Stawiając znaki z właściwym sobie rozmachem, najpierw sprawdził rachunek Topolnego, potem wprowadził szereg danych uzupełniających. Topolny poczuł, że nogi miękną mu w kolanach. W głowie miał zupełną pustkę. Tam, w przekształceniach, które sływały spod pióra Siołły, ukryty był los jego pomysłu. Usiadł cicho nie śmiać spojrzeć na obliczenia profesora. Nareszcie ten odetchnął głęboko, odsunął od siebie kartki i spojrzął na swego asystenta. Topolny czekał bardzo blady; już nic śmiesznego nie było w znaczących jego twarz atramentowych pręgach.

- No tak - rozległ się bas Siołły - więc, zasadniczo, rzecz jest rozwiązana prawidłowo, ale... Ale wątpliwa. Sama zasada syntezy jest bez zarzutu, są jednak trudności - niemałe! Mianowicie stellar wytworzy się wprawdzie, ale zaraz będzie się rozpadał, bo temperatura już z końcem pierwszej sekundy reakcji przekroczy 2 000 stopni. To znaczy, temperatura środowiska; drugą zmienną jest temperatura samego jądra, która w momencie zderzenia przekroczy zapewne pięć miliardów stopni; tutaj macie to, na tym wykresie.

Podsunał Topolnemu kartkę.

Młodzieniec patrzył przez chwilę nic nie rozumiejąc; powoli znaczenie splotu krzywych dochodziło do jego świadomości. Nagle porwał pióro i zaczął liczyć. Kiedy podniósł głowę, oczy mu jaśniały.

- No to niech reakcja trwa tylko pół sekundy - powiedział - potem wyłączy się kosmotron...

- To nie takie proste - burknął nachmurzony Siołło. Pochyliwszy swą wielką, kędzierzawą, siwą głowę, zdawał się przez zmrużone powieki śledzić coś w ciemności pod stołem.

- Panie profesorze...

- Co?

- Czy...

Topolny nie dokończył, ale profesor go zrozumiał.

- Czy spróbujemy? Hm... właściwie nasz kosmotron jest za słaby; potrzeba by urządzenia potężniejszego. W normalnym reżymie pracy nic się nie da zrobić...

- Kosmotron można przeciążyć... przez krótki czas - podpowiedział szybko Topolny.

- Właśnie o tym myślę. To dosyć ryzykowne, uzwojenia mogą się spalić. I patrzcie - podniósł głowę - jeszcze niedawno byliśmy przekonani, że moc tego smoka zadowoli nas na dziesiątki lat! Topolny nie słyszał go.

- Panie profesorze - powiedział cicho - a gdyby tak nie wyłączać kosmotronu?

- Jak?

- Powiadam: gdyby nie wyłączać prądu, tylko użyć rury o podobnym przekroju jak w betatronie i...

- Aha, i wyprowadzać z obiegu wytworzony stellar pomocniczym polem odchylającym? Gdyby się to udało, byłoby niezłe... Dajcie no pióro!

Pochyleni nad papierami rysowali i liczyli porozumiewając się pojedynczymi słowami. Nareszcie Siołło wyprostował się, syknął i skrzywił się, pocierając plecy.

- Cierp ciało, kiedyś chciało - powiedział. Zapanowało milczenie.

- Więc, profesorze?... - zapytał ostrożnie Topolny.

- Co?

- Kiedy zaczynamy?

Siołło sapnął. Potem, wielki, brzuchaty, górujący wzrostem nad Topolnym, przyciągnął do siebie asystenta, objął go równie mocno jak niezgrabnie, po chwili zaś odwrócił się do niego tyłem i rzekł:

- Chodźmy do łazienki. Zdaje się, że i ja umazałem się atramentem.

Potem rozpoczęła się praca. Przywołano na pomoc inżynierów-elektryków, którzy usłyszawszy o obciążeniu, jakiemu fizycy pragną poddać kosmotron, kręcili długo głowami i nie chcieli wziąć odpowiedzialności za całość uzwojeń. Jednakże Rada Naukowa powzięła decyzję natychmiastowego przystąpienia do doświadczeń. Próby syntezy ciągnęły się długo. To pomocnicza aparatura van der Graafa nie dawała właściwego napięcia, to próżnia nie była dostateczna, to strumień jonów syntetu był zbyt nikły, wielkie cewy elektromagnesów grzały się nadmiernie, trzeba było montować naprędce urządzenia chłodzące, bezpieczniki paliły się seriami, a kiedy już wszystko grało, ledwo wytworzony stellar natychmiast się rozpadał.

W ciągu tygodni kolektyw Siołły jadł, spał, mieszkał prawie w hali kosmotronu wraz z brygadą elektryków, którzy po społu z fizykami brodzili w wijących się po podłodze kablach, przesuwali transformatory, zmieniali połączenia, krzątając się niezmordowanie u stóp pancernego kolosa. Co jakiś czas gwar głosów, szczęk i stukot narzędzi wypełniające halę cichły i rozlegało się rosnące brzęczenie. Ludzie stojący na kontrolnych punktach wbijali oczy w tarcze zegarów; strzałki oscylowały, napięcie rosło, w potężniejącym chórze wprawne ucho rozróżniało wysoki świst wirujących pomp próżniowych, dygotliwe brzęczenie blach transformatorów i cichy, lecz wszystko przenikający syk strumienia nukleonów, strzelającego białym wąskim płomieniem ze szczeliny w grubym panczeru kosmotronu. Siołło stał na piętrowym wzniesieniu przed główną tablicą rozdzielczą krzywiąc się i marszcząc. Całe niezadowolenie ze zbyt małej mocy kosmotronu wkładał w grymasy twarzy; zdawało się, że smakuje jakiś niesłychanie gorzki płyn. Kołowymi ruchami rąk dawał znać elektrykom, by zwiększali prąd na magnesach. Gdy wskazówki poczynają dochodzić do czerwonych kresek przeleżenia, asystenci silniej zaciskali ręce na wyłącznikach, a Siołło krzywił się jeszcze bardziej. W głębi kadłuba kosmotronu prąd huczał coraz głośniejsz, zagłuszając wszystkie inne dźwięki. Wreszcie ruchome części aparatury, a potem i podłoga zaczynały wibrować. Dreszcz szedł po dźwigarach nośnych, przesywał ciała ludzi. Wskazówki osiągały czerwone granice. Teraz wszyscy przenosili wzrok z tarcz zegarowych na twarz profesora, który z wysokości jak wódz na polu bitwy ogarniał całość doświadczenia. Nagle w chór dudniących odgłosów wpadały krótkie, chlastające dźwięki. To połączone z głościami liczniki Geigera ostrzegały, że do przestrzeni, w której stoją ludzie, przedostaje się spoza ochronnego muru przenikliwe promieniowanie. Siołło naciskał czerwony guzik, za siatkami ochronnymi rozchodziło się szcęknięcie wyłączników strzelających płomienistymi zygzakami i następowała nagła cisza. Potem ludzie znowu się krzątali i po jakimś czasie wszystko zaczynało się od początku.

Rezultatem tej nie ustającej pracy była drobna kostka substancji, która wchłonęła w siebie atomy sztucznie stworzonego pierwiastka. Ten okruch materii, zamknięty w grubościennym pudle ołowianym, wręczono uroczyście mikrochemikom; w laboratorium analitycznym poddano go długiej serii zabiegów, dzięki którym mała coraz bardziej, rozmywany kwasami, przetapiany, przepuszczany w postaci pary między biegunami elektromagnesów, destylowany frakcjami, aż na koniec zespół Siołły otrzymał od chemików niewielką szklaną probówkę. Na jej dnie spoczywała widoczna tylko przez mikroskop, niepozorna, szara jak popiół szczypta metalicznego stellaru.

## **II. CUD CZWARTKA**

Zapadał wieczór ostatniego dnia listopada. W budynkach Chemii Termo-Jądrowej, Oddziału Promieni Kosmicznych i siłowni atomowych panowała zupełna cisza. Większość pracowników opuściła już mury Instytutu udając się bądź samochodami do pobliskiej Warszawy, bądź do swych domków w kolonii uniwersyteckiej. Ogromne laboratoria stały pogrążone w mroku; wiatr pędził chmury zeschniętych liści osypujących się z szelestem po ścianach budynków. Tylko w hali kosmotronu krzątały się jeszcze brygady techników-montażystów, hurkotał dźwig, strzelały młoty pneumatyczne, błękitnie wybuchały ogniki oświetlając na ułamki sekund azbestowe maski spawaczy. To elektrycy i monterzy inżyniera Kiecia usuwali uszkodzenia, jakie poniósł kosmotron w ostatnim doświadczeniu, obciążony nadmiernym prądem. Poza pracującymi na hali w Instytucie było jeszcze dwu ludzi: profesor

Siołło i asystent Czwartek. W parterowej sali budynku przylegającego do głównego gmachu kończyli przeciągające się od południa doświadczenie.

Uczni znajdowali się w pomieszczeniu cyklotronu. Halę, wielką jak hangar samolotowy, oświetlał błękitny blask jarzeniówek. Pośrodku wznosił się z podłogi betonowy graniastosłup, w którym - niczym w kamiennym sarkofagu - zamknięta była aparatura. Mury półtorametrowej grubości chroniły ludzi od szkodliwego promieniowania.

Obaj uczeni stali u stóp chropawej ściany, za którą krył się cyklotron. Przed nimi widniała tablica przyrządów pomiarowych i aparatura zwana „metalowymi rękami”, system dźwigni, z których pomocą można wykonywać na odległość, w strefie niebezpiecznego promieniowania, rozmaite zabiegi. Z betonowej płyty sterczały okulary zwierciadlanych peryskopów. Siołło notował wyniki w grubym, oprawnym w ceratę zeszycie, Czwartek zaś, pochylony, patrzył w peryskop i naciskał klawisze aparatury. Przed chwilą zakończyli bombardowanie płytki pierwiastka strumieniem szybkich cząstek; przez peryskop widać było, jak podobne do palców szkieletu metalowe chwytacze ujmują płytkę, wyważają ją z ramki i wrzucają do rynienki, do której tryskał zaraz strumień wody, porywał płytkę i unosił ją do rozszerzonego lejkowato wylotu rurociągu. Stąd pod osłoną cieczy próbka dostawała się do podziemi budynku, gdzie czekały na nią samoczynne aparaty dokonujące analizy promieniotwórczości.

- Czy wywołać teraz zdjęcia? - spytał Czwartek obserwując nie bez zadowolenia, jak groźne źródło promieni znika z pola widzenia, i wycierając palce w chusteczkę raczej symbolicznie niż z rzeczywistej potrzeby.

- Nie, to będzie można zrobić jutro - rzekł profesor. - Sądzę, że nie znajdzie się nic niezwykłego. Chciałbym tylko mieć trochę torów mezonowych, przydałyby się do demonstracji na wykładzie.

- Próbka pękła, panie profesorze - zauważył Czwartek opuszczając swoje miejsce przy tablicy rozdzielczej.

Profesor ręką tylko machnął, jakby mówiąc „tak przypuszczałem”, i ruszył ku wyjściu. Wąski korytarz prowadził do wysokiego a ciasnego pomieszczenia; ze ściany wystawały tu wielkie „nosy” metalowe, które jak gdyby obwąchiwały przechodzących; były to aparaty, skrupulatnie poszukujące radioaktywności w ich ubraniach, ciałach i włosach. Aparaty te były połączone z zamkiem wyjściowych drzwi w taki sposób, że nawet ktoś lekkomyślny nie mógł opuścić zakładu nie poddawszy się zabiegom oczyszczającym, gdyż automat wykrywszy człowieka „promieniującego” natychmiast ryglował drzwi i otwierał drugie wiodące do specjalnych łazienek. Tym razem jednak światła sygnałów nie zapłonęły;

asystent i profesor przeszli swobodnie i udali się na piętro, do biblioteki. Tutaj obaj usiedli przy wielkim oknie wychodzącym na park. Siołło poczęstował Czwartka papierosem i sam z zadowoleniem zaciągnął się dymem. Lubił po pracy odpocząć chwilę w tym właśnie miejscu, gdyż szczególny spokój przynosiło mu zarówno sąsiedztwo wysokich półek pełnych ciemnych tomów, jak i wielkich drzew parku gnących się teraz w wichurze za oknami. Siedzieli nieruchomo; taka kontemplacja trwała czas jakiś, nareszcie Siołło zagadnął pierwszy. Rozmowa potoczyła się, jak większość rozmów-w zakładzie, na temat stellaru.

- Ej ten Topolny, Topolny - mówił profesor - to wasz kolega, co?

- O rok młodszy.

- No, proszę, nawet młodszy. Jego ojciec owce pasał, a jemu, tylko patrzeć, pomniki będą stawiać. Oczy ma jak dziewczyna. Nigdy nie myślałem, że z takimi oczami można... chociaż to głupio.

- I pomyśleć, jakie to było proste w założeniu - podjął Czwartek. - Tyle razy przechodziłem te obliczenia i żeby mi w głowie powstało! Kilka zdań i gotowe! Przecież to, co poszło do zagranicznych pism, myślę o tym doniesieniu tymczasowym, to jakieś półtorej stroniczki rękopisu, jeżeli nie liczyć wstępu!

- No no, te półtorej stroniczki przewrócą całą energetykę! - rzekł profesor i prychnął, jakby mu się chciało śmiać.

- Mam wrażenie, że mnie coś oślepiło... Tak, musiałem być ślepy - z nieukrywanym żalem mówił dalej Czwartek.

- Otóż to! - przygwoździł jego ostatnie słowa profesor. - Tak to właśnie bywa z wielkimi odkryciami. Bo przecież do przyjścia Topolnego wszystko już było gotowe i kosmotrony, i metoda otrzymywania syntetu i karbionów, i teoria względności - klocki czekały, tylko domek budować! Parę wierszy jest tego, ale jakich wierszy! Nie chodzi przecież o ilość. Trzeba było zobaczyć w wyobraźni, że tu jest droga, że tędy trzeba iść, i wiedzieć, dokąd się zajdzie! Weźmy taką elementarną dziś rzecz jak rachunek różniczkowy. Jeszcze w głuchym średniowieczu gdzieś koło 1340 roku Oresmiusz zauważył, że wzrost lub zmniejszanie się pewnych wielkości są najwolniejsze w pobliżu maksimum lub minimum. Trzysta lat później Kepler odkrył to samo, ale i on nie poszedł dalej. Zjawił się potem Fermat. Ten już stosował operacje matematyczne, które z dzisiejszego punktu widzenia można nazwać różniczkowaniem, a jednak, w pewnym sensie, nie on był odkrywcą różniczek, bo nie dostrzegł, że to jest całkiem nowa myśl, nowa droga, która przyniesie niesłychane zmiany w nauce. Można by powiedzieć za Poincarem, że odkrycie często nie polega na przejściu od całkowitej niewiedzy do zupełnego zrozumienia, od mroku do światła, ale że odkrywa się

rzeczy w mniejszym lub większym stopniu, etapami... Najpierw dostrzega się jakieś uboczne zjawisko, które dopiero później prowadzi w górę, jak napotkana przypadkowo dróżka leśna wyprowadzająca na szczyt górski... Tak właśnie było z Topornym. Opowiadał wam chyba, jak do tego doszedł? To bardzo znamienne! Uroiło mu się ni stąd, ni zowąd, żeby wysłać kosmotron w gwiazdy. Dziewięćdziesięciu dziewięciu fizyków na stu odpędziłoby tę myśl wzruszeniem ramion: nonsens, zabawka myślowa i tyle. A on miał odwagę sprawdzić ten pomysł na papierze! Z chwilą kiedy przybrał go w szatę matematyczną, zobaczył, że cała ta podróż w niebo, ta gwiazdowa ornamentacja jest zupełnie niepotrzebna... A ja powiadam wam, kolego, że nie!

Czwartek popatrzał ze zdziwieniem na profesora, który z podniecenia wstał i podnosząc rękę, mówił dalej:

Jako zabieg, jako doświadczenie fizyczne podróż ta naturalnie była zupełnie zbyteczna, ale nie jako etap rozumowania, jako pewien fakt psychologiczny! Bo co się stało? Topolny nie mogąc znaleźć rozwiązania w sferze dotychczasowych faktów, w płaszczyźnie zwykłych doświadczeń, porzucił ją, poleciał w niebo i wrócił na Ziemię - już ze swoją wielką zdobyczą. Tak to było! No cóż, miał trochę szczęścia, prawda - przecież to był przypadek, że akurat wtedy czytał Weyla - ale cóż z tego? Zawsze trzeba mieć ten łut szczęścia, rozumu nigdy się nie ma zbyt wiele... Przecież każdy z nas ma na półce "Teorię względności".

Za oknami było już zupełnie ciemno. W tej chwili rozległy się przytłumione, poważne dźwięki: zegar ścienny wybijał godzinę. Siołło drgnął.

- U licha, już piąta! trzeba lecieć! A wy jak, kolego?

- Zostanę jeszcze, panie profesorze. Muszę skończyć artykuł.

Gdy profesor odszedł, Czwartek przez chwilę spoglądał jeszcze przez korytarzowe okno na pociemniały park jesienny, potem udał się na wyższe piętro. Mieściły się tu pracownie asystentów; jego pokój znajdował się w samym, prawie końcu korytarza. Po drodze minął zamkniętą pracownię Topolnego; młodzieniec przebywał w Budapeszcie na zjeździe fizyków. Czwartek wszedł do swego pokoju i zaświecił lampę. Pomieszczenie było malutkie, o ścianach zaokrąglonych, ciasne, lecz urządzone przytulnie. Na środku stało niewielkie biurko, po bokach - półki z podręczną literaturą; był tu prócz krzesła fotel i nawet malutki telewizor na stoliku w kącie. Po poprzednim mieszkańcu, doktorze Łączkowskim, który od rozpoczęcia roku szkolnego przeniósł się na uniwersytet wrocławski, pozostał malowany w smoki jedwabny parawanik chiński oraz egzotyczny bibularz z uchwytem w kształcie główki pyzatego, roześmianego bożka. Czwartek niechętnie widział te przedmioty nie licujące z powagą otoczenia, ale jakoś nie znalazł dotąd energii, by usunąć ślady



kolekcjonerskich zamiłowań swego poprzednika. Teraz siadł za biurkiem do notatek laboratoryjnych. Gdy je przepisał, zabrał się do artykułu. Musiał go skończyć dziś jeszcze; to wyrwało z jego piersi niechętnie westchnienia, ale rzecz była pilna - redakcja czekała na materiał. Nie zwlekając wkręcił więc arkusz papieru do maszyny i zaczął pisać.

Choć kilkanaście metrów dalej, za ścianą korytarza, otwierała się pełna łoskotu hala kosmotronu, tutaj nie dobiegał najlżejszy szmer. Gruby żelbet izolował wszystkie dźwięki. Czwartek pisał wprawnie, od czasu do czasu przebierał nogami pod biurkiem, jakby mu to ułatwiała formułowanie zdań, i podnosił kciukiem osuwające się okulary; czasem, gdy udał mu się bardziej okrągły okres, poruszał wargami odczytując go cicho i znajdował wyborym.

„Prawa fizyczne ważne są powszechnie” - pisał - „dla całego Wszechświata i wszystkie twory materii jednakowo są im podporządkowane. Kamień rzucony spada swobodnie w polu ciężenia Ziemi czy jakiegokolwiek innej planety ze stałym przyspieszeniem i powoływanie się na statystykę kwantową, zmierzającą do obalenia zasady przyczynowości, jest tylko wybiegiem idealistów, którzy...”

Czwartek zauważył błąd literowy w poprzednim wierszu, przeczytał zdanie i spojrzał na zegarek: dochodziła siódma. Westchnął, wytarł Mađ gumką i napisał raz jeszcze: „czy jakiegokolwiek innej planety”... po czym odciągnął wałek maszyny, który potracił bibularz, znajdujący się na jego drodze.

„...spada swobodnie w polu ciężenia Ziemi...” - przeczytał Czwartek i urwał nagle, gdy zorientował się, że coś się stało, a raczej nie stało się; coś, czego oczekiwał: nie usłyszał stuku spadającego na podłogę bibularza. Odwrócił głowę i zamarł.

Bibularz bowiem, lekko zadarłszy bok, prześliznął się po rozłożonych na biurku papierach, nabrał szybkości jak startujący samolot, skoczył w powietrze i przypadł do napiętego jedwabiu parawanika, który przez dłuższą chwilę drgał pod ciosem. Potem wszystko się uspokoiło. Bibularz wisiał jednym rogiem przytulony do jedwabnej tkaniny, chwiejąc się łagodnie w powietrzu. Służąca za uchwyt drewniana główka bożka patrzyła prosto w twarz asystenta, rozdziawiona w szerokim, szyderczym uśmiechu, jakby mówiąc: „no i co powiesz teraz?”

Czwartek otworzył usta i zamknął je wydając jęklive sapnięcie.

„Słowo stało się cia...” - przemknęło mu bezwiednie.

Opięta bibułą spodnia strona bibularza ukazywała, kołysząc się, plamy atramentowe: raz zieloną, to znów dwie fioletowe.

Przez długą chwilę gapił się na wiszący bibularz, od którego dzieliła go odległość wyprostowanej ręki. Nie ośmielił się jednak jej wyciągnąć. Bardzo ostrożnie, jakby obawiając

się spłoszyć marę, odsunął krzesło od biurka. Bibularz wykonywał łagodne, drobne ruchy, to napierał delikatnie na jedwab parawanu, to osuwał się po nim kilka milimetrów i nieruchomieł drząc leciutko. Kontemplacja przedłużała się. Asystent oddychał głośno, mrugając silnie powiekami. Poprawił okulary, potem przetarł je nawet, energicznie wcisnął na nos i na palcach obszedł róg biurka. Zajrzał za parawan, ale nie było tam nic: pół metra pustki dzieliło napiętą na bambusowych drążkach tkaninę od półki z książkami. Pochylił się nad bibularzem. Miał go teraz na wprost twarzy, tak że cień jego głowy padał na czerwoną, cienką płytkę laki, z wierzchu pokrywającą przycisk. Czwartek przemógł się, wyciągnął palec i dotknął. Bibularz zakołysał się jak uwieszony na elastycznej więzi, opuścił się na kilka centymetrów i wrócił do góry.

Czwartkowi zrobiło się gorąco. Słyszał pukanie tętna w uszach. Oblał go pot. Przełknął i teraz już z desperacją pchnął bibularz w dół. Ten zadrgał, odskoczył od jedwabnej powierzchni, odbił się jak piłka i przywarł do niej ponownie, mniej więcej metr nad podłogą. Czwartek jeszcze raz zajrzał, za parawan, chrząknął głośno, wreszcie podskoczył i zaraz się rozejrzał zmieszany, badając, czy nikt nie jest świadkiem jego osobliwego zachowania się. Lecz pokoik był pusty.

Zaraz... tylko spokojnie... - próbował rozważyć. - Może go coś zza ściany przyciąga? Ale z tej strony jest strych... rupieciarnia... tam nic nie ma. Prawda, kilkanaście metrów dalej za ścianą jest kosmotron, ale po pierwsze: właśnie za ścianą przeciwną, po wtóre: jest zepsuty, no, a po trzecie: nigdy nie wywoływał żadnych takich fenomenów... a zresztą to wszystko nonsens, bo jakież magnes przyciąga drzewo, bibułę i lakę? A może z dołu, z laboratorium, wydobywa się jakieś promieniowanie... coś jak niewidzialny wodotrysk, na którego strumieniu balansuje piłeczka?

Choć rzecz była zgoła niemożliwa, Czwartek znajdował się już w takim usposobieniu ducha, że wyrwał szybko z bocznej kieszeni podobny do pióra wskaźnik promieniowania, który nosił stale przy sobie jak „wszyscy pracownicy zakładów, ale w szklanym oczku było ciemno. W pokoju nie było ani śladu promieniowania. Przez kilka ostatnich chwil Czwartek nie widział bibularza; gdy teraz zwrócił nań oczy i zobaczył twarzyczkę drewnianego bożka rozdziawioną w bezgłośnym śmiechu, zrobiło mu się prawie niedobrze. Potworek zdawał się bezwstydnie kpić z siły ciężenia. Asystent zacisnął powieki i zmuszając się do spokoju liczył do stu. Otworzył ostrożnie oczy: bibularz wisiał dalej.

A może to sen? - przyszło mu do głowy. Podszedł więc z nagłą determinacją do biurka, wyjął z szuflady cyrkiel i dotkliwie ukłuł się w palec. Mocno zabolalo; wysał kroplę krwi i znowu spojrzął w bok. Bibularz, przytulony bokiem do parawanu, wykonywał bardzo

drobne, powolne wahania, jakby unosił się na powierzchni niewidzialnego płynu. Opierał się teraz bokiem o kadłub wymalowanego na jedwabiu smoka, a bożek zdawał się pokładać od bez - - głośnego śmiechu ukazując bezzębne dziąsła. Czwartek oczu nie mógł oderwać od jego obrzydłego grymasu; kucnął i jakby wspomniawszy, że zmysłem powonienia nie próbował jeszcze rozwiązać zagadki, zaczął kocimi ruchami, wciąż na czworakach, przybliżać się do bibularza. Po chwili wydało mu się, że coś go piecze w nos, ale zapomniał o tym, bo naraz stała się rzecz okropna. Bibularz oderwał się od parawanu, popłynął przez powietrze coraz szybciej i stuknął go między oczy tępym rogiem. Czwartek krzyknął, zamachał kurczowo rękami jak dziecko napadnięte przez indyka, odrzucił bibularz, skoczył na równe nogi i uciekł w przeciwny róg pokoju. Tak się przeląkł, że mu policzki zdrętwiały. Bibularz, gdy nań spojrzał, znowu tkwił przy parawanie; opierał się o paszczę wymalowanego na jedwabiu smoka i lekko drżał. Czwartek pobył jakiś czas w kącie i znowu ruszył na badanie, z nieskończoną ostrożnością, już nie schylając się, spoza biurka wysunął rękę i dotknął główki bibularza. Była ciepła. To oszołomiło go do reszty.

- Mój Boże, on jest gorący... - wyszeptał. - Co to wszystko znaczy? Głowa mi pęka... Dlaczego ten parawan go przyciąga? Jedwab naelektryzował się statycznie, czy co? Toż to nonsens! Wykluczone! Więc co się tu dzieje?... To nie jest siła materialna... A przecież nic oprócz materii nie ma... Tak myślałem... ale przecież sam czytałem kiedyś, że jest wiedza tajemna... poruszanie przedmiotów na odległość... telekineza... To ten bożek...

Ważąc się na wiele, wziął oburącz krzesło i posuwając je przed sobą na kształt osłony, ruszył w stronę przycisku. Minał środek pokoju - nic się nie działo, nabrał więc odwagi i postąpił jeszcze dwa kroki, popychając przed sobą krzesło. Nagle bibularz drgnął, skoczył ku niemu, stuknął o poręcz krzesła, odbił się i uderzył go w bok. Czwartek na oślep zamachnął się krzesłem; desperacki cios odrzucił bibularz w stronę biurka. Tam przycisk zatańczył przy jego bocznej powierzchni, ześliznął się i znowu przywarł do parawanu. Czwartek wycofał się do kąta i zasłonił się krzesłem. Czerwona barwa bibularza wydawała mu się coraz bardziej ohydna, a już uśmiech bożka budził dreszcze; asystent zdumiewał się, jak mógł choć przez chwilę ścierpieć obecność tak wstrętnego przedmiotu w swoim pokoju. Nie wiedział, co robić. Może wyrzucić parawan z pokoju? Ale w tym celu trzeba było wejść w bezpośrednie pobliże bibularza, tego zaś miał już dość.

Wielkie nieba, ludzie wariują z mniejszych powodów! - pomyślał. - Dlaczego on na mnie skoczył? Tu, do boku - zdaje się, że wydzielam te siły brzuchem! Ręka go nie przyciągała... To straszne! Prawda, przecież czytałem gdzieś o splocie słonecznym,

nerwowym węzle sympatycznym - nazywają go „mózgiem brzuszny”... A wiać ja sam jestem medium? Ale dlaczego nie przyciągam innych przedmiotów?

Stał wciąż w kącie rozglądając się z niepokojem po otoczeniu. Nienawidził bibularza i bał się go. Naraz strzeliła wyzwajająca myśl: profesor Siołło! Wybiegł pędem z pokoju. Już ubrany, w płaszczu i kapeluszu, uchylił drzwi i zajrzał ostrożnie przez szparę. Bibularz drżał, czule przytulony do cielska zielonego smoka. Czwartek zatrzasnął drzwi i rzucił się pędem do wyjścia.

Na ulicy było chłodno i wietrznie. Osłoniwszy kołnierzem twarz od pojedynczych, zimnych kropel deszczu, biegł niemal w kierunku osiedla uniwersyteckiego. Wśród zmieszanych myśli czuł także nikłą iskierkę złośliwej radości na myśl o osłupieniu, jakie porazi Siołłę na widok bibularza; ciekawe, co powie i jak się zachowa, własnymi zmysłami zetknąwszy się z Wielką Tajemnicą!

Pokój biblioteczny profesora wyglądał jak kasetka z hebanu, której jedną ścianę zastępowała matowa szyba. Aż po sufit wznosiły się wypełnione książkami półki. Siołło szedł wzdłuż nich z zadartą głową, wypatrując któregoś? tomu Rocznika Fizycznego, gdy rozległ się przytłumiony, dźwięk dzwonka. Skrzywił się, ale wrócił do biurka i nacisnął elektryczny taster. Po krótkiej chwili usłyszał pukanie. Siołło podniósł okulary znad oczu i powiedział:

- Proszę!

Wszedł Czwartek. Robił wrażenie człowieka, którego jakiś stwór niewidzialny mocno trzyma za kołnierz. Przywitał się podając profesorowi rękę spoconą i zimną. Przeprosił za nieoczekiwaną wizytę, kręcił szyją, poruszał ramionami, jakby ubranie stało się nagle za ciasne; hamował słowa, siłą wrywające się z ust.

- Proszę, siadajcie, kolego... - i Czwartek usiadł, jakby kij połknął, kilka razy załamał ręce, aż stawy chrupnęły, nareszcie zaczął:

- Panie profesorze... stała się niezwykła rzecz... Brwi Siołły podniosły się, ale mina jego zdawała się mówić: wszystko być może.

Gdy jednak milczenie asystenta przedłużało się, profesor spojrzał nań i zobaczył, że Czwartek wpatruje się w pewien punkt profesorskiego biurka, jakby się tam czaił okularnik. Siołło poszedł za jego wzrokiem, ale nie dostrzegł nic prócz brązowego przyboru do pisania i bibularza z główką śmiejącego się bożka, który otrzymał kiedyś w podarunku od doktora Łączkowskiego. Asystent, przemógłszy się, wybuchnął:

- Niepojęta, niesamowita rzecz się stała! I zarazem taka głupia... - Wstrząsnął się. - Ach, przepraszam, sam nie wiem, co mówię...

- A co właściwie zaszło? - łagodnie spytał profesor. Czwartek poczerwieniał,

- Pracowałem właśnie nad artykułem, wie pan profesor, tym o powszechności praw natury i tam dalej, i niechcący potrąciłem bibularz, który stoi u mnie na biurku; taki sam jak ten - wskazał palcem. - Strąciłem go i, panie profesorze - otworzył usta, jakby niewidzialny demon chciał wepchnąć mu słowa na powrót do gardła - i on nie spadł!!!

- Potrącił pan bibularz i on nie spadł? I to jest takie dziwne?

Wyraźna nutka współczucia brzmiała w głosie Siołły.

- Pan mnie nie rozumie!

Czwartek stawał się coraz bardziej purpurowy.

- On nie spadł, tylko... tylko zawisł. Zawisł w powietrzu. Tak, zawisł!

- Hm, zawisł?

Czwartek z nieśmiałości przeszedł do ataku.

- Zawisł, tak! i dalej jeszcze wisi. Popychałem go; próbowałem go opuścić - obniża się, ale za każdym, razem wraca. Opiera się o parawan... ten parawan, co został po Łączkowskim, wie pan profesor - ten chiński... i tak wisi.

- Może zaczepił o coś?

- Ach nie! Tak tylko dotyka parawanu, ale wisi zupełnie swobodnie. Wisi! - Z zaciśniętymi ustami popatrzył na profesora, jakby oczekując pomocy.

- I teraz tak wisi, powiada pan?

- Tak.

- Może jednak jakaś nitka?... - półgłosem zauważył Siołło, na co Czwartek zareagował wybuchem gorących, nieco zbyt głośno wyrzucanych słów:

- On nie tylko wisi, ale tego... tego... no... chodzi za mną. To znaczy, nie chodzi - poprawił się dostrzegłszy drobny, lecz wymowny skurcz, jaki przebiegł wokół warg profesora - nie chodził, tylko jakby płynął. Kiedy się do niego zbliżyłem, do boku mi skoczył. O, tu.

- Skoczył do boku?...

- Tak!

Asystent krzyczał niemal:

- Wyeliminowałem wszystkie czynniki fizyczne I.. - konwekcja... jakieś pole siłowe... w pokoju nie ma żadnego promieniowania ani magnesu!... zresztą on jest niemetaliczny... nie... wszystko najzwyklejsze!...

- Więc zbadał go pan dokładnie? A jasno tam było?

- Panie profesorze - Czwartak znów gruchnął stawami, a głos zadrżał mu od przejęcia.

- Robiłem wszystko, co było możliwe. Geigerem badałem z różnych stron... szukałem i nic. Wisi wciąż przy tym parawanie, jakiś metr nad podłogą, jakby go tam coś przyssało, i... i wisi...

- Ale mówił pan, że zbliżał się do pana, a więc poruszał się swobodnie w przestrzeni, tak?

- Tak, za mną. O tu mnie też uderzył. W czoło. To pierwszym razem. Bo drugim - w bok. Myślałem nawet, że to może ja... że to ze mnie... ku mnie... taka jakaś siła... stąd... czy stąd...

- Jaka siła?

Czwartek pokręcił szyją, wzruszył ramionami, przełknął, szarpnął się i nie znalazł słów.

Profesor wstał, cofnął się za swój fotel i opierając się o jego wezglowie spytał rzeczowo:

- Czy subiektywnie - bo o innym stwierdzeniu nie może być mowy - wyklucza pan możliwość jakiegoś omamu, jakiejś pomyłki, jakiejś, hm, no, sugestii czy nawet złudzenia wynikłego z przepracowania? Rozumiecie, kolego, że nie chcę was urazić, ale...

Czwartek wielokrotnie przytaknął głową.

- Tak, rozumiem. Nie, nie, to nie mogła być halucynacja ani sen. To długo trwało. I w palec się ukłułem, żeby sprawdzić. Badałem, widziałem - podniósł ręce do oczu - dotykałem, widziałem go...

Profesor skinął poważnie głową.

- No tak, świadectwo zmysłów... wiemy, że nie są one niezawodne... i zawsze więcej jest szans na złudzenie, niż żeby się takie cudo przytrafiło...

Oczy Czwartka zapatrzyły się bezwolnie w śmiejącą się główkę bożka na profesorowym bibularzu. Nie zastanawiając się powiedział prawie szeptem:

- A przecież to się stało. Nie mówię, że cud, ale... może to ja sam... albo posążek jakiś niezwykle... Podobno takie fenomeny zdarzają się tam, na Wschodzie. Joga... magia... jakieś przyciąganie duchowe... coś stąd - pokazał palcem na czoło nie zdając sobie sprawy z tego, że było to wyraźnie dwuznaczne. Siołło jednak nie skorzystał z okazji zrobienia złośliwego żartu. Był gniewny, lecz opanował się.

- A... lewitacja?... - powiedział spokojnie unosząc lekko brwi, ale zarazem patrzył na swego asystenta tak, jakby to był całkiem obcy człowiek, którego widzi po raz pierwszy.

- Nie mówię... nie nazywam... ale jeżeli fizykalnie nie do wytłumaczenia... I dlaczego ze wszystkich przedmiotów właśnie ten... i do tego parawanu chińskiego?... Badałem

przecież... Może pan sam... - wyrzucał z siebie Czwartek ułamki zdań w najwyższym pomieszczeniu. Przez chwilę wydawało mu się, że spojrzenie profesora jest kpiące i zimne, ale przypisał to własnemu rozdrażnieniu.

Siołło podszedł do drzwi, przepraszając go na chwilę.

- Pójdę z panem, powiem tylko żonie, że wychodzę. Rychło wrócił niosąc na rękę płaszcz i kapelusz. W drzwiach stanął zdumiony. Asystent prostował się podnosząc z podłogi coś niezbyt wielkiego, czerwonego...

- A to co?

Oczy ich spotkały się. Czwartek trzymał w ręku bibularz profesora, który miał teraz odłamany jeden róg. Róg ten trzymał w drugiej ręce i obracał go w palcach nie wiedząc, co począć z błyszczącym okruchem laki.

- Aha... próbował pan powtórzyć eksperyment i nie udało się?...

Czwartek na przemian blednąc i czerwieniąc się położył nieszczęsny bibularz na biurku i podążył za profesorem; twarzyczka drewnianego bożka pożegnała go szyderczym uśmiechem.

Na ulicy jakiś czas szli w milczeniu.

- Pan nie pije ani nie pali, prawda? - zagadnął wreszcie Siołło asystenta.

- Nie, nie używam żadnych... w ogóle niczego nie używam.

Czwartek wsadził do kieszeni ręce mokre od potu. Gdy przez gałęzie drzew zaświeciło okno jego pokoju, coś jak bezsłowna modlitwa zrodziło mu się w duszy: żeby to jeszcze było! Weszli schodami na górę, obaj w płaszczach. Przed białymi drzwiami swego pokoju Czwartek zawahał się.

- Chwileczkę... niechże się pan uspokoi... - pewnym głosem powiedział Siołło. - Przede wszystkim - uczoney, prawda? - podparł Czwartka wzrokiem. - I niech mi pan powie, czy wolałby pan, żeby to było tam, czy też?... Asystent poczuł przyływ ufności. Siołło zacny, dobry człowiek.

- Ależ tak, oczywiście!

Wciąż stali pod drzwiami. Czwartek wyciągnął impulsywnie rękę.

- Zaraz. - Profesor wstrzymał go za ramię. - Czy pan wie, co to znaczy, jeżeli to naprawdę byłoby za tymi drzwiami?

- Tak. To znaczy, że zmanifestowała się jakaś siła...

- I nic więcej? Czwartek milczał.

- Gdyby się to stało - podniósł rękę profesor - to by obaliło naszą fizykę. To by oznaczało, że nie dopisuje termodynamika, że stała planckowska nie jest stałą... Bo pan chyba

dobrze wie, co to znaczy „nieskończenie małe prawdopodobieństwo”?... Nieskończenie małe!  
- powtórzył, jakby mówił już nie do Czwartka, lecz do tego, co było za zamkniętymi drzwiami.

- A więc nawet jeśli to ma obalić fizykę... jeśli to ma być świat chaosu!... to jednak tak jest! - zawołał Czwartek i gwałtownie otworzył drzwi.

W pokoju płonęły lampy. W ich blasku widniało wszystko takie, jakim je porzucił Czwartek: biurko odsunięte nieco ku ścianie, zasłane książkami, z maszyną do pisania, w której tkwił jeszcze papier, odtrącony w bok fotel, krzesło i... bibularz, który spoczywał na podłodze u stóp parawanu.

Profesor wszedł nie zdejmując kapelusza, rozejrzał się po pokoju i oparł rękę o poręcz fotelika.

- Więc? - powiedział.

- To było! Przysięgam, było! - krzyknął Czwartek. Oczy mu biegały. Nagle skoczył do bibularza, dopadł go, podniósł, wpatrzył się w roześmianą twarz ciemnego bożka, jakby mu coś nakazywał siłą płonącego spojrzenia, i rozsunął patetycznie ręce. Bibularz spadł stuknąwszy głośno o dywan. Czwartek siadł przy nim, a raczej opuścił się bezwolnie na podłogę.

- Nie... to niemożliwe... To tak długo trwało... - szeptał. - Najdrobniejsze szczegóły pamiętani... Ukłułem się w palec... o, jest jeszcze znak!... Kołysał się tu, przy tym smoku... a główka była ciepła... prawie gorąca... - przypomniał sobie naraz.

Siołło, do tej pory nieruchomy, z nasepionymi brwiami, z twarzą ukrytą w cieniu kresy wciśniętego na czoło kapelusza, jakby wstydził się uczucia litości, które budziła skulona postać Czwartka, nagle się wyprostował. Obnażył głowę.

- Była ciepła?! - wybuchnął. - Ciepła?! Ośle! dlaczegoś mi tego od razu nie powiedział?!

Stał, lekko rozkraczony, na środku pokoju, z wysuniętą po swojemu szczęką. Naraz podszedł do biurka tym samym elastycznym krokiem, jakim poruszał się w laboratorium. Podniósł słuchawkę telefonu.

- Centrala? dajcie mi kosmotron. Tak. Halo? Inżyniera Kiecia poproszę. A, to wy? No, co tam?...Za trzy dni będzie gotowy? Świetnie. Ale, ale, powiedzcie mi, proszę, coście robili dzisiaj tak z pół godziny temu... może trzy kwadransy?... Co?... Aha... podciągnęliście magnesy... aha...

Słuchał uważnie dłuższą chwilę.

Nagle się ożywił.



- Więc elektrycy go włączyli?...Ach, szukali zwarcia? I co, usunięte?...Dziękuję, to wszystko, co chciałem wiedzieć. Dobrze się uwijacie, wpadnę jutro rano. Do zobaczenia!

Odłożona na widełki słuchawka brzęknęła. Profesor zwrócił się do Czwartka, który tymczasem wstał i zgarbiony, z nie domkniętymi ustami, czekał jak na wyrok.

- Dajcie no wasze okulary, kolego... pozwólcie na chwilę...

Obejrzał je uważnie.

- Szkła czyste - bąknął asystent. Profesor zaprzeczył głową.

- Nie chodzi mi o szkła. No, tak. Dziękuję. Zwrócił mu okulary.

- A co macie w kieszeniach? Pokażcie. Nie, tylko w kieszeniach spodni.

Czwartek wytrzeszczył oczy, ale posłusznie wypróżnił kieszenie; ukazała się chusteczka, dwa cukierki eukaliptusowe i notes.

- Nic więcej? - zdziwił się Siołło. - Jakichś kluczy, scyzoryka nie macie?

- Nie...

- To dziwne. Zaraz... a jak właściwie zbliżaliście się do tego bibularza? W jaki sposób?

- Zwyczajnie...

- Jak zwyczajnie? Może próbowaliście go czym poruszyć? Jakimś przedmiotem? Co? przypomnijcie sobie! - atakował profesor.

Czwartek kiwał przecząco głową.

- Nie. Chociaż... Nie. Tylko krzesło...

- Co krzesło?

Asystent zaciął się. Profesor nie czekając na odpowiedź podszedł do krzesła, odwrócił je do góry nogami i naraz zawołał:

- A! skręcane na śruby! Zwrócił się szybko do Czwartka.

- Coście robili z krzesłem?

- Nic takiego...

- No?!

- Popychałem przed sobą... - wybełkotał w końcu Czwartek.

Siołło kiwnął tylko głową, zadowolony widocznie z odpowiedzi, i jasnym, młodzieńczym głosem rzekł:

- Wiecie, dlaczego się to wszystko stało? Przez rektora Lipniewicza i kosmotron!

- Jak to przez Lipniewicza?... Przecież on nie żyje?

- Tak. Ale żył, kiedy rozpoczęła się budowa naszego Instytutu. Rektor był zwolennikiem eksperymentów i za jego zgodą przy zakładaniu centralnego ogrzewania stosowano na próbę rozmaite nowe metody.

Na przykład w tym budynku zainstalowano ogrzewacze w postaci rur wmurowanych w ściany. Wasz pokój właśnie obiega dokoła wieloskrętna rura aluminiowa. Rura wieloskrętna, rozumiecie?

Czwartek skinął posłusznie głową, chociaż nic nie rozumiał.

- No, a drugim ogniwem był kosmotron.

- Przecież zepsuty...

- Właśnie dlatego. Gdyby nie był zepsuty, nic by w ogóle nie zaszło. A mówiąc konkretnie, stało się to dlatego, że oni zrobili wykop w fundamentach pod halą, żeby wstrzyknąć beton.

- Jak to?

- Czekajcie. Żeby zrobić wykop, musieli oswobodzić z obciążenia betonowy klocek, na którym spoczywa magnes kosmotronu. Podjechali więc dźwigiem - wiecie przecież, że tam jest ten ogromny dźwig na suwnicy, która idzie w poprzek całej hali. Podjechali dźwigiem, założyli łańcuchy żelazne i podnieśli biegun magnesu, niedużo, coś z pół centymetra, tyle, żeby oswobodzić fundament. Tak zostawili do końca roboty betoniarskiej. Tymczasem elektrycy usunęli zwarcie w uzwojeniach i włączyli na próbę prąd pełnego obciążenia, a nawet przekroczyli je o 10 pro - cent. No, a kiedy włączyli prąd, elektromagnes zaczął działać. Od jego bieguna strumień magnetyczny przepłynął przez łańcuchy, bo są żelazne, na korpus dźwigu, a z niego dalej na główny dźwigar suwnicy, także żelazny. Wtedy cała suwnica stała się jednym ogromnym magnesem. Wiecie, gdzie się kończy jej dźwigar? W ścianie, która oddziela ten budynek od hali kosmotronu, na wysokości podłogi waszego pokoju. Tam, w tym murze tkwił więc już nie martwy koniec żelaznej sztaby, lecz biegun potężnego elektromagnesu, pulsujący zmiennym polem magnetycznym. To pole wzbudziło prąd elektryczny w cewce. W jakiej cewce? Tu tkwi sęk! Cewką stały się rury centralnego ogrzewania obiegające wasz pokój kółkiem, mniej więcej do wysokości metra nad podłogą. Nie wiem dokładnie, ile tam jest tych zwojów, ale to można zobaczyć na planie. Indukowany prąd krążył sobie swobodnie, a wy nie mieliście pojęcia, że siedzicie wewnątrz cewki, przez którą płynie silny prąd elektryczny. Powstało więc magnetyczne pole; takie pole może wessać i unieść w powietrze niezbyt ciężki przedmiot...

- Ależ żelazny, żelazny przedmiot! - odezwał się wyschłymi ustami Czwartek.

- Oczywiście, że żelazny, a cóż wy myślicie, że ta główka jest przylepiona do bibularza, czy jak?

Profesor chwycił mocno bibularz w obie ręce, przekręcił raz, drugi, trzeci i oto w palcach została mu uśmiechnięta główka bożka z wystającą, kilkucentymetrowej długości stalową śrubą.

- To jest śruba, a tu - w podstawce - drewniany klocek, w którym ta śruba siedzi. Już dawno przypuszczałem, że Łączkowskiego nabrał antykwariusz i że to nie „jest wcale chiński antyk, ale zwyczajna seryjna „lipa”... Oto macie żelazne nadzienie bibularza, oto rdzeń waszego „wiszącego magnesu”, oto rozwiązanie! - nie bez patosu mówił Siołło. - Pole magnetyczne wessało śrubę, a wraz z nią bibularz, i starało się ustawić ją tak, żeby przecięła największą ilość linii siłowych. A więc gdzie winna się była ustawić śruba? - pytał, jak na egzaminie.

- Jak najbliżej zwojów...

- To znaczy gdzie?

- Przy ścianie...

- No właśnie, a że drogę do ściany przegrodził bibularzowi parawan, przywarł do jego powierzchni i tak sobie wisiał. Jeżeli jeszcze nie dowierzacie, przyjrzyjcie się krzesłu: jest skręcone żelaznymi śrubami - nóżki do siedzenia, widzicie? Kiedyście się zbliżali z krzesłem do bibularza, śruby, które stały się magnesami, zaczęły się nawzajem przyciągać. Krzesło naturalnie nie ruszało się, bo było na to za ciężkie, więc bibularz przyskoczył do niego.

- Myślałem zrazu, że przyciągał jakiś żelazny przedmiot w waszej kieszeni, i dlatego zdziwiłem się, kiedy się okazało, że nic takiego nie macie. No, a z okularami ta sama historia - są przecież stalowe. Ale powinny się były grzać, i to mocno. Co prawda, pole na wysokości głowy wyprostowanego człowieka było słabsze, cewka kończy się metr nad podłogą...

- Ach, to były prądy wirowe?... - zamierającym głosem odezwał się Czwartek. - To dlatego ta główka była taka ciepła...

- Naturalnie. Ale czyście nie zauważyli, że okulary się grzeją?

- O, mnie było i tak gorąco! - ze śladami poprzedniego podniecenia palnął asystent i zaczerwienił się. Siołło powściągnął uśmiech.

- Widzę, że wraca wam zdolność myślenia. Wszystkie przedmioty metalowe grzały się, i nic dziwnego, toż to pole magnetyczne wytworzone nad podłogą waszego pokoju miało tysiące Gaussów. Prawda, że bibularz jest lekki, inaczej nie mógłby tak swobodnie płasć po powietrzu. No, ale działał przecież specjalnie dla was drugi z kolei - największy elektromagnes świata. 110 tysięcy kilowatów, nie w kaszę dmuchał!!!

Profesor rzucił bibularz na biurko, w dwa palce ujął główkę roześmianego bożka i ciągnął:

- Ale wy, kolego, wyście myśleli... ech, wyście bardzo, bardzo niemądrze myśleli... Co tu gadać, całkiem żeście głowę stracili. Przecież wyście w jakieś duchy, spirytyzm, czary i cuda uwierzyli, to trzeba powiedzieć!

- To się chyba jeszcze na świecie nikomu nie przydarzyło - zaczął Czwartek, taki czerwony, jakby mu krew miała trysnąć z policzków. - Zbieg okoliczności, najniezwykleszy, jaki można sobie... ten bożek przeklęty... te smoki...

Rozłożył desperacko ręce.

- Smoki! Bożek! - parsknął Siołło. - Człowiek, a uczony w szczególności, jest od tego, żeby panować nad zbiegami okoliczności, żeby je rozsypywać, odrzucać pozory i odkrywać przyczyny zjawisk! Nie mówię, że musieliście od razu wpaść na rozwiązanie. Bynajmniej. Rzecz była niezwykła, w dodatku nie wiedzieliście o tych rurach, co?

- Nie. Nic nie wiedziałem.

- No, a ja wiedziałem. Mnie było łatwiej, naturalnie. A jednak... Zastanówcie się nad tym. Ja bym powiedział, że zawiniła tu wasza zbyt wielka pewność siebie. To nie jest paradoks. Jeżeli jestem przekonany, że wiem wszystko, będę nieomylnie wyrokować, jakie rzeczy są możliwe, a jakie nie. A kiedy napotkam zjawisko, które uznałem za niemożliwe, od razu stracę głowę i dojdę do przekonania, że nie wiem w ogóle nic. Tak jest, bo przeciwieństwem wiedzy skończonej i doskonałej jest niewiedza zupełna. Jeśli natomiast będę skromniejszy, wówczas nie będę wprawdzie całkiem pewny mojej wiedzy, ale nie będę także pewny, że to, co mnie się wydaje niemożliwe, jest takie w rzeczywistości... Tutaj dochodzimy do ciekawego podobieństwa waszego wypadku i sprawy stellaru. Tu, jak i tam, stanęliśmy w obliczu niemożliwości. Niemożliwości pozornej, jak się okazało. Ale o tym dowiedzieliśmy się później. Otóż Topolny wątpił - i wygrał, a wy wiedzieliście na pewno - i dlatego przegraliście. Ale potrzebne jest pewne subtelne rozróżnienie. Wątpić można rozmaicie. Topolny wątpił nie w wiedzę w ogóle, lecz w wiadomości istniejące. Wy natomiast, zderzywszy się z zagadką, utożsamiliście swój autorytet z autorytetem nauki - i zwątpiliście we wszelką wiedzę. No, a stąd już prosta droga do duchów.

- Tak jest, panie profesorze - odezwał się Czwartek. - Ale proszę, czy może mi pan powiedzieć, co pan by zrobił na moim miejscu?

- Co bym zrobił? Szukałbym, mierzył, badał. Starałbym się zrozumieć.

- A gdyby się to nie udało?

- No cóż, i to możliwe. Gdybym nie znalazł żadnego czynnika fizycznego, żadnej przyczyny zdolnej wyjaśnić to zjawisko, zacząłbym wątpić, ale nie w naukę, kolego Czwartek. Zważyłbym raczej w siebie.

Profesor wziął z biurka kapelusz.

- No, na mnie czas... Nagadałem wam brzydko, ale nie miejcie do mnie żalu: to po przyjaźni.

Już w drzwiach odwrócił się, spojrzał na stojącego nieruchomo asystenta i powiedział:

- Jutro o ósmej mamy ćwiczenia. A o tym, co się stało, zapomnę - jeśli takie będzie wasze życzenie. I wyszedł.

## **KRYSTAŁOWA KULA**

- A tutaj mamy sterylizatory...

Generał zajrzał przez uchylone drzwi w głąb sali. Ciągnęła się tam aleja wysokich jak kolumny, lśniących białością aparatów.

- No tak... - powiedział wreszcie - a gdzie te, mhm, owady?

Profesor Shepburn uśmiechnął się ukazując dwa rzędy wspaniałych zębów.

- Owady znajdują się w osobnym pawilonie. Możemy zajść tam, jeśli pan sobie tego życzy, generale, ale musiałby się pan, niestety, poddać później dość skomplikowanej dezynfekcji.

Generał podniósł brwi, dwie rude kępki włosów nad bladoniebieskimi oczami.

- Tak? No, niekoniecznie...- Szli teraz powoli korytarzem pełnym słonecznego blasku, który wpadał przez sięgające podłogi okna.

- Moja wizyta... pan orientuje się chyba, profesorze, jak wielką uwagę przywiązuje sztab do pracy powierzonej panu placówce. Otóż pragnąłbym poznać pana opinię...

powiedzmy, czysto osobistą... na temat tych, hm, trudności, na jakie napotkało zastosowanie BB w warunkach polowych.

Profesor słuchał dając poznać, że ani jedno słowo gościa nie może umknąć jego uwadze. Skierował się w boczną odnogę korytarza; pracownicy zakładu, postępujący w białych płaszczach kilka kroków z tyłu, zatrzymali się niezdecydowani. Profesor otworzył podwójne, skórą obite drzwi, ruchem ręki zaprosił generała i gdy ten przekroczył próg, szybkim gestem dał stojącym do zrozumienia, by odeszli.

Generał usiadł w fotelu przy szklanym stole. W pokoju panował, jak wszędzie, wonny chłód powietrza tłoczonego przez aparaturę klimatyczną. Ze szklanych menzurek ustawionych na stole wychylały się blade główki astrów.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, profesor przysunął gościowi pudełko cygar i zapalniczkę. Potem usiadł naprzeciw niego i założywszy ręce na brzuch puścił kciuki w młynka.

- Panie generale - rzekł patrząc przed siebie - pionierzy nowych myśli zawsze napotykali niepowodzenie na drodze do sukcesu. Z tym musimy się liczyć...

- Hm, nowa idea... - rzekł generał przez kłęb wydmuchiwanego dymu. - Ja, pozwolił pan profesor, nie jestem specjalistą, ale... ostatecznie - podjął bardziej niecierpliwie, niż to było jego zamiarem - ostatecznie epidemie dziesiątkowały w średniowieczu całe państwa!

- A, to coś zupełnie innego.

Profesor pochylił się lekko w stronę gościa i koncentrując na nim wzrok mówił, jakby odczytywał rozdział z książki:

- Myśl przenoszenia bakterii w ciałach owadów jest całkowicie nowa. Do pracy nad tym zagadnieniem przyciągnęliśmy, prócz amerykańskich, najwybitniejszych specjalistów japońskich i możemy dziś już poszczycić się rzeczywistymi osiągnięciami: chociażby symbioza przecinkowca cholery i muchy domowej. Udało się nam stworzyć specjalną mieszankę witaminową, którą żywimy muchy sześć razy dziennie, wskutek czego ich odporność na niekorzystne warunki, ich prężność biologiczna, a mówiąc popularnie ich... hm... zdrowie poważnie się poprawiło.

- Tak... tak... - burknął generał spoza chmury dymu. Obserwował rosnący na cygarze stożek białego popiołu. - Bardzo mi przykro, ale rezultaty polowe nie bardzo potwierdziły pana entuzjazm. Trzy lata temu powiedział pan: "Dajcie mi odpowiednie warunki materialne, a stworzę źródło niegasnących epidemii w Azji". Niegasnących, panie profesorze. Czterdzieści tysięcy dolarów kosztował sam przewóz zarażonych owadów do linii frontu, na

lotniska, a potem okazało się, że ciemny wieśniak koreański w parę miesięcy dał sobie radę z „niegasnącą epidemią”.

Profesor zacisnął szczęki.

- Popelniliśmy pewne błędy, do których się przyznajemy. Nie doceniliśmy zdolności organizacyjnych i obronnych przeciwnika... no tak. Ale teraz sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej. Dawniej owady były rzucane z samolotów prosto na śnieg. Oczywiście procent ginących był ogromny. Stąd duże straty. Od chwili jednak, kiedyśmy stworzyli Sekcję Psychologii, sytuacja uległa całkowitej zmianie.

- Psychologii? - powiedział niechętnie zdziwionym;

tonem generała. - To mi się wydaje fantastyczne. Cóż tu ma psychologia? Jeśli chodzi o psychikę nieprzyjaciela, te sprawy załatwia referat Strategii Psychologicznej przy Sztabie Zimnej Wojny w Pentagonie. Nie chcecie chyba dublować pracy naszych specjalistów?

- Nieporozumienie, drogi panie generale - z serdecznym uśmiechem rzekł profesor. - Nieporozumienie. Mam na myśli, oczywiście, sekcję zajmującą się badaniem psychologii owadów.

- Psychologia owadów? - Trudno się było zorientować, czy w głosie generała pobrzmiwa podziw czy kpina. - I jakież ona problemy rozstrzyga, ta sekcja, jeśli łaska?

- Bardzo ważne.

Profesor Shepburn był znowu oficjalnie oschły, jakby uraził go ton gościa. - Bardzo ważne - powtórzył. - Weźmy na przykład problem pcheł. Studiował go doktor Donald Wheland, jeden z naszych młodszych, ale bardzo zdolnych ludzi. Jest to wybitny specjalista w dziedzinie psychiki pchły *Pulex irritans*. Ponieważ przy zwykłym bombardowaniu bakteriologicznym wielki odsetek... hm... siły bojowej ginął, opracowaliśmy plan, który - w skrócie wygląda tak: lotnictwo strategiczne bombarduje miasta; gdy pozostali przy życiu mieszkańcy chronią się do ziemianek, następuje z kolei masowy zrzut zadżumionej pchły, i to w czasie chłodnych ranków, najlepiej gdy panują przymrozki. Pchły wydostające się ze zbiorników poszukują ciepłych kryjówek i wnikają masowo do ziemianek; że zaś wśród gnieźdzących się w nich ludzi większość stanowią kobiety i dzieci, stwarza się nader korzystna sytuacja, gdyż ten materiał ludzki jest mało odporny na dżumę.

- No, to nawet niezłe - rzekł z pewnym ożywieniem, generał. - Ale co to ma wspólnego z psychologią?

- Plan ten wypływa w całości z gruntownego zapoznania się z psychiką pchły - rzekł profesor kryjąc zniecierpliwienie. - Przedstawiłem go w bardzo uproszczonym skrócie. Doktor Wheland przez dwa lata przeprowadzał doświadczenia nad zachowaniem się siły

bojowej, to znaczy pchły, w rozmaitych warunkach. Badał żywotność reakcji w zależności od temperatury, oświetlenia...

Profesor umilkł. Po chwili, odchrząknawszy, podjął:

- Panie generale, mamy w zanadrzu jeszcze jeden, i to niemały atut, ale potrzebujemy pomocy. Chodzi o to, że entomolog francuski, profesor Chardin, odkrył sposoby doprowadzenia do symbiozy mrówek z licznymi szczepami bakterii. Pracę na ten temat opublikował pół roku temu w Journal de Biologie, ale nie podał tam szeregu niezbędnych danych motywując to tym, że nie chce, by mogły posłużyć celom wojennym. Niedawno ogłosił otwarty list potępiający BB...

- Komunista? - spytał generał z zainteresowaniem.

- Formalnie nie, ale z sympatiami, jak oni prawie wszyscy tam, we Francji.

- To się szybko rozprzestrzenia - zauważył generał.

- Ale nie u nas. Stworzyliśmy kordon sanitarny przeciw czerwonej epidemii - rzekł jowialnie uśmiechając się profesor. Spoważniał. - Więc, panie generale, poznanie wyników Chardina miałyby dla nas bardzo wielkie znaczenie. Bardzo wielkie. Nawet te ogólnikowe dane, które opublikował, pozwalają liczyć na 70... ba, co mówię, na 80 procent śmiertelności. Wśród dzieci, być może, do stu nawet...

- Marzyciel z pana - przerwał generał nieco sceptycznie. - No dobrze, w jaki sposób możemy wam pomóc?

- Potrzeba nam tego Chardina, generale. Nie tyle wyników jego pracy, co właśnie jego, bo prowadzi doświadczenia dalej i nie ulega wątpliwości, że większość spozrzeżeń przezornie nosi tylko w głowie. Próbowaliśmy ściągnąć go tu proponując mu doskonałą pozycję u nas w Princetown. Zrobiliśmy to spokojnie, bo przecież instytut nasz cieszy się doskonałą opinią i nikt nie wie...

- Była to niedopuszczalna lekkomyślność - dość ostro rzekł generał. - Nikt was nie upoważnił do samodzielnego nawiązywania kontaktów z zagranicznymi uczonymi. Ja wiem, ja wiem - przeciął profesorowi, który chciał coś powiedzieć - mieliście najlepsze intencje, ale ostrożność przede wszystkim. Chardin bada jakieś owady, jakieś bakterie, niedługo potem zgłasza się do niego Instytut Entomologiczny w Princetown - to może dać do myślenia, panie profesorze. Proszę o tym pamiętać i nigdy więcej...

Nie dokończył.

- Wracam do tego, jak mu tam? Chardina. Więc nie chce przyjechać?

- Nie.

- Oferowaliście mu dosyć?



- Najlepsze warunki. Odmówił.

- Komentował to jakoś?

- Nie.

- Dobrze. Postaramy się wam pomóc. Uważam jednak, że byłoby rozsądne wejść z nim w kontakt bezpośredni. Po dobru. To najlepsza metoda. Czy nie mógłby pan posłać którego ze swoich współpracowników? Chodzi o to, żeby to był ktoś z tej samej branży, specjalności, chciałem powiedzieć. Naturalnie ani pisać nie śmie, że pracuje w Princeton. Musi to być dobra siła, fachowiec budzący zaufanie... Nasi ludzie we Francji pomogą mu we wszystkim. Otóż to. Ten człowiek powinien budzić zaufanie.

Profesor zastanawiał się.

- Hm... ten pomysł wydaje mi się bardzo dobry... Kogo by tu posłać? Musi znać francuski... Ach, przecież właśnie Wheland zna ten język. I jeszcze, to psycholog-entomolog. Teraz jest co prawda na urlopie, ale to głupstwo... Tak, to doskonale. Dziękuję panu, generale. Będziemy kuć żelazo, póki gorące.

Doktor Donald Wheland siedział przy rozwartym na oścież oknie i wyciągnięty wygodnie, z nogami owiniętymi puszystym kocem, czytał książkę. W pokoju mimo białego dnia panował półmrok. Potęgował go strop czarny, jak uwędzony; krzyżowały się na nim grube, żywicą nasiąkłe dźwigary. Płasko wiązane płyty drzewa tworzyły posadzkę, ściany zbudowane były z grubych bali. Przez okna widać było lesiste stoki Łowcy Chmur, dalej masyw Cracatalqa i pionowy obryw najwyższego ze wszystkich Szczytu, podobnego do bawołu z ułamanym rogiem, który Indianie nazwali przed wiekami Wniebowziętym Kamieniem. Nad szarą od głazów doliną wznosiły się rozległe zbocza, w cieniu połyskujące lodem. Poprzez przełęcz Północnego Wiatru ział błękit równin. W niesłychanej odległości wzbijała się tam w niebo wąska smużka dymu - ślad czynnego wulkanu.

Doktor Wheland pogrążony był w lekturze. Z głębi wielkiego domu hotelowego nie dochodził najłżejszy szmer. Płomyki świec stały nieruchomo w chłodnym powietrzu. Blask ich wydłużał groteskowo kontur mebli ciosanych według staro indiańskich wzorów. Wielki fotel w kształcie ludzkiej szczęki rzucał na sufit makabryczne cienie zębatach poręczy kończących się wywiniętymi kłami. Nad komodą uśmiechały się wycięte w ścianie bezokie maskary, a okrągły stół opierał się na zwiniętym wężu, którego głowa spoczywała na dywanie połyskując oczodołami. Czerwonawo paliły się w nich półszlachetne kamienie.

Rozległ się daleki dźwięk dzwonka. Wheland odłożył książkę.

Jadalnia mieściła się piętro niżej. W jej szeroko otwartych drzwiach stał wózek, jakiego używają paralitycy. Spoczywał w nim mężczyzna tęgi, o twarzy mięsistej, z małym

noskiem zagubionym niemal między policzkami. Miał na sobie skórzaną bluzę. Był to właściciel hotelu górskiego, doktor Mondian Vanteneda.

Gospodarz uklonił się uprzejmie Whelandowi, który odpowiedział skinieniem głowy i ruszył do jadalni. Równocześnie z nim weszła chuda jak kij dama o czarnych włosach, przeciętych pośrodku pasem siwizny.

Stół nie był nakryty obrusem. Na czarnych deskach świeciły srebra i jaspisowa zieleń zastawy. Między wielkimi kredensami stał masywny kominek z chropawych głazów. Gdy służący w wiśniowej liberii obniósł pierwsze danie, wszedł ktoś spóźniony - siwy mężczyzna z rozdwojonym podbródkiem. Naprzeciw Whelanda siedział duchowny w wysokim kołnierzyku.

- Czy mister Cosmo nie wrócił jeszcze z wycieczki? - spytała chuda kobieta.

- Pewno siedzi na Zębie Mazumaca i patrzy w naszą stronę - odrzekł Mondian, który wtoczył się z fotelem w przerwę między krzesłami, umyślnie dla niego pozostawioną. Jadł szybko, z dużym apetytem. Poza tym odezwaniem się obiad upłynął - w milczeniu. Gdy służący nalał ostatnią czarkę czarnej kawy, której aromat mieszał się ze słodkawym dymem cygar, chuda kobieta odezwała się ponownie:

- Doktorze Yanteneda, musi pan nam dziś opowiedzieć dalszy ciąg tej historii o Oku Mazumaca.

- Tak, tak - powtórzyli wszyscy.

Mondian, trochę odęty, splótł palce na grubym brzuchu. Potem obrzucił wszystkich spojrzeniem, jakby zamykając krąg słuchaczy. Dogasająca kłoda trzasnęła na kominku. Ktoś odłożył widelec, brzęknęła łyżeczka i nastąpiła cisza.

- A na czym skończyłem?

- Na tym, jak Don Esteban i Don Guilielmo poznawszy legendę o Cratapulqu ruszyli w góry, aby dostać się do Doliny Czerwonych Jezior...

- Przez cały czas wędrówki - zaczął Mondian - obaj Hiszpanie nie spotkali żadnego człowieka ani zwierzęcia i słyszeli tylko niekiedy skwiry szybujących orłów, czasem zaś przeleciał nad nimi sęp. Po wielu wysiłkach udało im się wejść na grań Martwej Ręki. Ujrzeni wówczas przed sobą wysoki grzbiet, podobny do kadłuba konia, który staje dęba, z niekształtnym łbem przewieszonym w niebo. Jego szyję, ostrą jak szyja konia, owiewała mgła. Wówczas don Esteban przypomniał sobie dziwne słowa starego Indianina z nizin: „strzeżcie się grzywy Czarnego Konia”. Obaj naradzali się, czy mają iść dalej. Don Guilielmo miał, jak pamiętacie, wytatuowany na przedramieniu szkic orientacyjny łańcucha górskiego. Zapasy kończyły się im już, choć szli dopiero szósty dzień. Zjedli więc ostatnie zapasy

solonego, wyschłego Jak powróż mięsa i zaspokoiли pragnienie przy źródleku, które wytryska pod Ściętą Głową. Nie mogli jednak zorientować się w okolicy, gdyż wytatuowana mapa była niedokładna. Przed zachodem słońca mgły zaczęły się wznosić na podobieństwo przybierającego morza. Ruszyli w górę, wspinając się na grzbiet Konia, ale choć szli tak szybko, że krew rozdzwoniła im się w głowach, a w usta łapali oddech jak zdychające zwierzęta, mgła była szybsza i dognała ich na samej szyi Konia.

W tym miejscu, gdzie objął ich biały całun, grań zwęża się i nie jest szersza od trzonka maczety. Gdy więc nie mogli dalej iść, a zewsząd otoczyła ich nieprzenikniona, wilgotna biel, siedli na grani okrakiem, właśnie tak jak się siada na konia, i w ten sposób posuwali się do zapadnięcia ciemności. Gdy zaś zupełnie opadli z sił, grań się skończyła. Nie wiedzieli, czy jest to obryw przepaści, czy też owo zejście w Dolinę Siedmiu Czerwonych Jezior, o którym opowiadał im stary Indianin. Przesiedzieli więc noc całą, wzajemnie podtrzymując się plecami, wsparci o siebie, grzejąc się własnymi ciałami i opierając nocnemu wiatrowi, który gwizdał o grań jak nóż o kamień. Zdrzemnięcie się groziło runięciem w dół, nie zmrużyli więc oczu przez siedem godzin. Potem weszło słońce i rozbiło mgły. Ujrzeni, że skała ucieka im spod nóg w dół tak pionowo, jakby siedzieli na szczycie muru. Przed nimi ziała ośmiostopowa wyrwa. Mgły targały się na strzępy o szyję Konia. Poznali wtedy w oddali czarną Głowę Mazumaca i ujrzeli bijące w górę słupy czerwonych dymów, pomieszane z białymi obłokami.

Krwawiąc ręce o głązy zeszli wąskim zlebem i dotarli do górnego kotła Doliny Siedmiu Czerwonych Jezior. Tutaj jednak opuściła Guilielma reszta sił. Don Esteban wszedł pierwszy na półkę skalną wiszącą nad otchłanią i prowadził towarzysza za rękę. Szli tak, aż natrafili na ospisko, na którym mogli spocząć. Słońce weszło wysoko i Głowa Mazumaca zaczęła pluć w nich bryłami kamieni odpryskującymi od przewieszek. Uciekli więc w dół. Gdy Głowa Konia wisiała nad nimi tak mała jak piąstka dziecka, ujrzeli pierwsze Czerwone Źródło buchające obłokiem rdzawych pian. Wówczas don Esteban wyjął zza pazuchy pęk rzemieni wygarbowanych na kolor drzewa akantu, których frędzle pomalowane były na czerwono i pozwijane w liczne węzły. Przesuwał po nich długą chwilę palcami, odczytując indiańskie pismo, aż odgadł właściwą drogę.

Otworła się przed nimi Dolina Milczenia. Szli jej dnem po ogromnych głązach, między którymi ziały szczeliny bez dna. ‘

„Czy jesteśmy już blisko?” - spytał Guilielmo szeptem, gdyż głos nie mógł wydobyć się ze spieczonego gardła.

Don Esteban dał mu znak milczenia. W pewnej chwili Guilielmo potknął się i potracił kamyk, który pociągnął za sobą inne. Na odzew tego głosu pionowe ściany Doliny Milczenia zadymiły, pokrył je srebrny obłok i tysiące wapiennych maczug runęło w dół. Don Esteban, który przechodził właśnie pod sklepioną kolibą, wciągnął przyjaciela pod przykrycie kamiennej tarczy, gdy druzgocąca lawina dopadła ich i przeszła jak burza dalej. Po minucie nastąpiła cisza. Don Guilielmo miał głowę okrwawioną odpryskiem głązu. Jego towarzysz zdarł z grzbietu koszulę, porwał ją na pasy i przewiązał mu czoło. Wreszcie, gdy dolina stała się tak wąska, że niebo nad nimi nie szersze było od rzeki, ujrzeli spływający po głązach, bez najsłabszego szmeru, potok, którego woda, jasna jak szlifowany diament, wpadała do podziemnego koryta.

Musieli teraz wejść po kolana w strumień bystry i lodowaty, który podcinał im ze straszną siłą nogi. Niebawem jednak wody skrzyły w bok i stanęli na suchym, żółtym piasku, przed pieczarą z licznymi oknami.

Don Guilielmo pochylił się, osłabły, i dostrzegł, że piasek lśni dziwnie. Garść, którą podniósł do oczu, była niezwykle ciężka. Przybliżył rękę do ust i zgryzł to, co wypełniało mu dłoń; poznał, iż pełna jest złota.

Don Esteban przypomniał sobie słowa Indianina i rozejrzał się po grocie. W jednym jej kącie błyszczał jakby pionowy, zastygły, nieruchomy zupełnie płomień. Był to blok wypolerowanego wodą kryształu, nad którym ział w skale otwór. Prześwitywało przezeń niebo. Podeszedł do przezroczystej bryły i zajrzał w jej głąb. Kształtem przypominała wbitą w grunt olbrzymią trumnę. Zrazu widział w głębi tylko miliardy ruchomych płomyków, oszłamiające wirowisko srebra. Potem wydało mu się, że wszystko naokół ciemnieje i dostrzegł wielkie, rozchylające się płaty kory brzozonej. Gdy znikły, ujrzął, iż z samego środka lodowej bryły ktoś nań patrzy. Była to miedziana twarz, pełna ostrych zmarszczek, o oczach wąskich jak klinga. Im dłużej patrzył, tym wyraźniej rósł w niej zły uśmiech. Z przekleństwem uderzył w głąz sztyletem, lecz ostrze ześliznęło się bezsilnie. Zarazem miedziana twarz wykrzywiła się śmiechem i znikła. Ponieważ don Guilielmo zdawał się gorączkować, jego towarzysz zachował tajemnicę widzenia dla siebie.

Ruszyli dalej. Grota rozpościerała się siecią korytarzy. Wybrali najszerszy i zapaliwszy przyniesione pochodnie, ruszyli w głąb. W pewnym miejscu czarną paszczą otworzył się w chodniku boczny korytarz. Buchało stamtąd powietrze gorące jak ogień. Musieli przebyć to miejsce skokiem. Dalej korytarz zacieśniał swoją gardziel krzemienią. Jakiś czas szli na czworakach, wreszcie znaleźli się w przejściu tak ciasnym, że musieli pełzać. Potem jednak prześwit zwiększył się i mogli klęknąć. Gdy ostatnia pochodnia zaczęła

się dopalać, grunt zaczął chrzęścić im pod nogami. Puścili nieco blasku pod stopy: klęczeli na żwirowisku, złożonym z brył złota.

Ale i tego było im mało. Pragnęli, poznawszy Usta Mazumaca i jego Oko, zobaczyć także jego Trzewia. Don Esteban szepnął w pewnej chwili do towarzysza, że coś widzi.

Guilielmo daremnie wzywał mu przez ramię.

„Co widzisz?” - spytał.

Estebanowi koniec płonącego smolaka parzył już palce. Powstał nagle; ściany odeszły gdzieś, był tylko wielki mrok, w którym pochodnia drażyła czerwoną grotę. Guilielmo widział, jak towarzysz postępuje naprzód, a płomień w jego ręku chwieje się, rzucając olbrzymie cienie. Nagle w głębi zamajaczyła widmowa olbrzymia twarz, odwrócona oczami w dół, zawieszona w powietrzu. Don Esteban krzyknął. Był to krzyk straszliwy, ale Guilielmo zrozumiał słowa. Towarzysz jego wzywał Jezusa i jego Matkę, a tacy ludzie jak Esteban wołają te słowa tylko twarz w twarz ze śmiercią. Gdy rozległ się krzyk, Guilielmo zakrył twarz rękami. Potem zagrzmiało, owiał go płomień i stracił przytomność.

Doktor Mondian pochylił się do tyłu i oparł głowę o poręcz. Milcząc patrzył gdzieś między siedzącymi, ciemny na tle okna, którego kontur przecięty piłą gór liliował w narastającym zmierzchu.

Wheland tłumiąc dech czekał końca opowieści.

- W górnym biegu Araquerity Indianie polujący na rogacze wyłowili białego człowieka, który do barków miał przyzwiązaną wydętą powietrzem skórę bawoły. Plecy jego były rozcięte, a żebra wyłamane na boki na kształt skrzydeł. Indianie obawiając się wojsk Corteza usiłowali spalić zwłoki, jednakże o ich osiedle zawadziła konna sztafeta Ponterona, zwanego Jednookim. Trupa zawieziono do obozu i rozpoznano don Guilielma. Don Esteban nie wrócił nigdy.

- A więc skąd znana jest cała ta historia? Głos ten rozległ się jak zgrzyt. Wheland z niechęcią spojrzął na oponenta. Wszedł służący ze świeczkami. W ich ruchliwym świetle ukazała się twarz pytającego, cytrynowa, o bezkrwistych ustach. Uśmiechał się uprzejmie.

- Powtórzyłem na początku opowieść starego Indianina. Mówił on, że Mazumac widzi wszystko przez swoje oko. Wyrażał się może nieco mitologicznie, ale w zasadzie miał rację. Był to początek szesnastego wieku i niewiele wiedzieli Europejczycy o możliwościach wzmoczenia siły wzroku, jaką dają szlifowane szkła. Dwa olbrzymie kryształy górskie, nie wiadomo czy stworzone siłami natury, czy też obrobione ludzką ręką, stały na Głowie Mazumaca i w grocie Trzewi tak, że patrząc w jeden, widziało się wszystko, co się dzieje w otoczeniu drugiego. Był to niezwykley telewizor lub jeśli wolicie państwo, peryskop

utworzony z dwu systemów lustrzanych oddalonych od siebie o trzydzieści trzy kilometry. Indianin, który stał na szczycie Głowy, widział dwóch świętokradców wstępujących w Trzewia Mazumaca. Być może, nie tylko widział, ale mógł spowodować ich zgubę.

Mondian wykonał szybki ruch ręką. Na stół, w krąg pomarańczowego światła, padł pęk rzemieni związanych u jednego końca jak tatarski buńczuk, pokrytych spęzła już zupełnie farbą. Skórę cechowały głębokie pęknięcia; łuski, którymi szeleściła przy poruszeniu, wskazywały, jak bardzo była stara.

- Był więc ktoś - kończył Vanteneda - kto śledził losy wyprawy i pozostawił jej opia.

- A więc pan zna drogę do pieczary złota?

- A gdzie jest ów telewizor niezwykły? - spytał Wheland.

Uśmiech Mondiana był coraz obojętniejszy, jakby wraz z niknącymi za oknem szczytami odpływał w noc górską, lodowatą, milczącą, samotną.

- Ten dom właśnie stoi u wejścia do Ust Mazumaca, Gdy się w nich wymówiło słowo, Kotlina Milczenia powtarzała je straszliwym grzmiotem. Był to naturalny kamienny głośnik, megafon, tysiąc razy-potęźniejszy od elektrycznych.

- Jak to?...

- Taflę lustrzaną trafił przed trzema wiekami piorun, roztopiając ją na kupę kwarcu. Kotlina Milczenia.- to właśnie ta, na którą wychodzą okna domu, don Esteban zaś i don Guilielmo przybyli od strony Bramy Wiatrów. Można tam dostrzec jeszcze resztki zwietrzałej Głowy Konia. Czerwone Źródła dawno wyschły, tylko rdzawy piasek leży pod głazami.

- Ależ teraz głośno wymówione słowo nie strąca już głazów!

- Nie, widocznie dolina była rezonatorem i pewne drgania dźwiękowe powodowały obluźnienie tkwiących w skałach brył. Z czasem kruszące działanie wody, wiatru i mrozu powiększyło jej rozmiary i moc rezonansu wygasła...

- A wejście do pieczary?

- Wejście to jest oddalone o półgodzinną wędrówkę od naszego domu. Usta zamilkły jednak na zawsze, gdyż mały maszt Łowcy Chmur zawałił przejście... Pieczarę zaś zamknął wstrząs podziemny. Był tam głaz wiszący, który jak klin odsuwał od siebie dwie ściany skalne. Wytrąciło go z łoża wstrząśnienie, a ściany zawarły się na zawsze. U wejścia zostało nieco złotego piachu, ale potok, który nie mógł już przedostać się do podziemia, zalał dno kotliny tworząc Jezioro Martwej Ręki. Co się stało później, gdy Hiszpanie usiłowali sforsować przesmyk, kto strącił na kolumnę pieszych Corteza lawinę kamienną - Indianie czy burza - nie wiadomo. Myślę też, że nikt tego nie będzie wiedzieć nigdy.

- No, no, doktorze Yanteneda, ale - to niesłychane. Jezioro można wypompować, skały rozsunać maszynami, windami, nieprawdaż? - przemówił niski, gruby jegomość, zajmujący miejsce przy końcu stołu. Palił cienkie cygaro ze słomką.

- Sądzi pan?

Mondian nie ukrywał pogardy.

- Nie ma takiej siły, która rozwarłaby Usta Mazumaca, jeśli On sobie tego nie życzy - powiedział odpychając się gwałtownie od stołu. Powiew zgasił dwie świece. Ostatnia paliła się nierównym, błękitnawym płomieniem, nad którym, jak małe ćmy, polatywały płatki kopci.

- Zresztą - dodał zupełnie innym tonem - może pan spróbować.

Wsunął pomiędzy twarze swoją owłosioną rękę i chwycił ze stołu pęk rzemieni. Potem skręcił na miejscu wózkem z taką siłą, że guma kół zaświszczała, i wyjechał otwartymi drzwiami. Po chwili wszyscy zaczęli wstawać i wychodzić. Wheland siedział wciąż przy stole, zapatrzony w ruchliwy płomień świecy.

- Niezwykła historia - powiedział, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, do kogo mówi. Podniósł oczy. Stał przed nim żółtolicy człowieczek, który przerwał przedtem Mondianowi.

- I pan w to wierzy? - rzekł tamten z jawnym szyderstwem. - Poczciwy doktor Mondian jest dobrym businessmanem i dba o rozrywki pensjonariuszy. Nie bez kozery udaje zubożalego szlachcica hiszpańskiego.

- Jak to - rzekł wstając Wheland - pan myśli, że ta historia?...

- Reklamowa bajda oczywiście. Przypuszczam, że nawet jego wózek stanowi część dekoracji...

Skinąwszy Whelandowi głowę żółtolicy wyszedł. Zjawił się służący i złożył przed srebrną, wytrawioną ogniem na błękitny kolor kratą kominka naręczce wielkich polan. Z otwartego okna ciągnął lodowaty powiew. Służący umiejętnie rozrzucił żar, zbudował nad płomieniem kunsztowny dach z bierwion i zniknął jak cień. Doktor Wheland został sam. Wzdrygnął się od przejmującego chłodu. Przysunął sobie fotel do ognia i manipulował nim właśnie, chcąc ustawić go jak najwygodniej, gdy drzwi się otwarły, Wheland spojrzał w tę stronę i aż wzdrygnął się ze zdziwienia.

- Co, pan...

- Bez nazwisk - odezwał się przybyły. Kołnierz miał postawiony, kapelusz na głowie. Na powitanie dotknął jego kresy jednym palcem.

- Skąd się pan tu wziął?

- Cholerne pustkowie. Mam do pana interes.

- Interes? - Wheland skrzywił się niechętnie. - Jestem na urlopie, zastępuje mnie Cordell.

- Tego Cordell nie może załatwić.

- Dlaczego? Co się stało? W Instytucie?...

- Wszystko O. K. Jest inna sprawa. Nowa. Tutaj nie mogę mówić. Gdzie pański pokój?

- Niech to diabli wezmą - Wheland był zły. - Cóż za historia znowu?!

Szedł już do drzwi, nagle coś go tknęło. Staął.

- Ale, ale - powiedział - jak się pan tu dostał? Przecież pociąg przychodzi tylko raz dziennie, rano.

- Przyleciałem helikopterem.

Wheland gwizdnął przeciągle i bez słowa pospieszył za przybyszem.

Doktor Wheland przyleciał do Paryża samolotem Panamerican Airlines i zamieszkał w Grand Hotelu. Nazajutrz po przybyciu zatelefonował do ambasady Stanów Zjednoczonych i w godzinę później spotkał się z agentem, który miał mu pomagać we wszechstronnym „rozpracowaniu” Chardina. Porozumiawszy się z Whelandem agent zniknął z Paryża. Po tygodniu wrócił przywoząc niezbyt pocieszające wieści. Jak z nich wynikało, profesor zamieszkujący duży dom w La Chapelle-Neuf, jakieś 230 kilometrów na północo-wschód od Paryża, prowadził niezwykle samotny tryb życia, nie udzielał się towarzysko i zasadniczo nie przyjmował u siebie nikogo, a już nawet słyszeć nie chciał o kontaktach z Amerykanami. Agent zakończył swoje sprawozdanie wyrażeniem przekonania, że sprawa bynajmniej nie jest przegrana, i polecił Whelandowi przygotować się do wyruszenia z Paryża we właściwej chwili. Nastąpi ona, wyjaśnił, gdy zajdzie sprzyjający zbieg okoliczności. Ponownie zniknąwszy z pola widzenia, agent nie dawał znaku życia przez cały miesiąc i Wheland poświęcił ten czas na zwiedzanie nocnych lokali, co poprawiło mu humor, zepsuty nagłym przerwaniem urlopu.

Pewnego wieczoru agent zatelefonował do niego z miasta oświadczając, że owoc dojrzał. W kwadrans później przyjechał do hotelu. Przy czarnej kawie wyłożył doktorowi szczegółowo opracowany plan kampanii. Składał się on z trzech części. Pierwsza zajmowała się „zdobyciem twierdzy”, to jest przeniknięciem do domu Chardina. W tym celu miał Wheland wyjechać samochodem następnego dnia po południu i dwa kilometry za La Chapelle-Neuf - w szczerym polu, pod grupą skał wapiennych - zatrzymać się wskutek „defektu” motoru. Opuściwszy auto miał szukać noclegu w najbliższym otoczeniu. „Zbieg



sprzyjających okoliczności” polegał na tym, że jedyna w promieniu 30 kilometrów obozowa, leżąca na drodze do domostwa profesora, uległa właśnie zniszczeniu przez pożar. Po odwiedzeniu jej zgliszcz dla zachowania pozorów, winien był Wheland udać się prosto do domu Chardina i przedstawiając swoje fatalne położenie, prosić o nocleg. Należało liczyć na to, że profesor nie odmówi gościnności samotnemu, zbłąkanemu cudzoziemcowi.

Tutaj rozpoczynała się druga część planu. W rozmowie z Chardinem miał Wheland dać w subtelny sposób do zrozumienia, że jest wprawdzie Amerykaninem, ale Amerykaninem postępowym, z wyraźnymi akcentami lewicowości. Agent przedłożył doktorowi dokładny a zwięzły spis odpowiednich poglądów i przekonań, trzeba było też wprowadzić pewne poprawki do naukowej biografii Whelanda. Nie śmiał on, rzecz jasna, przyznać się do swych związków z Instytutem Entomologicznym w Princeton, którego zaproszenie Chardin tak energicznie w swoim czasie odrzucił.

Trzecia część planu określała dalsze postępowanie tylko ramowo, gdyż trzeba je było uzależnić od atmosfery przyjęcia i tonu rozmowy. Wskazane było pociągnąć ostrożnie profesora za język w sprawie pożądanых informacji, unikając jednak jakiegokolwiek przeciągania struny; gdyby Chardin okazał najmniejsze oznaki nieufności, należało udawać zupełny brak zainteresowania dla jego badań i porzuciwszy wszelką indagację nadać rozmowie charakter duchowej biesiady dwóch kolegów po fachu. Głównym punktem trzeciej części planu było przygotowanie gruntu pod zaproszenie Chardina na konferencję entomologów w Los Angeles, mającą się odbyć w pierwszej połowie przyszłego roku.

Wheland powtórzył dokładnie wszystkie punkty postępowania i kiedy został sam w pokoju hotelowym, jał studiować nowe szczegóły swej biografii, podczas gdy agent zajął się dostarczeniem samochodu i przygotowaniem do podróży.

Jakoż nazajutrz po obiedzie doktor zasiadł za kierownicą obszernego, turystycznego talbota, z którego bagażnika, dla uwypuklenia niewinnego charakteru wycieczki, sterczały futerały wędzisk, a do dachu przytroczony był zrolowany namiot campingowy. Stojący na krawężniku obok garażu agent przesłał doktorowi ostatnie pozdrowienie nieznacznym ruchem ręki i Wheland posiłkując się mapą samochodową północnej Francji, rozłożoną na pustym miejscu obok siebie, wyruszył samotnie na wyprawę.

Podczas gdy wóz pędził z dużą szybkością po asfaltowej szosie, Wheland zastanawiał się nad rozmaitymi szczegółami przygody, jaka go czekała, obmyślając zespół logicznie powiązanych odpowiedzi na prawdopodobne pytania. Powtarzał w myślach swoje nowe poglądy, ustalał etapy działania i szykując się do decydującej rozprawy, nie bez zadowolenia

odkrywał w sobie nie przeczuwane dotąd zdolności. Minąwszy Illy Dancour skręcił za wskazaniem mapy na wschód.

Dzień, jakby pogrążony we wnętrzu matowej perły, kończył się i opadające mgły opalizowały coraz różowiej. Wheland zmniejszył nieco szybkość, aby nie znaleźć się we właściwym miejscu drogi przed nastąpieniem nocy. Wokół roztaczało się zupełne bezludzie, aż po horyzont biegły puste, jakby wymarłe wrzosowiska. Przemknął przez La Chapelle-Neuf i jeszcze bardziej zwolnił bieg samochodu. Ujrawszy grupę skał wapiennych, oblaną ostatnim blaskiem słońca, nacisnął hamulce. Ledwo samochód stanął, Wheland wysiadł i wymontował gaźnik oraz świece, żeby w taki sposób stworzyć pełny obraz „defektu”. Oczekując ciemności, wypalił dwa papierosy na stopniu samochodu.

Kiedy motor zgasł, okolica odmieniła się. Wiatr spowodowany pędem auta ustał. Była wielka cisza. Kilka kroków w bok od szosy, za grupą starych drzew ciągnęły nikle pasma mgły. Niebo zachodu wznosiło się czerwoną, stromą ścianą. Wheland zdeptał niedopałek, przeciągnął się i obszedł auto. Spojrzał na lampkę płonąca nad tabliczką numeru i wzruszył niechętnie ramionami, jakby mówiąc: „przeklęty stary grat”. Z tą chwilą rozpoczynał grę i chociaż w promieniu kilometrów nie było żywego ducha, żeby całkowicie wczuć się w rolę, postępował tak, jakby naprawdę uległ wypadkowi. Raz jeszcze pogrzebał pod maską motoru, spojrzął na ręce, czy noszą ślady smarów, i odszukawszy właściwy kierunek rezolutnie ruszył na przełaj przez pola.

Stała wielka cisza. Chmury jak płonące lilie spadały w ciemność. Otoczyła go pustka. Przedtem odganiał ją warkot motoru. Whelandowi wydało się, że jest pierwszym człowiekiem stąpającym przez to mroczne pustkowienie. Gdzieś odezwał się głucho ptak błotny. Głos szedł przyziemnie w wilgotnym powietrzu.

Gdy odszedł na kilkaset kroków, odwrócił się. Maszyny nie było już widać. Ciemność zaległa taka, że zamknięcie oczu wcale nie hamowało marszu, ale za kwadrans wejść miał księżyc. Ziemia odezwała się parę razy podstępny sykiem. Wheland rzucił snop światła z myśliwskiej latarki. Bardzo zielona trawa gęsto zarastała kożuch bagniska. Pod stopą ugięła się powoli i miękko. Z głębi płynął powolny bulgot. Coś się tam napręzało, przelewało. Whelandowi zrobiło się nijako. Czy nie lepiej było iść szosą? Cóż za idiotyzm - skrót w nieznaną okolicę! W myślach kłął własną głupotę. Każdy krok mógł być ostatni. Może lepiej wrócić do auta?...

Szedł dalej. Trzeba było wznieść się na wzgórze. Grunt stał się suchy. Szorstkie, sztywne kłosa trawy były po nogach. Spojrzał na kompas, czy utrzymuje kierunek, i przyspieszył kroku.

Szczyt wzgórza odcinał się od nieba, pokrytego białymi obłokami nocy. Nagle chmury zajaśniały i wielki dysk księżyca wysunął się zza ich brzegów. Długie, płynne cienie mknęły trawami. Ze szczytu nie widać było nic, a przecież oberża miała się znajdować na dole. Wheland ruszył dalej.

Jeszcze kilka razy grunt zaczynał syczeć i uginać się, jak napięte na wodzie płótno, wreszcie, gdy wydawało mu się, że dawno minął już oberżę i zagłębia się coraz bardziej w krainę niedostępnych moczarów, zamajaczyło coś bardziej czarnego od nocy. Chmury zakryły księżyc i trudno się było zorientować. Wheland wyciągnął rękę. Dotknął chropawego muru. Obszedł go i stanął.

Przed nim dymiło siwe pogorzelsko. Z opalonych belek unosił się wąską kitą dym. Pojedyncze iskry jak obudzone świetliki biegły w górę, zataczały złote parabole i nikły. Tam gdzie przedtem stała duża izba, pełgał karminowy blask. Wheland postąpił dwa kroki.

- Hej! - zawołał - czy jest tu kto?!

Coś zaskrzypiało za jego plecami. Odwrócił się. Nikła światło pogorzelska tak go oślepiło, że zaniewidział. Dopiero po dłuższej chwili dostrzegł w tamtej stronie, prostokątny zarys szopy. Wielkie wrota odsunęły się może na stopę i nisko nad ziemią wysunęła się głowa okutana zakopconą chustką.

- Co się tu stało? - zapytał Wheland podchodząc. - Chciałem przenocować...

- Dom się spalił - zachrypiał głos. Była to bardzo stara kobieta. Czerwony blask węgla nie docierał w głąb zmarszczek jej twarzy, skurczonej jak wyschły owoc.

- Nie można zanocować? - tonem rozczarowania spytał Wheland.

- Dom się spalił - powtórzyła. - Gospodarz pojechał do miasta. Nikogo nie ma.

- A wy kto jesteście? - rzucił Wheland. Należało ruszać, ale odczuwał niejasną ciekawość.

- Ja? - Milczała chwilę. Wiatr nadbiegł i strąk siwych włosów zatrzepotał, zaróżowiony światłem. - Matka.

- To był wypadek?

- Podpalenie - odpowiedziała spokojnie, tak spokojnie, że Wheland przestraszył się. Milczenie rosło.

- To nie można zanocować? - bąknął, aby tylko coś powiedzieć.

- Dom się spalił - powtórzyła z jednakim spokojem.

- A nie ma tu innego domu w okolicy? Przyjechałem z daleka, samochód mi się popsuł, nie znam okolicy - rzucił pospiesznie Wheland.

Teraz nie mógł już odejść, musiał czekać na odpowiedź.

- Nie, nie ma. - Potrząsnęła przecząco głową. Wheland zgłupiał. Tego plan nie przewidywał. Odejść po prostu czy nalegać? Drogę znalazłby sam.

- Jak to nie ma? - powiedział. - Nie ma żadnego domu?

- Dom?...

Za nią, w głębi, rozległ się chrapliwy głos. Wheland drgnął i zaklął zaraz cicho. To była krowa.

- A... dom?- powiedziała stara. - Jest dom. Tam za Skałą Biskupią.

Wysunęła przez szparę rękę. Dłoń była wielka jak męska, wyglądała niby ciemna rękawica nasadzona na chudy, białawy piszczel.

- Ach, jest dom. To tam można przenocować? - na pół pytająco rzucił Wheland, z ulgą zabierając się do odejścia.

- Tam - powtórnie wskazała kierunek - ale tam nie można pójść. To Jakub Chardin.

- Czemu? Czy też się spalił? - spytał Wheland. Rodziła się w nim złość na spokój starej kobiety.

- On nie przyjmuje nikogo.

- Mnie przyjmie - odrzucił Wheland, coraz bardziej zły. Po jaką biedę gadam z nią? - strofował się w duchu, a jednak podciągnąwszy ramię plecaka spytał:

- Co to za jeden, ten Chardin?

Powinien był odejść, ale stał. Może dlatego, że stara kobieta patrzyła mu w twarz. Głowę trzymała nieco skosem. Patrzyła z dołu w górę, tak nieruchomo, że Wheland po raz drugi poczuł niepokój. Ramiona jej wydostały się przez rozszerzającą się szparę wrót. Zaczęła dygotać. Trzęsła się coraz mocniej. Łzy błysnęły w jej oczach, ale to nie był płacz. Wheland zdrętwiał.

- Mrówki... - wykrztusiła nareszcie.

- Co?!

- On... pasie...

- Co robi?... - bezwładnymi ustami spytał Wheland.

- Mrówki. Pasie mrówki...

Wheland odchrząknął, energicznie poprawił pas plecaka, skinął starej głową i powiedział:

- To tam, co?

Ruszał już, gdy się odezwała:

- Tam za Skałą Biskupią.

Znowu zaczęła się trząść, jakby tłumiać gwałtowny kaszel. Wyszła na zewnątrz owinięta do stóp kocem, kolczastym od słomy. Wheland przeszedł już kilkanaście kroków, gdy raptem zrozumiał. To nie był kaszel, lecz śmiech.

Odwrócił się porywczo. Stała wciąż na tym samym miejscu i patrzyła za nim. Usta jej poruszały się bezdźwięcznie. Dreszcz poszedł mu po plecach. Ruszył przed siebie niemal biegiem.

Skała Biskupia to grupa stromych iglic wapiennych. W świetle księżyca wyglądała jak upiornie biały szkielet nietoperza, który szczelnie złożył gigantyczne piszczele skrzydeł. Kilkaset kroków za spaloną oberżą droga znikwała w cieniu skały. Rosły tu niskie krzaki, przez które Wheland przedarł się z trudnością. Stracona z liści rosa zmoczyła mu ubranie. Gdy minął najniższy punkt kotliny, znienacka ukazał się dom. Księżyc bielił wysoki, okalający go mur. Dom miał płaski, szeroki dach i ślepe okna. Zbliżywszy się Wheland zobaczył, że nad murem biegnie stalowa siatka o drobnych okach. Cegła była wiązana cementem, nie otynkowana. Z głębi ogrodu zaszczekał pies. Głos miał gruby niczym niedźwiedź. Doktor obszedł mur. Rzecz dziwna: na cztery stopy od muru trawa nie rosła, jakby była wypalona. Drobniutki żwir (czy węgiel) skrzypiał pod nogami. Wreszcie ukazało się zagłębienie, wypełnione gęstym cieniem. Mur z dwu stron ujmował furtkę.

Była to jakby śluza kanału. Masywna płyta dębowa, obita blachą, wpasowana szczelnie we framugi. Obok widniał dzwonek. Wheland nacisnął go raz, drugi, potem trzeci. Pies ujadał zapamiętale. Ale nic się nie poruszyło. Za plecami miał kotlinę, w połowie zalaną czarnym cieniem, dalej każde źdźbło trawy stało wyraźne, oświetlone martwym blaskiem. Skały Biskupie świeciły fosforycznie. Nagle bez poprzedzającego szmeru rozległ się głos.

- Kto tam? Czego chce?

W drzwiach znajdował się okrągły otwór zamknięty szybką. Błysnęło w nim oko, jakby drzwi nagle ożyły. Wheland odchrząknął.

- Jestem podróżnym - powiedział pospiesznie - auto zepsuło mi się i stoi na szosie. Poszedłem... nie znam okolicy... ledwo znalazłem drogę do oberży, ale zastałem tylko pogorzelisko. Powiedziano mi, że pan tu mieszka i mógłby mi udzielić schronienia na noc...

Wheland lękał się, czy nie zdradzi go przedwcześnie akcent. Jakże tu wyłuszczać postępowe poglądy przez drzwi? Ale głos odparł.

- Tak? A czy pan jest sam?

- Zupełnie sam.

- A bagaż pan ma?

- Tylko plecak.

- Ha! ha!... tylko plecak - przedrzeźniał głos. Żrenica zwięzła się jak ostrze szpilki. - Tylko plecak, dobry sobie. Plecak musi pan zostawić na zewnątrz.

- Mam tam tylko koszulę, pantofle, szczoteczkę do zębów i... i mydło.

- Hm, tak? To może pan wziąć. Plecak niech pan zostawi, nikt go nie zabierze.

Wheland zrobił, co mu kazano, zły, bo w bocznej kieszeni plecaka znajdował się mały aparat fotograficzny. Bał się go przekładać do kieszeni w zasięgu tego bezosobowego oka, które spoczywało na nim nieruchomo.

Gdy się wyprostował trzymając oburącz rzeczy, drzwi uchyliły się nieco. Ujrzał głowę w starej filcowej czapce, pod nią - ciemną twarz z ostrym nosem.

- Zaraz - wstrzymał go w wejściu gospodarz. - A w kieszeniach nic pan nie ma?

- W kieszeniach - wybelkotał Wheland, który nią spodziewał się takiego przyjęcia. - Nie, nie mam nic, tylko papierosy i portmonetkę...

- No, no... - rzekł tamten i wpuścił go wreszcie. Drzwi były grube, jakby wiodły do skarbcza. Gospodarz zamknął je. Na odgłos zatraskującego się zamku Wheland naprężył się cały wewnętrznie. Rozpoczynała się prawdziwa gra.

Podwórce było zabetonowane; ani śladu trawy, drzew czy jakiegokolwiek roślinności. Od muru biegł gładki pancierz betonu aż po podmurowanie domu, wzniesione z olbrzymich głazów. Okna opatrzone okiennicami były głucho zawarte. Dopasowane jak na - łodzi podwodnej - pomyślał Wheland. - No, no, stary musi nie byle co chować przed światem.

Z budy wyskoczył olbrzymi pies. Zjeżony złażał bezgłośnie, marszcząc obwisłe wargi. Zaświeciły kły.

- Leżeć, leżeć! - rzucił mu gospodarz i ruszył przodem. Miał na sobie długi szlafrok sukienny, bardzo luźny, fałdujący się suto, ściśnięty szerokim pasem rzemiennym, na nogach gumowe pantofle. Gdy otworzył drzwi, Wheland zobaczył, że w pokojach jest światło - więc profesor nie spał jeszcze, to tylko okiennice zaciemniały z zewnątrz dom. W powietrzu unosił się trudno uchwytny zapach jakichś chemikaliów.

Na ceglany kominku płonęły okrągłe tarcze drewna. Delikatną siateczką popiołu kruszył się wzdłuż słoików wiśniowy żar. Ruchliwy blask biegł aż do połowy pokoju, ścierając się ze światłem wielkiej lampy pod zielonym abażurem. Ze ścian błyszczały setki szklanych rurek i walców. We wszystkich grały czerwone i zielone płomyczki. Podłogę zaścieniały rozrzucone skóry, dość źle wyprawione, bo były sztywne, a sierść sterczała w kudłach. Największa, tygrysia, leżała przed kominkiem. W szklanych oczach bestii migotały miodowe iskry. Paszcza była zaciśnięta, tylko białe kły schodziły wzdłuż szerniałej dolnej wargi.

Wheland przestąpiwszy próg zatrzymał się niezdecydowany. Gospodarz nie zwracał na niego uwagi. Podeszedł do kominka i przez dłuższą chwilę poprawiał ogień, potem grzał przy nim dłonie, aż skóra się zaróżowiła. Zwabiony ciepłem Wheland zbliżył się do płomieni. Ogień trzeszczał mocno. Chardin wyprostował się, zdjął z głowy czapkę i rzucił ją zręcznie między dwa stosy książek na rzeźbionym biurku. Potem zwrócił głowę w bok i z opuszczonymi rękami spoglądał na gościa.

- Niech pan siada - rzekł wreszcie, zakończywszy lustrację.

Wheland przysunął do kominka jedyne krzesło. Wolał na razie milczeć. Chardin przerzucał papiery na biurku, Wheland jął się przyglądać ścianom. Wisiały na nich, przymocowane wąskimi klamrami, rurki i słoje różnego kalibru, pełne sinawej cieczy. W głębi bieleły jakieś wydłużone, nieruchome kształty, jakby olbrzymich gąsienic. Wheland założył nogę na nogę i czekał cierpliwie odezwania się gospodarza. Ciepło podchodziło odurzającą falą. Delikatny prąd gorącego powietrza przepojonego wonią żywicy płynął na pokój. Profesor otworzył szafkę w kącie, wydobył długi biały chleb, kilka puszek i flaszkę. Nalewając wina do porcelanowych kubków w kwiaty, kilka razy spojrzął nie tyle na Whelanda, co w jego kierunku, jakby sprawdzając coś w otoczeniu przybysza. Spojrzenia te zaczęły w końcu niepokoić doktora. Podążył za wzrokiem Chardina, lecz nie dostrzegł nic podejrzanego.

- Pan przyjezdny? - zagadnął w końcu profesor, zapraszając gestem do stołu. Wheland podziękował ukłonem i smarując kromkę chleba odezwał się:

- Tak, jechałem autem z Paryża i zepsuł mi się motor. Paskudna historia na takim odludziu, nieprawdaż? W dodatku ta spalona karczma...

- Tak, to przykra historia - potwierdził Chardin. - Wybrał się pan na weekend?

- Na ryby - odpowiedział Wheland pełnymi ustami.

- Hm, pewno na pstrągi, co?

- A tak.

Chardin uśmiechał się dobrodusznie.

- A czy pan zaawansowany w tym wysokim kunszcie? Przepraszam, że tak obcesowo pytam - dodał - ale rybołówcy tworzą jedną wielką rodzinę...

Wheland skwitował żart wesołym uśmiechem. - Jestem początkującym - rzekł - ale zanotowałem już pewne sukcesy...

Ciemna, na brunatny kolor opalona twarz gospodarza ożywiła się. Podniósł flaszkę pod światło, wąski pas rubinu spłynął szkłem. Wheland popijał wino obserwując miotły iskier, wzbijające się z rozpadłych dysków drzewa. Śmiech podchodził mu do gardła i

łaskotał krtań. Wielkie rzeczy - Chardin. Twierdza! A on już jest w środku i Francuz podsuwa mu smakołyki swojej spiżarni.

- Mieszka pan zupełnie sam? - podjął obojętnie, ocierając usta serwetą...

- Tak.

Wheland stał się nagle bardzo wylewny.

- Niech mi pan wybaczy ten najazd, ale... tak byłem wytracony z równowagi i głodny (uśmiechnął się), że się nawet nie przedstawiłem. Bardzo przepraszam. Moje nazwisko brzmi Wheland, Donald Wheland.

Zatrzymał się na mgnięcie, oczekując pytania „pan jest Amerykaninem?” Odpowiedź miał gotową, ale pytanie to nie padło. Zamiast tego gospodarz, wychylając się z fotela, podał mu formalnie rękę, uściśnął ją lekko i rzekł:

- Rad jestem, że mogłem panu pomóc. Nazywam się Chardin.

- Chardin??. - zawołał Wheland. - Nie może być!

- Chardin!

Aż wstał z przejęcia.

- Profesor Chardin! Co za niezwykły wypadek! I mówić tu, że w cywilizowanym świecie niema już zdarzeń niezwykłych!

- Pan mnie zna? - spytał gospodarz. Patrzył na Whelanda spokojnie, jak stara kobieta na pogorzeliśku. Przez jedno mgnięcie Wheland jakby zawisł w próżni; nie znajdując właściwych słów, puścił w ruch ręce i wymachiwał nimi w sposób mający wyrazić najwyższą radość i zdziwienie.

- Jakże nie... jestem przecież biologiem... - Czyżbym miał przed sobą kolegę? - spytał profesor unosząc się powoli z fotela.

- Ależ tak! tak! - wołał Wheland. - Panie profesorze... mówię nieskładnie, bo zaskoczenie... pan rozumie... Otóż studiowałem w John Hopkins University... Tam poznałem się z pana znakomitymi pracami... Potem byłem w Harvard...

Spoważniał na chwilę.

- Pracowałem tam. Teraz już nie.

- Ach tak? - rzekł profesor.

- Przykro mi o tym mówić, bo to sprawa wewnętrzna, „rodzinna” - silił się niby na humor - ale nie podpisałem deklaracji lojalności. Nie jestem komunistą, ale chodziło mi o zasady. To nie jest zgodne z duchem konstytucji. Zresztą - dodał - mniejsza z tym.



Stał, jakby wspominając coś, potem usiadł nagle, przysunął krzesło do fotela Chardina i podjął:

- Przepraszam, że o tym wspomniałem. Jeszcze chyba znajdzie się coś dla mnie. Na razie... jestem na czarnej liście... Ale ja wciąż o sobie mówię! - zawołał zmieszany. - Przyjechałem do Francji, żeby korzystając z różnicy kursu walutowego pożyć jakiś czas i... taki wspaniały przypadek!

Klepnął profesora w kolano.

Podniósł głowę. Wzrok jego padł na ścianę. Wśród wąskich, długich, szczelnie zalakowanych rurek świecił pękaty Słój. W głębi ożywione blaskiem chwiały się białawe smużki.

- Mój Boże, w taki sposób spotkać profesora Chardin... - jakby budząc się z zamyślenia, rzucił Wheland. - Wspaniałą ma pan tutaj kolekcję...

Podszedł do ściany. W słoju, przymocowane klamerkami do szklanej płytki, widniały okazy olbrzymich termitów. Był tam robotnik, niewiekszy od larwy chrząszcza majowego, i kilku wojowników, tych ogromnych, jakby kalekich stworzeń. Trzecią część tułowia okrywał gigantyczny hełm rogowy, ślepa przyłbica, zakończona ostrymi, rozdziawionymi nożycami. Delikatne nóżki i ciało przytłoczone były masą rozrosłego pancerza.

- Tak pan sądzi? - Chardin wstał i podszedł do Whelanda. - Zna pan moją pracę o termitach?

- Tak. Wie pan, nie przypominam już sobie dokładnie, to było jakieś sześć lat temu, nieprawdaż?

- Tak. Wtedy wróciłem z Afryki...

Kiedy to powiedział, odwrócił się nagle i podszedł do drzwi. Potem otworzył je na oścież i spojrzał w ciemny korytarz. Nie zamknął ich. Z biurka wziął coś różowego, gumowego - to był stetoskop lekarski. Przyłożył słuchawkę do ściany, potem obszedł wkoło pokój, przyciskając czarny lejek do wszystkich sprzętów. Najdłużej zatrzymał się przy oknie. Wheland patrzył na to z niezbyt rozumnym wyrazem twarzy. Na koniec Chardin rzucił gumowe rurki na podłogę. Zakrył oczy powiekami.

- Przepraszam - powiedział - miewam takie złudzenia."

Wheland skłonił się, zmieszany. Przypomniał sobie teraz, że stara kobieta mówiła coś o mrówkach. Co to było? Aha, że Chardin „pasie mrówki”. Co to znaczy „pasie”? Co to mogło znaczyć? Jakiś wyraz gwarowy chyba...

Chardin stał na środku pokoju i patrzył na nieruchome owady świecące nienaturalną białością w głębi słoików.

- Słyszał pan, co mówią o mnie w okolicy? Wheland drgnął. Czyżby profesor odczytał jego myśli?

Nonsens.

- Nie... - odparł powoli.

Chardin zbliżył się do niego.

- A czy jadąc do Francji... chciał się pan ze mną widzieć?

- Nie. Nie myślałem o tym wcale, ale nawet powiedzieć nie mogę, jak bardzo rad jestem temu przypadkowi...

Zastanowił się, spojrzął w oczy Chardinowi i cicho, ale z naciskiem odezwał się: Pana list otwarty w sprawie wojny bakteriologicznej zrobił na mnie duże wrażenie. Takich głosów bardzo dzisiaj trzeba. Zarazem jednak - niech mi pan wybaczy otwartość - to, co pan powiedział o naszych uczonych, uważam za krzywdzące. Nie wolno uogólniać. Są jeszcze u nas ludzie uczciwi...

Zamilkł. Czy wspomnieć już o konferencji entomologów w Los Angeles? Nie, na to jeszcze za wcześnie. Czekał, poważny, nie spuszczać oczu z profesora.

Chardin zdjął wielki słój ze ściany, przeniósł go na biurko i ustawił pod lampą tak, że przezroczysty płyn skoncentrował w sobie światło na kształt białego stożka.

- Co to jest? - spytał siadając.

Wheland, zdumiony, zamrugnął powiekami. Cóż to miało oznaczać: żart? egzamin? Chardin siedział spokojnie, oczekując odpowiedzi, więc doktor spojrzął wreszcie na słój. Odchrząknął.

- Nie jestem myrmekologiem - powiedział - ale to chyba *Termes bellicosus*?

- *Termes bellicosus*? - powtórzył profesor z ledwo uchwytną nutką szyderstwa w głosie. - Niezły z pana klasyfikator. Tak, każdy myrmekolog powiedziałby to samo. Ale...

Nie dokończył. Oparł ciemną twarz na dłoni. Zapadło milczenie. Tylko płomień skakał w szklach, odbijając się w nich wielokrotnie.

- Czy pan wie o tym, co robiłem w Afryce?

- Nie...

Znowu zapadło milczenie. Cienie wyłobily głębokie bruzdy w policzkach Chardina.

- Sześć razy byłem w Kongo Belgijskim. Zna pan te strony?

- Nie.

- A wie pan, w tej pracy o termitach nie wszystko napisałem...

Wheland wpatrywał się z oczekiwaniem w profesora. Ten patrzył teraz w głąb słoja, gdzie skłócony płyn poruszał delikatnie olbrzymią głowę martwego owada.

- Hm, więc może opowiedzieć panu?... Profesor zaplótł ręce na piersiach.

- Okrętem do portu Borna... - zaczął opadając na fotel, Przymknął oczy. - Kołowcem rzeczonym do Bangala... Tam zaczyna się dżungla. Potem sześć tygodni konno, dłużej nie można. Nawet muły giną. Śpiączka...

Oczy miał zamknięte jak człowiek śpiący, ale przez twarz przemykały ruchliwe cienie. Jak blask ognia roznieconego w lesie - pomyślał Wheland.

- Był tam taki stary czarodziej, Nfo Tuabe - wymawiał to słowo z francuskim akcentem na ostatniej sylabie... - Przyjechałem, żeby łowić motyle. Ale on wskazał mi drogę...

Przerwał znowu, potem na krótką chwilę otworzył oczy.

- Pan wie, co to znaczy dżungla? Skąd może pan wiedzieć? Zielone, oszalałe życie. Wszystko drży, czuwa, rusza się; w gęstwinie natłok żarłocznych stworzeń, obłąkane kwiaty, jak wybuchy kolorów, ukryte w lepkich pajęczynach, owady - tysiące, tysiące nie poklasyfikowanych gatunków. Nie to co u nas, w Europie. Nie trzeba Szukać. W nocy cały namiot obsiadają ćmy, wielkie jak dłoń, natarczywe, ślepe, setkami padają w ogień. Cienie chodzą po płótnie. Murzyni drżą, wiatr nawiewa grzmoty z różnych stron. Lwy, szakale... No, ale to nic. Potem przychodzi osłabienie i gorączka. Jeśli się już pochowało konie - dalej pieszko. Miałem surowicę, germaninę, chininę, wszystko co pan chce. Wreszcie, pewnego dnia - żadnej rachuby nie ma, człowiek czuje dopiero, że podział tygodni i cały kalendarz jest jakimś śmiesznym, sztucznym tworem - pewnego dnia nie można dalej iść. Dżungla się kończy. Jeszcze jedna wioska murzyńska. Nad samą rzeką. Rzeki nie ma na mapie, bo trzy razy do roku zapada w lotne piaski. Część koryta jest podziemna. Ot, kilka takich lepianek z wypalanej słońcem gliny i szlamu. Tam mieszkał Nfo Tuabe. Nie znał angielskiego, skądże. Miałem dwu tłumaczy: pierwszy przekładał moje słowa na dialekt wybrzeża, a drugi tłumaczył z dialektu na język Buszmenów. Nad całym pasem, dżungli, od szóstego stopnia szerokości południowej, panuje tam stara rodzina królewska. Potomkowie Egipcjan, jak sądzę. Wyżsi i daleko inteligentniejsi od Murzynów z Afryki centralnej. Nfo Tuabe narysował mi nawet mapę, oznaczył na niej granice królestwa. Uratowałem mu syna od śpiączki. I za to właśnie...

Nie otwierając oczu, Chardin sięgnął do wewnętrznej kieszeni. Wydobył z notatnika kartkę papieru porysowaną czerwonym atramentem. Wiły się na niej jakieś pogmatwane linie.

- Trudno się zorientować... Tutaj kończy się dżungla, jak nożem ucięta. To granica królestwa. Spytałem, co jest dalej. Nie chciał mówić o tym w nocy. Musiałem przyjść w dzień. Dopiero wtedy, w tej swojej cuchnącej norze bez okien... nie wyobraża pan sobie

nawet, jaki tam zaduch... powiedział mi, że dalej są mrówki. Białe, ślepe mrówki, które budują wielkie miasta. Kraj ich ciągnie się całymi kilometrami. Rude mrówki walczą z białymi. Nadchodzą wielką, żywą rzeką przez dżunglę. Wtedy słonie uchodzą z okolicy stadami, wyłamując w podszyciu kręte tunele. Tygrysy uciekają. Nawet węże. Z ptaków zostają tylko sępy. Mrówki idą rozmaicie: czasem tydzień, czasem mieniąc, dniem i nocą, rdzawym, ruchomym strumieniem, a cokolwiek stanie im na drodze - niszczą. Dochodzą do skraju dżungli, napotykają kopce białych - i zaczyna się walka. Nfo Tuabo widział ją raz w życiu. Pokazywał mi straszne blizny, które zostały mu na zawsze. Rude mrówki, pokonawszy straż białych, wchodzą do ich miasta. Nie wracają nigdy. Co się z nimi dzieje - nie wiadomo. Ale na drugi rok przedzierają się przez dżunglę nowe zastępy. Tak było za jego ojca, dziada i pradziada. Tak było zawsze.

Gleba w mieście białych mrówek jest żyzna. Za dawnych czasów Murzyni próbowali zużytkować ją, usiłowali zniszczyć ogniem kopce termitów, aby rozszerzyć swoje posiadłości. Ale przegrali tę walkę. Zasiwy zostały zniszczone. Budowali szałas i zagrody z drzewa. Termyty docierają do nich podziemnymi korytarzami, przenikają w głąb konstrukcji i tak je przegryzają od wnętrza, że nagle padają, gdy dotknąć ręką. Próbowali użyć gliny. Wtedy zamiast robotników zjawili się żołnierze. Ci właśnie - wskazał na słój.

- To wszystko nie jest dla pana niczym nowym, prawda? Wiemy, że są olbrzymie połacie ziemi, na których panuje biała mrówka - termit. W Ameryce Południowej, w Australii... Mają dwa rodzaje żołnierzy, coś w rodzaju policji wewnętrznej i obrońców. Kopce dochodzą do ośmiu metrów wysokości. Zbudowane są z piasku i wydaliny, które tworzą cement, twardszy od portlandzkiego. Żadna stal się go nie ima. Bezokie, miękkie, - białe owady, które od trzech milionów lat żyją odcięte od światła. Zbadane przez Packarda, Schmelza, Clevelanda i tylu innych. Ale nikt z nich nawet nie podejrzewał... nie podejrzewał...

Rozumie pan?- powiedział przysuwając się całym ciałem do Whelanda: - Uratowałem mu syna i w zamian za to... Och, to był mędrzec'; Wiedział, w jaki sposób może się odwdziżyć białemu po królewsku! Taki zupełnie siwy, czarny, aż popielaty Murzyn, jak maska uwędzona w dymie...

Powiedział mi tak:

„Kopce ciągną się milami. Cała równina jest nimi pokryta. Jak las, jak martwy las, jedno przy drugich, skamieniałe, olbrzymie pnie - trudno się między nimi przedrzeć. Wszędzie grunt twardy, głucho dudniący pod stopą, zasłany splotami jak gdyby grubych, szarych sznurów. To są kanały, którymi biegną termyty. Zbudowane są z tego samego

cementu co kopce. Ciągną się całymi kilometrami wnikają pod ziemię, wydostają się w górę, mają rozgałęzienia, skrzyżowania, przejścia do wnętrza kopców, a co kilkadziesiąt centymetrów - rozszerzenia, w których mijają się mrówki biegnące w przeciwnych kierunkach. Tam, w głębi Miasta, pośród miliona skamieniałych kopców, w których wrze ślepe, gwałtowne życie, jest jeden kopiec inny. Niewielki, czarny i zakrzywiony hakowate”. Pokazał mi swoim brunatnym kciukiem, jak on wygląda.”Tam jest serce narodu mrówek”. Więcej nic nie chciał powiedzieć.

- I pan mu uwierzył?... - wyszeptał Wheland. Czarne oczy profesora paliły go.

- Wróciłem do Borna. Kupiłem pięćdziesiąt kilogramów dynamitu w laskach funtowych, jak go używają w kopalniach. Oskardy, łopaty, rydle, cały ekwipunek. Zbiorniki siarki, węże metalowe, maski, siatki - najlepsze, jakie mogłem dostać. Dwa kanistry benzyny lotniczej i arsenał środków owadobójczych, jaki można tylko sobie wyobrazić. Potem wynająłem jedenastu tragarzy i pojechałem w dżunglę.

Zna pan eksperyment Collengera? - spytał. - Uznano go za bajkę. Nie był to, co prawda, biolog, lecz amator. Przekroił cały kopiec termitów od góry do dołu płytą stalową, tak że się te dwie połowy nie komunikowały ze sobą wcale. Kopiec był młody, mrówki budowały go dopiero. Po sześciu tygodniach wydobył płytę i okazało się, że owady budowały nowe korytarze tak, że ich wyloty po obu stronach przegrody ściśle sobie odpowiadały - ani milimetra różnicy w pionie czy poziomie. Tak jak ludzie budują tunel jednocześnie rozpoczynając roboty z dwu stron góry i spotykają się w jej wnętrzu. W jaki sposób porozumiewały się termyty poprzez stalową płytę? Potem - doświadczenia Glossa. Także nie sprawdzone. Twierdził, że jeżeli zabić królową termitów, owady oddalone o kilkaset metrów od kopca zdradzają natychmiast podniecenie, rzucają rozpoczętą robotę i wracają do domu. A sposób, w jaki podmurują swoim cementem belki domu, który zaczynają atakować! Przegryzają wszystko od wnętrza, nie dochodząc do powierzchni, gdyż unikają światła i powietrza. Aby się zaś belka, pusta już w środku, nie przełamała, wzmacniają ją, podmurują tak, że lepiej by tego inżynier nie zrobił.

Znowu przerwał. Wpatrywał się w czerwony żar, nad - którym zjawiały się i znikwały lotne błękitne płomyki.

- Drogę miałem... no tak. Najpierw uciekł przewodnik, potem tłumacz. Rzucali rzeczy i znikali. Rano, kiedy się budziłem w moskitierze - milczenie, wybałuszone oczy, przestraszone twarze i szepty za plecami. Pod koniec wiązałem ich ze sobą, a koniec sznura owijałem wokół pięści. Noże zabierałem, żeby nie mogli go przeciąć. Od ciągłego niedosypiania czy od słońca dostałem zapalenia oczu. Rano powiek nie mogłem rozewrzeć -

tak były sklezione. A tu szło lato. Koszula od potu sztywna, jak nakrochmalona, hełmu nie można tknąć z zewnątrz palcem, bo natychmiast wyskakują bąble. Lufa karabinu parzy jak rozpalona sztaba.

Torowaliśmy sobie drogę przez trzydzieści dziewięć dni. Nie chciałem iść przez wioskę starego Nfo Tuabe, bo mnie o to prosił; tak że na skraj dżungli wyszliśmy zniecka. Nagle się ten piekielny, duszny, kotłujący gąszcz liści, pnączy, gadów, rozwrzeszczanych papug skończył. Jak okiem sięgnąć, równina, żółta jak skóra starego lwa. Na niej pośród kęp kaktusów stożki. Kopce. Budowane ślepo, od wnętrza, więc często niekształtne, chropawe. Tutaj spędziliśmy noc.

Nad ranem zbudziłem się ze strasliwym bólem głowy. Poprzedniego dnia nieostrożnie zdjąłem hełm na chwilę. Sionce stało wysoko. Żar był taki, że powietrze paliło płuca jak ogień. Obrazy przedmiotów drżały, jakby piasek płonął. Byłem sam. Murzyni uciekli przegryzłszy' sznur. Pozostał tylko trzynastoletni chłopiec, Uagadu-boy. Zacząłem iść. We dwójkę dźwigaliśmy rzeczy na odległość kilkudziesięciu kroków. Potem wracaliśmy i znosiliśmy następne. Taką wędrówkę trzeba było powtarzać pięć razy, w słońcu, które paliło jak szatan. Pomimo białej koszuli dostałem na plecach wrzodów, które się nie goiły. Musiałem spać na brzuchu. Ale to wszystko głupstwo. Cały dzień zagłębialiśmy się w Miasto Termitów. Nie wiem, czy jest na świecie coś groźniejszego. Niech pan sobie wyobrazi: ze wszystkich stron, z przodu i z tyłu - kamienne kopce wznoszące się na dwa piętra. Miejscami stały tak blisko, że ledwie można się było między nimi przecisnąć. Nieskończony las szarych kolumn. A w środku - kiedy się przystanęło - nieustanny, nikły, miarowy szmer przechodzący chwilami w pojedyncze stuknięcia. Ściana, dotknięta ręką, mrowiła się, drżała bez ustanku dniem i nocą. Kilka razy zdarzyło się nam rozgnieść jeden z takich tunelów, które wyglądają jak popielate liny, całymi pękami rozrzucone po ziemi. Szły tam nieskończonym szeregiem tłuste, białe owady. Natychmiast ukazywały się rogowe hełmy żołnierzy, którzy na oślepie cieli powietrze nożycami i wyrzucali lepki, parzący płyn.

Szedłem tak dwa dni, wciąż na oślepie, bo nie było mowy o jakiegokolwiek orientacji. Dwa, trzy, cztery razy dziennie wdrapywałem się na wyższy od innych kopiec, szukając tego 'jedyne'go, o którym mówił Nfo Tuabe. Ale widziałem tylko skamieniały las. Dżungla za nami stała się zielonym pasem, potem - błękitną linią na horyzoncie, znikła wreszcie. Zapasy wody zmniejszały się. A kopcom nie było kresu. Przez lunetę widziałem je coraz dalsze i dalsze, aż po horyzont, gdzie zlewały się jak kłosa zboża. Podziwiałem mego chłopca. Bez skargi robił to wszystko, co ja, nie wiedząc po co ani dlaczego. Tak szliśmy cztery dni. Byłem zupełnie pijany słońcem. Ochronne okulary nie pomagały. Strasliwy blask był i w niebie, na

które przed zmierzchem nie można nawet spojrzeć, i w piasku, który jarzył się jak rtęć. A wokół palisady kopców - bez końca. Ani śladu żywego stworzenia. Tu się nawet sępy nie zapuszczały. Tylko gdzieniegdzie stały samotne kaktusy.

Nareszcie przed wieczorem, wydzieliwszy ostatnią porcję przypadającej na ten dzień wody, wdrapałem się na szczyt bardzo wielkiego kopca. Myślę, że pamiętał on czasy Cezara. Już bez większej nadziei rozglądałem się, gdy wtem zobaczyłem w lunecie czarny punkt. Zrazu myślałem, że szkło jest zabrudzone. Myliłem się. To był ten kopiec.

Na drugi dzień wstałem, gdy słońce było jeszcze pod horyzontem. Ledwo dobudziłem mego chłopca. Zaczęliśmy nieść rzeczy w kierunku, który oznaczyłem według kompasu. Zrobiłem też szkic okolicy. Tymczasem kopce, choć nieco niższe, zbliżały się do siebie. Wreszcie stanęły takim częstokołem, że nie mogłem się już przedostać. Murzynek mógł jeszcze, więc podawałem mu pakunki, stojąc między dwiema kolumnami cementu. Potem przeciskałem się górą. To trwało pięć godzin. Przez ten czas przeszliśmy może sto metrów. Widziałem, że w taki sposób nie zrobimy nic, ale opanowała mnie jakaś gorączka. Nie mówię dosłownie, bo oczywiście miałem stale koło trzydziestu ośmiu stopni. To już sprawa klimatu. Może zresztą wpływa to jakoś na mózg. Wziąłem więc pięć funtów dynamitu w laskach i wysadziłem kopiec, który stał nam na drodze. Ukryliśmy się za innymi, kiedy zapaliłem lont. Wybuch był przytłumiony, siła eksplozji poszła w głąb. Grunt zadygotał. Ale inne kopce stały. Z wysadzonego zostały tylko wielkie skorupiaste odłamy, wijące się od białych ciał.

Dotychczas nie szkodziliśmy sobie nawzajem. Teraz rozpoczęła się walka. Nie można było przejść przez krater utworzony wybuchem. Tysiące, dziesiątki tysięcy termitów wylaziły z czeluści i szły ławą, jak piętrząca się fala. Obmacywały każdy skrawek gruntu. Rozpaliłem siarkę, wziąłem na plecy zbiornik. Pan wie, jak wygląda taki przyrząd. Przypomina sikawkę, którą ogrodnicy skraplają drzewa. Albo miotacz ognia. Gryzący dym buchał rurą, którą trzymałem w ręku. Nałożyłem maskę gazową, drugą dałem chłopcu. Dałem mu także specjalnie w tym celu sporządzone buty - oplecione stalową siateczką. W taki sposób udało się nam przejść. Puszczaliśmy strumienie dymu, który rozpędzał termity. Te, które nie cofały się, ginęły. Wieczorem mieliśmy za sobą sześć wysadzonych kopców. W jednym miejscu musiałem użyć benzyny; rozlałem ją i podpaliłem, stwarzając między nami i potokiem termitów zaporę z ognia.

Pozostało jeszcze ze sto metrów do czarnego kopca. O spaniu nie było mowy. Siedzieliśmy przy kopającym nieustannie zbiorniku, świecąc latarkami. Co za noc! Przebywał pan kiedy sześć godzin w masce gazowej? Nie? No więc niech pan sobie wyobrazi, co to znaczy tkwić w rozpalonym gumowym ryju. Gdy chciałem odetchnąć swobodniej, odciągając

maskę od twarzy, dusiłem się dymem. Ale to było lepsze niż termity. Tak przeszła noc. Chłopak mój drżał nieustannie; lękałem się, czy to nie febra.

Wreszcie wstał nowy dzień. Przedostaliśmy się przez następne bariery stożków. Woda kończyła się już. Mieliśmy jeszcze tylko jeden kanister. Mógł starczyć na dwa dni, najwyżej na trzy, przy skąpym zaspokajaniu pragnienia. Należało wracać jak najszybciej.

Chardin przerwał, otworzył oczy i spojrzał w palenisko. Żar poszarzał już całkiem. Światło lampy ogarnęło pokój:

łagodny, zielony blask, jakby sączący się przez tafłę wody.

- Wtedy doszliśmy do czarnego kopca. - Podniósł dłoń w górę. - Jak zakrzywiony palec, tak wyglądał. O powierzchni gładkiej, jakby wypolerowanej. Otaczały go amfiteatralne kopce niskie, pękate niemal, co najdziwniejsze - nie pionowe, lecz pochylające się ku niemu, rzekłbyś maskary, skamieniałe w groteskowym ukłonie.

Zgromadziłem wszystkie zapasy w jednym miejscu tego koliska - mogło mierzyć ze czterdzieści kroków średnicy - i zabrałem się do roboty. Nie chciałem niszczyć czarnego kopca dynamitem. Od chwili, gdy weszliśmy w tę przestrzeń, termity nie ściagały nas więcej. Można było zerwać wreszcie maskę z twarzy. Co za ulga! Przez pięć minut nie było na ziemi człowieka szczęśliwszego ode mnie. Nieopisana rozkosz swobodnego oddechu - i ten kopiec czarny, niesamowicie zakrzywiony, niepodobny do niczego, co znałem. Jak oszalały tańczyłem i śpiewałem, nie bacząc na pot lecący gradem z czoła. Mój Uagadu patrzył na to przerażony. Myślał może, że oddaję cześć czarnemu bożkowi.

Szybko jednak ochłonałem. Powodów do radości było niewiele: woda kończyła się, suchy prowiant starczyć mógł ledwo na dwie doby. Co prawda, zostawały termity... Murzyni uważają je za przysmak. Ale nie mogłem się przezwyciężyć. Zresztą, głód uczy...

Urwał znowu. Oczy mu błyszcząły.

- Zęby dużo nie mówić... Panie doktorze, ja rozwaliłem ten kopiec... Stary Nfo Tuabe mówił prawdę.

Pochylił się do przodu. Rysy jego zaostrzyły się. Wheland słuchał bez tchu,

- Była tam najpierw warstwa włókien, jak gdyby z cienkiego przedziwa niezwyklej gładkości i mocy. We wnętrzu - centralna komora, otoczona grubą warstwą termitów. Czy to w ogóle były termity? Jak żyję takich nie widziałem - olbrzymie, płaskie jak dłoń, pokryte srebrzystymi włoskami, z lejkowatymi główkami, zakończonymi czymś w rodzaju anteny. Anteny te stykały się z szarym przedmiotem, nie większym od męskiej pięści. Owady były niesłuchanie stare. Nieruchome jak drewna, nie próbowały nawet się bronić. Odwłoki pulsowały miarowo. Ale kiedy odrywałem je od tego centralnego przedmiotu, od tej rzeczy



kraquej i niezwyklej - natychmiast ginęły. Rozpadały mi się w palcach jak zetłale szmaty. Nie miałem ani czasu, ani siły, żeby zbadać to wszystko. Wydobyłem ów przedmiot z komory, zamknąłem w pudełku ze stalowej blachy i natychmiast, razem z moim Uagadu, ruszyłem w drogę powrotną.

Mniejsza o to, jak dotarłem do wybrzeża. Spotkaliśmy rude mrówki. Błogosławiłem chwilę, w której zdecydowałem się wlec z powrotem jedyny kanister pełen benzyny.' Gdyby nie ogień... Ale mniejsza z tym. To osobna historia. Powiem tylko jedno: na pierwszym postoju obejrzałem uważnie tę rzecz porwaną z czarnego kopca. Kiedy oczyściłem ją z nalotów, ukazała się idealnie regularna kula z substancji ciężkiej, przejrzystej jak szkło, ale załamującej światło nieporównanie silniej. Otóż tam, w dżungli, objawił się pewien fenomen, na który nie zwracałem zrazu uwagi. Sądziłem, że to może złudzenie. Ale gdy dotarłem do obszarów cywilizowanych, na wybrzeżu i później jeszcze, stwierdziłem, że to nie było złudzenie.

Cofnął się w głąb fotela i niewidzialny prawie w cieniu, z głową odcinającą się od jaśniejszego tła, powiedział:

- Prześladowały mnie owady. Motyle, ćmy, pajęczaki, błonkoskrzydłe, co pan tylko chce. Dzień i noc ciągnęły za mną huczącą chmurą. A właściwie nie za mną - za moim bagażem, za metalową kasetką, która zawierała kulę. W czasie podróży okrętem było trochę lepiej. Używając radykalnie działających środków owadobójczych pozbyłem się tej plagi. Nowe nie przybywały - nie ma ich na pełnym morzu. Natomiast kiedy wylądowałem we Francji, wszystko zaczęło się od nowa. A najgorzej mrówki. Gdziekolwiek zatrzymywałem się dłużej niż godzinę, pojawiały się mrówki. Rudnice, mrówki pniakowe, czarne, żniwiarki, wielkie i małe ciągnęły nieodparcie do tej kuli, zbierały się na kasetce, pokrywały ją dygocącym kłębem, cięły, przeżerały, niszczyły wszystkie osłony, jakimi była opakowana, dusiły się nawzajem, ginęły, wyrzucały kwas usiłując nadgryźć nim stalową blachę...

Urwał.

- Ten dom, w którym się pan znajduje, jego samotne położenie, wszystkie zabezpieczenia, które stosuję, spowodowane są przez to, że nieustannie oblegają mnie mrówki...

Chardin wstał.

- Robiłem doświadczenia... Za pomocą korundowych pilników odkruszyłem od kuli opilek, niewiekszy niż ziarnko maku; wywierał takie samo działanie przyciągające jak cała kula. Odkryłem też, że jeśli otoczyć ją grubym pancerzem ołowiu, działanie jej ustaje.

- Jakieś promienie?... - ochryplym głosem wyrzucił Wheland. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w ledwo majaczącą twarz starego uczonego.

- Być może. Nie wiem.

Myśli wirowały w głowie Whelanda. To, za czym przyjechał, było niczym w porównaniu z wielkością sprawy, jaką objawił mu profesor. Kula... najmniejszy opilek przyciągał owady... Kto będzie miał w ręku tę tajemniczą substancję, stanie się absolutnym panem owadów! Będzie mógł dowolnie kierować ich wędrówkami, potrafi plagami nawiedzać całe kontynenty...

- I... pan ma tę kulę?

- Tak. Czy chce ją pan zobaczyć?

Wheland zerwał się na równe nogi. W drzwiach profesor przepuścił go pierwszego, wrócił szybko do biurka, podjął coś i pośpieszył za doktorem w ciemny korytarz. Weszli do wąskiej komórki bez okien - była pusta; w kącie stała duża kasa pancerna starego systemu; słabe światło nie osłoniętej żarówki pod sufitem błyszczało sinawo w pancernych płytach. Chardin pewną ręką wetknął klucz w zamek. Przekręcił, nastąpił chrzęst cofających się rygli, grube drzwi odchyliły się. Zasłonił sobą ciemne wnętrze, potem cofnął się w bok. Wheland zajrzał do środka z wstrzymanym tchem. Kasa była pusta. Tak wydało mu się w pierwszej chwili; potem zobaczył kulę. Leżała w głębi, przy samej ścianie. Grało w niej blade, mżące światełko. Nie panując nad sobą Wheland wyciągnął rękę.

Profesor powstrzymał go.

- Doktorze - powiedział - nie chcę być strażnikiem skarbu, z którego nie mam nic. Nie posiadam środków ani możliwości dla zbadania Całokształtu tego zjawiska. Dlatego postanowiłem przekazać tę kulę jakiemuś poważnemu instytutowi. Przypadek sprowadził pana pod ten dach. Czy mógłby mi pan w tym pomóc?

- Ależ tak! tak! - wybuchnął Wheland. Chardin wyjął kulę z kasy, wyciągnął dłoń do Whelanda i nagle, jakby ogarnięty wątpliwością, wstrzymał się.

- Czy tylko dacie sobie z tym radę?

- Ręczę panu! Instytut nasz dysponuje najwybitniejszymi siłami!

- Wasz instytut?...

- Tak...

Zająknął się i zamilkł na widok nieopisanej zmiany, jaka zaszła w Chardinie. Stary uczonego wcisnął mu kulę w bezwładne ręce, cofnął się i patrzył na niego z uśmiechem.

- Przyjechał pan tu pstrągi łowić? czy tak? - powiedział zupełnie innym, młodszym jakby głosem. Potem odwrócił się, zatrzasnął drzwi kasy, schował klucze i pociągnął

Amerykanina za sobą. Wheland ruszył za nim biernie. Na obmiękłych nogach wszedł do pokoju.

- Siadaj pan.

Wheland, wciąż z kulą w rękach, usiadł na brzegu fotela, Chardin zapuścił pięści w przestronne kieszenie szlafroka, stanął przed nim i przypatrywał mu się spokojnie.

- Przyjechał pan łowić pstrągi?... o tej porze, w tej okolicy? - powtórzył. Puścił się w przechadzkę po pokoju. Idąc wielkimi krokami to w jedną, to w drugą stronę, mówił:

- Pańska nocna wizyta wzbudziła we mnie niejasne podejrzenie. Potem jednak uznałem, że się omyliłem. Nawet, przyznam, nabrałem do pana zaufania. Młody uczonek, pozbawiony pracy, wytracony ze swych badań... Znam takich. Ale później te pstrągi. Co prawda, ja sam zadałem to pytanie. No, nie musiało w tym tkwić nic złego.

- O tym myślałem - przytaknął mi pan z grzeczności. A jednak postanowiłem wystawić pana na próbę. Najpierw należało stworzyć odpowiednią atmosferę, poruszyć gościa, zadziwić, zaniepokoić, zaczynając od drobiazgów, więc wysłuchiwanie murów, osobliwe spojrzenia, milczenie; zamyślenia... A temat główny? To pan mi go poddał, zwracając uwagę na moje termity. Ależ oczywiście, Afryka, kopalnia niesamowitych zdarzeń, gorących snów... Tak narodziła się ta opowieść. No, ale to tylko słowa - czy nie za mało, by przekonać trzeźwego słuchacza? Potrzeba dowodów rzeczowych. Więc najpierw mapka. Jakiś stary szkic - Dlaczego nie mógł go narysować murzyński czarownik? Prawda?

A dalej? Prosta sprawa. Mam starą, pustą kasę pancerną w komórce. Mam ulubiony przycisk do papierów - kryształową kulę. Co prawda, stała przez cały czas na biurku. Liczyłem jednak na nastrój, no i...

Wheland, który do tej pory zaciskał kulę w spotniałych dłoniach, cisnął ją z przekleństwem na podłogę. Potoczyła się po dywanie do nóg Chardina.

- Histeria? - zapytał chłodno Francuz, przystając. - Nawet przegrać pan nie potrafi? No, dość tego. Odpłaciłem kłamstwem za kłamstwo. Koniec. Od tej chwili będę mówił to, co myślę.

Schylił się, podniósł kulę, położył ją na biurku, podszedł do Whelanda i stając tuż przed nim, spytał:

- Jaka jest pańska specjalność? Wheland milczał.

- Proszę odpowiedzieć.

- Jestem entomologiem.

- Wiem o tym. Jaki był temat pana ostatnich badań?

- Zachowanie się pchły.

- A jakie było pana zadanie? Ukraść moją pracę o symbiozie mrówek i bakterii? -

- Nie! - krzyknął Wheland. - Nie ukraść! Chodziło tylko o informacje... szczegóły...

Zamilkł. Przez chwilę panowała cisza. Potem, wciąż stojąc przed Amerykaninem, Chardin odezwał się:

- Znałem trzynastoletniego chłopca, który był największą nadzieją muzyki francuskiej. Nie zawaham się powiedzieć, że tkwił w nim geniusz, jaki zdarza się raz na stulecie. Chłopiec ten dostał się w roku 1943 do obozu koncentracyjnego Gross Rosen i w krótkim czasie opadł zupełnie z sił. Słabych i chorych więźniów zabijano. Razem z partią innych dostał się przed lekarza - esesowca. W najgłębszej trwodze upadł przed nim na kolana. Esesowiec zdawał się wahać. Chłopiec krzychał o litość. W krzyku otworzył usta. Zabłysnął w nim złoty ząb. W tym momencie esesowiec odkrył jego wartość. Los chłopca był przypieczętowany.

Chardin przerwał, podszedł do biurka, przez chwilę kopał się w papierach i wrócił do Whelarida z grubym zeszytem.

- Oto złoty ząb, po który pan przyszedł. Proszę go wziąć. Wheland, skurczony, nie drgnął.

- Proszę spojrzeć. - i Chardin otworzył zeszyt. - To jest praca, której panu potrzeba, o symbiozie mrówek i bakterii.

Przerzucał stronicę.

- Oto dane... nazwy gatunków... opisy doświadczeń... wnioski... wszystko. To jedyny egzemplarz. Daję go panu. Naprawdę daję. Proszę wziąć.

Wyciągnął rękę z zeszytem. Wheland zakrył twarz ramieniem.

- Nie chce pan? Tak przypuszczałem. To nie pan spalił oberżę starego Chamieux, prawda?

- Nie mam z tym nic wspólnego - zduszonym głosem odezwał się Wheland. Dalej zakrywał twarz.

- Wierzę panu. Ludzie pańskiego pokroju nie zdobywają się sami na wielką podłość, mogą jej tylko służyć. Przerwał.

- A może jednak? Powtarzam: gotów jestem dać panu ten zeszyt. Co więcej, o wszystkim, co się tu stało, będę milczał. Zobowiązuję się do tego słowem. Weźmie pan to, odejdzie i więcej się nie zobaczymy. No?

- Niech mi pan da odejść - odezwał się prawie szeptem Wheland.

- A więc nie chce pan? Rozumiem. Zostałaby rzecz niewygodna: wyrzuty sumienia, prawda? A tak - odejdzie pan tylko zdemaskowany. Ale ja tego nie chcę! Na próżno chowa się pan do skorupy. To nie pomoże... Proszę patrzeć.

Wheland wciągnął głowę w barki.

- Patrz tutaj! - krzyknął Chardin takim głosem, że ramię Whelanda opadło, ukazując trupioblada twarz.

Chardin podszedł do kominka, chwycił oburącz zeszyt, z całej siły przedarł go na pół i rzucił na palenisko. Żar zaszumiał jak przebudzony rój os. Plik papieru nie od razu się zajął. Białawy płomyk obiegał przez chwilę brzegi, dotykając ich i cofając się jakby niezdecydowany, potem ogień buchnął wysoko. Kartki, czerniejąc, otwierały się same jedna po drugiej, zwijały się w trąbki, pismo nikło, na palenisku leżały już tylko spopieląło, szeleszczące szczątki.

- To był jedyny egzemplarz - powiedział Chardin. - Czy wie pan, dlaczego to zrobiłem?

Milczenie.

- Odpowiadaj!

- Zęby. nie posłużyło celom wojennym...

- Nie. Nie tylko. Zrobiłem to dla ciebie! Wheland patrzył z lękiem w twarz starego uczonego. Chardin szedł ku niemu, pochylił się i mówił niezmiernie dobitnie, rozdzielając słowa:

- Gdybyś odszedł stąd przedtem, paliłaby cię tylko wściekłość, czułbyś do mnie nienawiść za to, że przejrzałem twoją grę i nie dałem się podejść. Rychło jednak rana, jaką zadałem twej miłości własnej, zasklepiłaby się. Otóż ja tego nie chcę! Chcę, żebyś dobrze zapamiętał Jakuba Chardin, uczonego francuskiego, dla którego nie ma w życiu rzeczy cenniejszej nad jego pracę i który trud sześćdziesięciu badań spalił - dla ciebie!

Przez chwilę ciężko dyszał, wreszcie ochłonął i spokojniej już ciągnął dalej.

- Nie uczyniłem tego w nadziei, że się przemienisz. Ludzie nie zmieniają się tak łatwo. Wrócisz do swego instytutu i będziesz się starał zadowolić swoich zwierzchników, jak najsumienniejszemu hodując zadżumione pchły. Dalej będziesz miał nad sobą wielkich łajdaków, a wokół - kolegów, łajdaków małych, którzy sami nie zabijają nikogo, bo nie starczy im na to odwagi. Ale nie będziesz już taki spokojny jak oni! Będziesz myślał: w imię czego on to zrobił? O, nie zdobędziesz się na bunt! Na to jesteś zbyt tchórzliwy. Ale, być może, nadejdzie dzień, w którym będziesz mógł pomóc w popełnieniu nowej podłości lub tego nie zrobić. I... może wtedy zawahasz się...

Przemilczał kilka sekund.

- Nie jest to, naturalnie, pewne. Nie jest nawet prawdopodobne. A jednak zaryzykowałem. Dlaczego? To moja rzecz. Będziesz miał dość czasu, żeby się nad tym zastanowić...

Po chwili innym głosem:

- Czy pragnie pan teraz przenocować pod tym dachem, czy... woli wrócić do-auta?

Wheland wstał jak człowiek chory.

- Chcę odejść.

- Dobrze.

Profesor podszedł do drzwi. Wheland stał dalej na środku pokoju, nieruchomy; dolna warga drżała mu nieznacznie.

- Czy chce pan coś powiedzieć? Chardin. - spytał miękko

- Tak.

- To daremne. Wszystko zostało już powiedziane. Proszę za mną.

Otworzył drzwi. W głuchym milczeniu przeszli przez podwórze oblane białym światłem. Pies warczał przeraźliwie z budy. Szczęknął rygiel furty. Wheland przestępował już próg, gdy powstrzymała go twarda dłoń Chardina.

- Niech pan to weźmie.

Drzwi zatrzasnęły się. Amerykanin podniósł rękę. Trafiona księżycowym światłem, zamigotała w niej kryształowa kula.

## SEZAM

Mój przewodnik skręcił w odnogę korytarza i zatrzymał się przed drzwiami tak białymi, jakby dopiero przed chwilą pociągnięto je lakierem, nacisnął klamkę i ruchem ręki zaprosił mnie do środka.

- To tu.

Salę wypełniało matowe, rozproszone światło. Niedaleko drzwi stał masywny pulpit ze srebrzystego metalu, o spokojnych, opływowych liniach, okalający podkowiasto drewniane krzesło. Tafla pulpitu nachylała się skośnie w jego kierunku. Widniały na niej ustawione w szachownicę wyłączniki, rząd małych zegarów i - pośrodku - wąski, czarny pyszczek mikrofonu na przegubowej nóżce. Nic więcej.

Podniosłem głowę i znieruchomiałem. Wyobrażałem sobie ten największy w kraju mózg elektryczny jako ogromne rusztowanie, wypełnione gęstwiną kabli i aparatów. Tymczasem stałem przed zakłęśłą ścianą blado żyłkowanego marmuru, z której nieustannie mrugały tysiączne światełka, jaśniały i słabły, na miejsce jednych zapalały się nowe; w ich pojawianiu się i znikaniu było coś niefrasobliwego, nieomal filuternego, rzekłbyś - puszczone w ruch gigantyczna zabawka...

Profesor podszedł do pulpitu i poprosił mnie, żebym się zbliżył. Głos jego, gdy się odezwał, zabrzmiał stłumiony, a raczej zatopiony w nie ustającym, trudno uchwytnym szmerze czy szumie, który miał w sobie coś z bardzo dalekiego, monotonnego głosu oceanu. W pierwszej chwili nie wiedziałem, gdzie szukać jego źródła; w następnej zorientowałem się: to był odgłos elektrycznego myślenia. Ten sypki, ledwo słyszalny, a przecież

wszechogarniający szelest, jakby ze stropu spadały wciąż na podłogę setki i setki zeszlých niewidzialnych liści, to był zsumowany głos milionów krążących prądów. Zrozumiawszy to, przystanąłem i gdzieś w głębi wyobraźni zamajaczył mi niepojęty, domyślny tylko obraz tego gigantycznego labiryntu, miliardowej chmury pulsujących wyładowań niosących w swoich splotach i rozdrzewieniach jakieś zawile, trudne treści, przekształcane z zawrotną szybkością na drodze do ostatecznego rozwiązania.

Obraz ten był ulotny i nie dawał się pochwycić, jak próba wyobrażenia sobie nieskończoności przy spojrzeniu w wygwieżdżone niebo, kiedy umysł w pewnej chwili zawodzi i cofa się w poczuciu rozwierającej się i ogarniającej go bezdni.

Profesorowi spieszo było jednak przystąpić do objaśnień, więc podszedłem do niego posłusznie. Chociaż nie to mnie w tej chwili najbardziej ciekawiło, spytałem go, dlaczego przy pulpicie - niewątpliwie sterującym pulpicie elektromózgu - nie ma nikogo.

- Bo to niepotrzebne - odparł. - Maszyna dostała zadanie i rozwiązuje je; potrwa to jeszcze z godzinę. Problem jest dość trudny.

Spytałem, co to za zadanie. Profesor usiłował mi wytłumaczyć, ale niewiele pojąłem z jego słów; chodziło o zagadnienie związane z nowymi metodami przesyłu energii elektrycznej na wielkie odległości.

- Czy wie pan, co oznacza „imię” maszyny? - spytał profesor. - Sezam to Stacjonarny Elektronowy Zespół Automatów Matematycznych...

Gdy mówił, teraz i później, chwytałem go na częstych spojrzeniach rzucanych w stronę migocących światełek - po jakimś czasie, gdy oswoilem się nieco z sytuacją, zauważyłem, że patrzył nie byle gdzie, ale że wzrok jego obiegał kondygnacje ruchliwych ogników w określonej kolejności. Nie zakłócało to wcale toku naszej rozmowy, ale napawało mnie coraz silniejszym poczuciem, że jest przy niej obecny ktoś trzeci. „Osoba” ta była dla mnie całkowicie niezrozumiała i na dobrą sprawę prawie niewidzialna, natomiast profesor w lot zdawał się chwytać tajemnicze znaki, które mu przesyłała, i niejednym raz dostrzegłem, jak odpowiadając na moje pytanie zawahał się, to znowu, zakończywszy zdanie, zrobił dłuższą niż trzeba pauzę oddechową - ze wzrokiem utkwionym gdzieś w głębi sali, jak gdyby „tamten” dawał mu mrugnięciem znać coś nowego, co profesor gładko przyjmował do wiadomości, po czym znowu mnie mógł poświęcić główną uwagę.

- Nasz Sezam nie jest jeszcze jedną, zwyczajną machiną elektronowo-próżniową - ciągnął tymczasem profesor. - Potrafi on bez porównania więcej niż stare „Eniaki” Amerykanów. Zasada działania jest w pewnej mierze podobna, gdyż dla wszystkich naszych elektromózgów przejęliśmy ją (w najgrubszym uproszczeniu) od ośrodkowego układu



nerwowego zwierząt, ale to nie jest tylko elektryczne liczydło! Z Sezamem można porozumieć się nie tylko językiem liczb, wykresów i równań, ale i słów; można mu zadawać pytania, na które odpowiada.

- Jak to się dzieje? - spytałem raczej machinalnie, gdyż ciągle część mojej uwagi odciągało migotanie światełek, które przestało mi się już wydawać chaotyczne;

teraz dopatrywałem się w nim tajemniczego, ukrytego przede mną sensu.

- Zasada jest dość prosta. Najlepiej zilustruje ją przykład. Powiedzmy, że chcemy wybudować pocisk rakiety mający dolecieć do Księżyca. Najpierw musimy dać maszynie wszystkie niezbędne informacje - jest to, oczywiście, istny ocean wiadomości. Na początku przekazujemy dane ogólne. Tu przychodzi kwestia ciężenia ziemskiego, które pocisk musi przezwyciężyć, problem jego aerodynamiki przy przebijaniu atmosfery ziemskiej, problem lotu w próżni, problem lądowania na Księżycu, dalej startu powrotnego, znowu z uwzględnieniem całej złożonej specyfiki warunków, jakie panują na powierzchni naszego satelity. To są niejako ramy działania. Potem przychodzi kolej na zagadnienia - w szerokim tego słowa znaczeniu - inżynierskie. Są to więc wiadomości o surowcach, o procesach technologicznych obróbki, o silnikach rakiety, o różnych rodzajach napędu odrzutowego i tak dalej. Kiedyśmy to wszystko przekazali Sezamowi, można powiedzieć, żeśmy go nauczyli astronautyki, aerodynamiki, pełnego kursu wytrzymałości materiałów, termodynamiki i tak dalej.

Gdy wiadomości te tkwią już w rezerwarach jego elektrycznej pamięci, podajemy warunki dodatkowe, tak zwane ograniczające, a więc na przykład: że pocisk nie powinien przekraczać takich to a takich rozmiarów, że moc silnika nie powinna być większa od zadanej albo że czas lotu nie może być dłuższy niż tyle a tyle godzin. Czasem nie wiemy, czy przy takich założeniach konstrukcja jest w ogóle możliwa, ale z tym mały kłopot, gdyż Sezam „porozmyślawszy” czas jakiś da nam dokładną odpowiedź.

Wszystko to, całą tę pracę, mógłby na dobrą sprawę wykonać nie elektromózg, ale wielki, dobrze zgrany zespół konstruktorów, energetyków, inżynierów i meteorologów i potem, gdy wszystkie obliczenia i plany będą gotowe, należałoby przystąpić do budowy rzeczywistego pocisku i pierwszych prób lotu. Wiemy jednak, że pierwszy projekt nigdy nie jest doskonały i że w toku doświadczeń zachodzi konieczność wprowadzenia rozlicznych zmian i poprawek. Gdyby więc całą pracę wykonali ludzie, przysłoby do długotrwałych, żmudnych, niezmiernie kosztownych, a często i niebezpiecznych prób i doświadczeń. Otóż Sezam zaoszczędza nam tego wszystkiego, albowiem kiedy opracuje projekt pocisku, przystępujemy do prób startu i lotów, a także do badania wszelkiego rodzaju zakłóceń

podróży bez rzeczywistego pocisku, a tylko dokonując doświadczeń na pocisku „pomyślanym” przez Sezama. Dzieje się to w taki sposób, że różne części obwodów Sezama „przyjmują rolę” Ziemi, Księżyca, atmosfery, panujących w niej warunków, jak wiatrów, temperatur i tak dalej; wchodzi tu w grę olbrzymia ilość czynników - i w tym „otoczeniu” nasz „pocisk księżycowy” dokonuje rozmaitych „lotów” i „ewolucji”. Mam nadzieję, że nie weźmie pan tego zbyt dosłownie; naturalnie, nie ma w Sezamie żadnej Ziemi ani wiatrów itd.; są po prostu grupy pewnych wzorów, liczb nieustannie zmieniających się w sposób ściśle współzależny. Ale też więcej nam nie trzeba; uzyskujemy odpowiedzi na pytania, jak będzie się zachowywał pocisk, jeśli zostanie uszkodzona jakaś część żyrokompasów, jaka jest szansa zderzenia z meteorem, jaka temperatura powłoki przy przebiciu atmosfery. Problemów tych jest cały legion.

- No tak - powiedziałem - ale czy tych pomyślanych eksperymentów także nie mogliby na papierze dokonać rachmistrze?

- Teoretycznie mogliby - odparł uśmiechając się profesor - ale każdy zająłby tygodnie, jeśli nie miesiące; w efekcie - kilkudziesięciu znakomitych specjalistów pracowałoby jakieś sześć, siedem lat. Tymczasem różne dane, na przykład dotyczące silnika raketowego, starzałyby się, bo pojawiają się nowe, lepsze silniki, tak więc ten zespół ludzi siedziałby latami, rachując, mażąc, kreśląc, wprowadzając coraz nowe poprawki - jest to oczywisty nonsens. Tymczasem Sezam przeprowadza wszystkie próby w ciągu kilkunastu godzin...

- Słyszałem, że jest cała „kolejka” zadań oczekujących rozwiązania?

- A tak, rzeczywiście. To sytuacja chwilowa, spowodowana tym, że mamy dopiero jeden taki elektromózg;

jest on więc wciąż naszym „ciasnym gardłem”. Zwracają się do nas najróżniejsze ministerstwa, instytucje, placówki naukowe; Sezam rozwiązuje miesięcznie kilkaset problemów, poczynając od najoszczędniejszego planowania nowych zakładów przemysłowych, a kończąc na losach chmurki neutronów w głębi stosu atomowego. Potrzeby naszej nauki i naszego budownictwa są w tym przedmiocie olbrzymie; w najbliższym czasie przystępujemy do budowy nowych elektromózgów, przy czym, to brzmi dość zabawnie, w projektowaniu ich znaczny udział będzie miał Sezam. Tak więc będą to w pewnym sensie jego dzieci... być może, niejednokrotnie potężniejsze od swego rodzica...

Teraz profesor przeprowadził mnie na drugą stronę pulpitu, gdzie jak się okazało, na jego pionowej powierzchni znajdował się uproszczony schemat połączeń Sezamu. Był to system spojonych ze sobą rurek neonowych, który drżał i pałał od krętych, miniaturowych błyskawic. Profesor począł mi go objaśniać, nie mogłem jednak śledzić toku wywodów, bo w

świadomości mej pojawiło się drażniące uczucie, że ktoś stoi za moimi plecami i wpija we mnie uporczywy wzrok. Przystąpiłem z nogi na nogę i poruszyłem lekko ramionami. Profesor przerwał swój wykład i spytał z nieznacznym uśmiechem:

- Uczucie cudzego wzroku, prawda?

- Tak - przytwierdziłem zmieszany jego bystrością.

- To nic - rzekł - to się zdarza na początku każdemu. Jakiś czas musi upłynąć, zanim się człowiek do tego przyzwyczai. Nie ma w tym nic mistycznego; jest to zapewne a nie ustająca świadomość tego, że „ktoś” myśli i czuwa za naszymi plecami, a że przez całe życie przywykliśmy do mniemania że czuć i myśleć może tylko istota żywa, stąd to osobliwe złudzenie...

- Profesorze - rzekłem - Sezam to twór naprawdę niezwykły, a jednak muszę przyznać, że oprócz podziwu budzi się we mnie jakieś uczucie niechęci do tego mechanicznego mózgu... niechęci, której źródła trudno mi w tej chwili określić. Być może płynie ona stąd, że maszyna ta góruje nade mną sprawnością intelektualną, a to jest coś zupełnie innego, niż wyższość, jaką nad moimi mięśniami ma, powiedzmy, silnik elektryczny...

- Ach, to pan stoi na stanowisku, że on - tu profesor wskazał ręką za siebie - jest doskonalszy od naszego umysłu?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Ta kwestia, wie pan, wyższości czy niższości nie ma w ogóle zbyt wiele sensu... Czy encyklopedia jest od nas „wyższa”? Zapewniam pana, że jest ona tak samo martwa jak Sezam.

- Encyklopedia nie myśli - zauważyłem.

- Sezam też nie myśli w dosłownym, znaczeniu - odparł natychmiast profesor. Popularyzatorzy narobili trochę złego podkreślając to rzekomo niezwykle podobieństwo elektromózgów do umysłu ludzkiego. W samej rzeczy porównanie Sezamu do żywego mózgu jest bardzo naciągnięte... Ale jeśli pan sobie życzy, spróbujemy, ostatecznie porównywać można ze sobą wszystko.

Otóż gdy rozpatrujemy schematycznie samą ośnowę konstrukcji, rzecz ma się tak:

Żywy mózg składa się z elementarnych jednostek, którymi są komórki nerwowe, neurony. Odpowiednikiem neuronu jest w Sezamie lampa katodowa. Nasz Sezam jest bardzo wielki i posiada ponad 10 000 lamp. A w mózgu jest neuronów dziesięć tysięcy milionów, tj dziesięć miliardów. Tymczasem nasz mózg doskonale mieści się w głowie, a pracując zużywa ułamki wata energii, podczas gdy Sezam zajmuje dwa piętra, waży 170 ton i pochłania 160 000 watów. Dlaczego?... Odpowiedź jest prosta: objętość najmniejszej lampy katodowej jest

koło miliarda razy większa od objętości neuronu. Energii zużywa ona też koło miliarda razy więcej. Za to w odpowiadaniu na bodźce jest szybsza, bo neuron reaguje w przeciągu jednej dwudziestej części sekundy, a lampa - mniej więcej po 1/200 000 sekundy. Teraz zróbmy bilans. Na lampę wydajemy miliard razy więcej i za to pracuje ona tysiąc razy szybciej niż żywa komórka, czyli w wyniku wydajność jej jest milion razy mniejsza od wydajności neuronu. Gdybyśmy chcieli zbudować elektromózg zawierający tyle lamp, ile mózg liczy neuronów, okazałoby się to technicznie całkowicie niewykonalne. Nie tylko mózg ludzki, ale system nerwowy byle robaka liczy więcej elementów niż nasz potężny Sezam...

Zachodzi pytanie, czy nie dałoby się udoskonalić elektromózgu przez dalsze zmniejszenie lamp? Okazuje się, że jak długo będziemy stosowali dzisiejsze zasady konstrukcyjne - nie. Przestrzenią kontrolującą, to jest decydującą o dalszych losach, o drodze impulsu jest w lampie odległość między katodą a siatką. Wynosi ona około jednego milimetra. W neuronie przestrzeni tej odpowiada membrana komórki, której grubość wynosi koło jednej tysięcznej części milimetra. Oto cała różnica i powód, dla którego mózg ludzki waży półtora kilograma, a Sezam - 170 ton. To cała różnica, gdyż napięcie elektryczne (w przeliczeniu na rozmiary przestrzeni kontrolującej) jest tu i tam bardzo podobne. Różnica wynosi 1: 1000 w jednym wymiarze; chcąc mieć objętość, musimy pomnożyć 1000 X 1000 X 1000 i znowu mamy miliard, który wypadł nam z rachunku przed chwilą. Dlaczego jednak nie możemy zmniejszyć rozmiarów przestrzeni kontrolującej? Tutaj dochodzimy do krytycznego punktu naszych rozważań.

Laikowi wydaje się, że materiał, z jakiego sporządzony jest elektromózg, jak w ogóle każda maszyna, jest lepszy od materiału, z jakiego utworzone jest nasze ciało, albowiem żywe organizmy składają się z delikatnej, miękkiej galarety, a w maszynach mamy solidne, twarde metale. W rzeczywistości sprawa ma się akurat na odwrót. Raz jeszcze, skoro nam przyszło o tym mówić, porównajmy neuron i lampę katodową. W lampie mamy metale - katodę i siatkę - rozdzielone tylko próżnią; taką kombinację cechuje niestałość i niepewność działania, nie znana żywemu organizmowi. Na przykład, jeśli powstanie zwarcie, to całą lampę diabli biorą, a mówiąc ogólniej, konstrukcja metalowa, jeśli ją uszkodzić, nie wykazuje najmniejszej tendencji do samoistnego naprawienia się. Natomiast gdy uszkodzimy membranę neuronu (która, przypominam, czynnościowo odpowiada przestrzeni między siatką a katodą), to po paru godzinach z uszkodzenia nie zostanie ani śladu. Zagoi się. Niech mi pan pokaże gojącą się lampę katodową!

- Jak to - wtrąciłem - czy maszyna nie rekompensuje z nadwyżką tego braku swoją szybkością, sprawnością?

- Wiedziałem, że będzie się pan opierał! - wykrzyknął profesor z błyskiem w oczach. W niczym nie przypominał już flegmatycznego starszego pana. Stukając futerałem okularów w pulpit, jakby go chciał połamać na kawałki, wołał:

- Tego braku, drogi panie, nic nie skompensuje! Problem „samo naprawiania się” to nie jest jakiś dziwoląg myślowy, fanaberia inżyniera, ale paskudnie twardy orzech do zgryzienia, pojawiający się, kiedy technika wkracza w nowe, wyższe stadium rozwoju. W tej chwili dajemy sobie jeszcze jakoś z tym radę, ale ręczę, że w najbliższych dziesiątkach lat najtęższe głowy ruszą w tym kierunku do ataku! Bo to jest tak: w maszynie składającej się ze stosunkowo niewielkiej ilości części defekt nie jest niczym strasznym. Natomiast, kiedy, jak w Sezamie, składają się na nią tysiące elementów, konstruktor ze skóry musi wyłazić, żeby zapobiec niebezpieczeństwu powstającemu za każdym razem, gdy jakiś przekaźnik zaszwankuje czy lampa się spali. Inaczej bowiem maszyna zacznie podawać nam fałszywe wyniki! Co wtedy? Nazwa tego mózgu nie jest przypadkowa. Brzmi ona „Zespół Automatów Matematycznych” dlatego, że, jest to rzeczywiście zespół złożony z trzech bliźniaczo do siebie podobnych aparatów, pracujących równolegle i niezależnie na każdy zadany temat. Dzięki temu otrzymujemy zawsze trzy wyniki: jeśli są jednobrzmiące, wszystko w porządku, jeżeli się różnią, oznacza to, że w toku pracy został popełniony błąd i ruszamy na poszukiwanie defektu... Taki kosztowny, zawily system dyktuje nam konieczność. Tymczasem żywe ustroje, reprezentujące stopień komplikacji nieporównanie wyższej, doskonale obywają się bez takiego marnotrawstwa. Zdolność „samonaprawiania się”, w prostej maszynie pożądana, ale bynajmniej nie konieczna, jest dla organizmów żywych właściwością, bez której ich istnienie byłoby niemożliwe. Jeśli w przyszłości powstaną samonaprawiające się maszyny, będzie to rewolucja, w porównaniu z którą wynalazek silnika parowego był fraszką. Mimo to zapewniam pana, że to się zrobi, jeśli będzie trzeba. Jak? Trudno powiedzieć. Dajcie nam trochę czasu. Natura stworzyła żywe organizmy w ciągu dwu miliardów lat ewolucji. Było tego dość na sumienne „planowanie” i „próby konstrukcyjne”. My budujemy elektromózgi ledwo od kilkunastu lat; niech się pan zgłosi do nas w przyszłości (niekoniecznie za dwa miliardy lat, może być i za dwa tysiące), a do tego czasu postaramy się niejedno ulepszyć...

- Muszę przyznać - rzekłem - że mnie pan zadziwił, ale już zaczynam się otrząsać z tego peanu na cześć żywych tkanek. Przekonał mnie pan, że żywy mózg jest milion razy oszczędniejszy i wydajniejszy od mechanicznego, ale przecież ta maszyna bije go szybkością, a jeśli zlekceważyć rozmiary i wydatkowanie energii (na co możemy sobie chyba pozwolić),

to mamy w Sezamie urządzenie, które nie tylko może pomagać nam w pracy umysłowej, ale pracę tę, nawet twórczą, za nas wykonywać.

Profesor patrzył na mnie zmarszczony.

- Nawet twórczą, powiada pan? I w jakiż to sposób, jeśli wolno spytać?

- Sarn przecież wskazał pan drogę. Jeśli podać Sezamowi dane dotyczące jakiegoś problemu i zażądać odpowiedzi na pytanie...

- Na jakie pytanie? - szybko spytał profesor. Zrobiło mi się nijako, bo niewidzialną falą ogarnął mnie nastrój zamierchłej przeszłości: matura, surowe twarze profesorów, podchwytliwe pytania egzaminatora...

Zawahałem się.

- No, to zależy od tego, co nas interesuje...

- Oczywiście, ale obracając się wśród tak niejasnych ogólników nie zdołamy roztrząsnąć poruszonego przez pana zagadnienia, mianowicie, czy elektromózg może nie tylko pomagać człowiekowi, ale i wyręczać go w pracy twórczej...

Opowiem panu - podjął po chwili - pewną historię tyleż osobliwą co pouczającą, historię fiaska pewnego młodego człowieka, który myślał właśnie tak jak pan, że Sezam to nie pomocnik, lecz zastępca człowieka w walce z nie rozwiązanymi zagadkami...

Musi pan wiedzieć, że przychodzą tu do nas rozmaici fachowcy, młodzi uczeni, aspiranci, inżynierowie na kilkumiesięczne przeszkolenie w obsłudze Sezamu, gdyż każdy fach, każda gałąź nauki musi mieć łącznika pomiędzy swoją problematyką a kolektywem naszego instytutu, żebyśmy mogli szybko decydować, czy jakieś konkretne zadanie wchodzi w „profil produkcyjny” Sezamu, czy nie. Otóż pół roku temu zjawiał się u nas pewien biolog, bardzo młody, więc niezmiernie kategoryczny w twierdzeniach, który zapoznawszy się z Sezamem zapłonął zarówno entuzjazmem dla jego możliwości, jak i pogardą dla tutejszych pracowników, których nazwał rutyniarzami... Ja byłem jednym z nich - dodał profesor.

„Rozwiązujecie ciasne, płytkie problemy, które dałyby się rozwiązać i bez elektromózgu - rzekł mi ten młody człowiek - podczas gdy Sezam pozwala przeskoczyć całe dziesiątki, ba, może setki lat rozwoju nauki”.

Spytałem, jak sobie to wyobraża.

„Całkiem prosto - odpowiedział. - Należy zadawać Sezamowi pytania, na które nie znamy odpowiedzi i nawet się ich nie domyślamy, i to nie w jakichś tam wąskich kwestiach technologicznych (za takie uważał na przykład sprawę pocisku księżycowego), ale celując w największą gęstwę Nieznanego...”

Musi pan wiedzieć, że taki młody człowiek ma nie tylko prawo, ale i obowiązek samodzielnie sformułować jakiś problem i przedstawić go Sezamowi do rozwiązania. Jest to jak gdyby mały egzamin dyplomowy, w którym wykazuje, że potrafi bez pomocy naszych fachowców posłużyć się całą gamą możliwości zawilej aparatury.

„Pytanie, które zadam Sezamowi - rzekł mi ów młody człowiek - będzie brzmiało: jak leczyć raka?”

Na to odpowiedziałem tak:

Z elektromózgu nie można wyciągnąć więcej informacji, niżśmy weń włożyli. Jakkolwiek wygląda to paradoksalnie, to zadając Sezamowi pytanie podajemy mu tyle informacji, że zawierają już one odpowiedź na to pytanie, tyle, że ta odpowiedź jest przed nami ukryta w gąszczu materiału informacyjnego, a on ją tylko z niezmierną szybkością wydobywa i podaje w jasnej i prostej formie. Naturalnie dzieje się to zupełnie inaczej niż na przykład w maszynie, która z rudy wydobywa czysty metal, ale chodzi o zasadę. Sezam dysponuje tylko taką wiedzą, jakąśmy w niego poprzednio włożyli. I to jest wszystko. Cała potęga elektromózgu na nic się nie zda, jeśli będziemy zadawać mu pytania w niewłaściwy sposób albo, co na jedno wychodzi, jeśli dostarczymy mu błędnej informacji.

Kiedy wymieniłem przedtem na przykład pocisk księżycowy, to w informacji, jaką daliśmy Sezamowi, kryła się już odpowiedź, gdyż napełniliśmy go wiedzą o astronautyce, termodynamice itd. Gdybyśmy na przykład, zamiast rzeczywistych faktów dotyczących Księżyca, oświadczyli mu, że Księżyc to jest kula zielonego sera, unosząca się 10 kilometrów nad Ziemią, Sezam naturalnie wcale by się nie zdziwił i nie zaprotestował, gdyż nie jest do tego zdolny, ale przyjąłby to, że tak powiem, za dobrą monetę i popracowawszy sumiennie dałby nam skrupulatny plan rakiety, do niczego w rzeczywistym świecie niezdatnej.

Tak więc na pytanie połączone z fałszywą informacją pada fałszywa odpowiedź. Gdybyśmy mu zaś zamiast fałszywych faktów podali błędną teorię, skutek byłby tak samo opłakany. Sezam opiera się w pracy na dostarczonym materiale faktów i teorii, ale jedno i drugie pochodzi z zewnątrz, to znaczy, ludzie muszą pierwaj pozbierać fakty, a potem uogólnić je twórczo w teoretyczną abstrakcję i przekazać mu cały ten bagaż. Kiedy pytamy o pocisk księżycowy, jesteśmy spokojni o odpowiedź, bo jest tylko jedna teoria napędu odrzutowego i astrogacji, ale teorii powstawania raka jest wiele - i to sprzecznych. Na jakiej więc oprzeć się, formułując pytanie?”

Na to odpowiedział mi tak:

„O, ja będę ostrożny. Podam Sezamowi wszystkie znane fakty dotyczące chemizmu komórek, przemiany materii, wszystkie opisy możliwych przebiegów choroby rakowej, dane

o wpływie środowiska, statystyki dotyczące wieku, innych chorób, diety, dziedziczności i tak dalej, a on sam opracuje te dane i powie, co to jest rak i jak go leczyć”.

„Nie - odparłem - on tego nie zrobi”.

„Dlaczego?”

„Dla tej samej przyczyny, dla której zawiódłby następujący eksperyment. Powiedzmy, że chcemy komuś dać w rękę sposób odróżnienia dowolnego radioaparatu od każdej innej rzeczy na świecie, która takim aparatem nie jest. To można zrobić dwojako. Po pierwsze, jeśli znamy teoretyczne podstawy radiotechniki, wypełnimy kilka stron schematami połączeń elektrycznych, nauczymy go kilku wzorów i powiemy mu: masz tu zeszytik z planami.

Jeśli Znajdziesz jakiś przedmiot i nie będziesz wiedział, czy to jest radio, czy nie, zbadaj, czy ma połączenia odpowiadające jednej z kombinacji w zeszycie. Jeśli stwierdzisz, że tak, będzie to radio; w przeciwnym wypadku będzie to coś innego.

Jest jednak i drugi sposób. Jeśli wcale nie znamy podstaw radiotechniki i nic nie wiemy o indukcji, sprzężeniach zwrotnych i całej teorii elektromagnetycznych lał Maxwella, to na wołowej skórze nie spisujemy wszystkich cech, wedle których nasz człowiek ma odróżnić radio od „nieradia”. Powiemy mu więc, że to jest przeważnie skrzynka - ale nie zawsze, bo może być przecież radio bez skrzynki; że się stamtąd wydobywa ludzki głos i muzyka - ale to może być też gramofon lub szafa grająca; że tam jest oświetlona skala z napisami - ale i to nie zawsze; że jest antena - ale anteny mają też na przykład urządzenia radarowe i tak dalej, i tak dalej, będziemy opisywać wszystkie możliwe rodzaje pokrycia głośników, rodzaje politur, kolory gałek ebonitowych, kształty lamp, zajmie to niesłychanie wiele miejsca, a jaki będzie skutek? Taki, że rozpoznanie radia na podstawie tych cech wcale nie będzie pewne, bo większość ich jest zupełnie nieważna i nieistotna dla działania radia. Nasz człowiek uda się na poszukiwania i od razu w pierwszym przypadku zawiedzie się, bo jakiś dowcipniś zbudował radio tak: dwie lampy ustawił w piwnicy, cewkę i wariometr na pierwszym piętrze, kondensatory na strychu, wszystko połączył drucikami, antenę zrobił ze starego łożka żelaznego, prąd czerpie z termo ogniwa nad lampą naftową - i nasz „badacz” zostanie wystrychnięty na dudka. Cały opis, zajmujący dwadzieścia czy sto tomów, okaże się do bani olejowej.

Dlaczego tak jest? Dlatego, że w pierwszym przypadku podajemy ideę konstrukcyjną, zasady działania, słowem, ogólną teorię zamykającą w kilku wzorach i schematach wszystkie możliwości budowy radioodbiorników, przy czym - to bardzo ważne! - ta teoria wcale nie jest podobna do zewnętrznego wyglądu przeciętnego radia. Natomiast w drugim przypadku wyliczamy tysiączne cechy występujące w takich czy innych aparatach, ale nigdy nie



będziemy mieli pewności, czy one są w konieczny i nierozzerwalny sposób związane z działaniem radia, czy też to jakieś przypadkowe, błahe ozdóbki.

A teraz przypatrzmy się problemowi raka. Przy dzisiejszym stanie nauki jest on raczej zjawiskiem typu drugiego niż pierwszego; opisuje się cechy zewnętrzne, wygląd komórek i tak dalej, ale nie ma jednolitej teorii, która” by to wszystko uogólniała i mówiła nam, co tu jest ważne, a co przypadkowe i błahe”.

„Jeżeli będę podawał coraz więcej i więcej faktów, to w końcu Sezam zdoła stworzyć ogólną teorię!” - odparł mi uparty młodzieniec.

„Nigdy w świecie - odpowiedziałem. - Powiedzmy, że wszystkie znane radia mają z tyłu skrzynki dziurkowaną deseczkę. Naturalnie, ta deseczka będzie się znajdowała na samym początku naszej listy, bo, powiemy, skoro jest w każdym radioaparacie, to ho! ho! musi to być jakaś niesłychanie ważna cecha! Skutek zaś tego będzie żałosny. Sezam, który jak wiadomo, niczemu się nie dziwi i niczego nie uważa za niemożliwe, przynaglany przez nas, będzie posłusznie starał się sporządzić teorię, w której poczesne miejsce zająć ma ta nieszczęsna deseczka... Ciekawym, co by z tego wynikło! Choćbyś mu podał i milion, i trylion dalszych cech opisowych, nic to nie pomoże. Sezam udławi się tą idiotyczną deseczką, której przecież w żaden sposób nie zdoła wepchnąć w teorię, a w dodatku nic zgoła nie będzie wiedział o rzeczy najważniejszej - o istnieniu stacji nadawczej, bez której radio w ogóle nie może grać... Nie ulega więc wątpliwości, że i po tysiącu lat nie wpadnie na trop teorii Maxwella, bo i w jaki sposób?”. Będzie manipulował „abstrakcjami” deseczek, <-uogólnieniami” skrzynek, będzie się kopał w tysiącnych opisach i urodzi największy nonsens, jaki można sobie wyobrazić!

Podobna historia jest z rakiem. Będziesz mu podawał informacje o chorych na raka ludziach, o ich wzroście, o tym, co jedzą, jak śpią, jak im włosy rosną, a może to wszystko jest najzupełniej nieistotne, może raka wywołuje czynnik X, nie znany dotąd nauce, tak jak w naszym przykładzie nie znana była teoria Maxwella?...”

- Te wszystkie argumenty uczyniły mego młodego człowieka jeszcze bardziej zaciętrzewionym. Zapewne wydawało mu się, że jest Galileuszem - zmuszonym przez inkwizycję do odwołania swej nauki, i ręczę, że powtarzał w duchu: e pur si muove - a jednak się porusza!

„Problem jest trudniejszy, niż myślałem - rzekł - a jednak spróbuję go pokonać”.

- Jakoż, gdy nadszedł okres pracy dyplomowej, jał dostarczać Sezamowi informacji; znosił je i zwoził całymi tomami, dniem i nocą, były tam i protokoły sekcyjne i opisy morfologiczne, teorie powstawania raka wirusowe i biochemiczne, dane histologii,

embriologii i anatomii patologicznej... Nie będę wyliczał wszystkiego, boby to zajęło nam zbyt wiele czasu. Dość powiedzieć, że w ciągu tygodnia Sezam pochłonął więcej wiedzy o raku, niż zdołałby jej nagromadzić człowiek, który by przez całe życie nie robił nic innego, jak tylko studiował fachową literaturę.

Nareszcie uznawszy, że będzie dość, młodzieniec przystąpił do decydującego ataku i zadał Sezamowi pytanie: „jak leczyć raka?” Tu wyłoniła się zupełnie nowa trudność. Sezam w ogóle nic nie odpowiedział, bo, że tak powiem, nie rozumiał, o co chodzi. Rzecz ma się bowiem tak, że kiedy rozmawiamy ze sobą, wypowiadamy wiele słów, które „rozumieją się same przez się”. Każdy człowiek, choćby i nie uczony, nie lekarz, mniej więcej do-rozumie się, co znaczy „wyleczyć z choroby”. Natomiast elektromózg nie umie się domyślać, dla niego nic zgoła nie jest „zrozumiałe samo przez się”. Trzeba mu było ściśle wyjaśnić, co to znaczy „wyleczyć”. Młodzieniec zabrał się do tego tak: „wyleczyć - to znaczy zrobić tak, żeby raka nie było w organizmie”. „Żeby raka nie było w organizmie - odpowiedział Sezam - trzeba go usunąć”. Było to bardzo proste, ale nie posuwało sprawy ani o włos. „Jak usunąć raka?” - spytał dalej mój badacz. Sezam odpowiedział natychmiast: „należy wyosobnić go z organizmu”.

Oczywiście, młody człowiek był bardzo zły. Zaczął więc się bić z Sezamem i formułował pytania coraz inne. Robił to kilkaset razy. W różnych fazach Sezam (którego cierpliwość dlatego jest nieograniczona, że on w ogóle nie wie, co to cierpliwość) różnie odpowiadał. Na przykład, gdy młodzieniec dochodził już do sformułowań subtelniejszych i pytał: „jak powstrzymać rozprzestrzenianie się raka w organizmie, nie usuwając go, nie wycinając ani nie używając promieni Roentgena?”, Sezam odpowiedział: „należy zabić organizm, wtedy i rak zginie”. Musiał więc wprowadzić dodatkowe punkty o tym, że powstrzymując ten wzrost rakowy nie można organizmowi szkodzić. Okazało się wtedy, że Sezam nie wie, co to znaczy „szkodzić”, bo i skądżeby miał coś o tym wiedzieć układ lamp katodowych? Trwało to dosyć długo, sypały się chytre pytania i nonsensowne odpowiedzi, aż w końcu pewnego wieczoru wpadł do mego pokoju potrząsając kartką papieru: miał już odpowiedź, nie jakąś pokrętną, ale konkretną, rzeczywistą; Sezam podał mu wzór środka chemicznego, który, wprowadzony do organizmu, powstrzyma rozprzestrzenianie się raka, nie zabijając organizmu ani go nie niszcząc. „To znaczy, nie czyniąc mu żadnej szkody” - zapewnił mnie młody człowiek.

Aczkolwiek wcale nie wierzyłem w skuteczność tego środka, byłem rzeczywiście ciekaw, jaki skutek da jego wypróbowanie i jak Sezam po swojemu zrozumiał słowo „nie szkodzić”. Ten związek - mamy tu jeszcze gdzieś w laboratorium resztę - był to niesłychanie

skomplikowany preparat, jakaś pochodna antracenowofenantrenowa z podstawnikami pterynowymi i tak dalej. Sezam powiedział też, jak należy go syntezować. Kilku znajomych chemików zabrało się do dzieła i wkrótce stworzyli dostateczną dla doświadczeń dawkę tej substancji. Przyniósł roi ją tu w triumfie; był to oleisty płyn o aromatycznym zapachu. Młodzieniec wziął kilkadziesiąt myszy, u których rozwijał się już sztucznie wywołany rak wątroby, i wstrzyknął im po dawce tego leku. Każda myszka siedziała w oddzielnej klateczce; wszystkich było zdaje się pięćdziesiąt. Połowie wstrzyknął lek, druga połowa stanowiła zwykłą w doświadczeniu kontrolę, no i czekał, co będzie dalej. Dwa czy trzy dni później wezwano go do Krakowa w związku z jakąś sprawą zawodową. Wyjechał na dwa tygodnie. Ledwo wrócił, pognął do laboratorium, w którym mieściły się myszki. Zamknięte były w osobnym pokoju. Przypadkowo znajdowałem się wtedy w sąsiedztwie i usłyszałem jego okrzyk, nie triumfu bynajmniej, lecz zgrozy. Wszyscy, jakeśmy stali przy aparatach, rzuciliśmy się do tamtej sali. Nieprędko zapomnę to, co ujrzałem.

Klatki z myszami mieściły się na półkach; mój młody człowiek wyjął widać przed chwilą jedną i natychmiast ją puścił, tak że upadła na stół. Zbliżywszy się, zobaczyłem, co go tak przeraziło. Całą klatkę, rodzaj prostopadłościanu z drutu, o wymiarach 12 X 10 X 8 centymetrów, wypełniała pulsująca, szarawa masa, która uwypuklała się poprzez oczka siatki jak nadęta guma. Najokropniejsze było to, że ta sześcienna masa żyła; widziałem wyraźnie, jak drga, poruszana podskórnym tętnem krwi. Pokrywał ją rodzaj zmierzwionego, na poły zrogowaciałego włosia, a w jednym miejscu można się było domyślić nieprawdopodobnie zdeformowanej i wyolbrzymionej, jak gdyby równocześnie rozdętej i spłaszczonej uciskiem mysiej głowy...

Kiedyśmy sięgnęli do innych klatek, we wszystkich, w których myszy potraktowane zostały „lekarstwem”, zastaliśmy taki sam obraz: każdą szczelnie wypełniała bujająca masa żywego mięsa. Już pierwsza sekcja wyjaśniła wszystko...

Profesor zatrzymał się i spojrzał mi w oczy.

- Czy słyszał pan może o sposobie, jakiego używali Indianie na preriach Dzikiego Zachodu, kiedy ujrzeni pożar nadciągający suchymi trawami stepu? Stawiali mu tamę w taki sposób, że podpalali część otaczających ich prerii; ów sztucznie wzniecony ogień niszczył trawę i tamten, nadciągnąwszy, nie znajdował już dla siebie pokarmu. Otóż „lek”, który Sezam stworzył na rozkaz młodego człowieka, działał właśnie na tej zasadzie. Podobne zwalczał podobnym. Stworzył po prostu najpotężniejszy preparat rakotwórczy, jaki można sobie wyobrazić. Pod jego wpływem cały organizm wraz ze skórą, mięśniami i narządami wewnętrznymi rakowaciał; wszystkie tkanki poczynają bujać z niepohamowaną prężnością,

bezwładnie i chaotycznie. Przy tym tkanki te nie uległy pierwotnemu rakowi, na który myszy chorowały już przedtem; tak więc, przynajmniej formalnie, żądanie młodego człowieka było spełnione... Jako środka na raka Sezam użył raka jeszcze złośliwszego. Rzeczywiście, po „swojemu”, w sposób bezwzględnie logiczny zinterpretował słowa „powstrzymać wzrost raka nie zabijając organizmu...” W warunkach ograniczających nic przecież nie było powiedziane o tym, że nie można tego uczynić przy pomocy innego raka...

Profesor urwał patrząc na mnie błyszczącymi oczami. Po dłuższym milczeniu wśród miarowego szumu prądów odezwałem się z pewnym wahaniem:

- No tak, profesorze... ale... gdyby warunki ograniczające były ostrożniej, ściślej sprecyzowane? Gdyby zadać Sezamowi pytanie zabezpieczywszy się lepiej przed możliwością absurdu?... Sam pan przecież mówi, że stworzył potężny środek rakotwórczy, dlaczego nie mógłby więc stworzyć potężnego leku...

- Et tu, Brute, contra me?!

Z impetem, o jaki trudno było go posądzić, profesor począł mówić gestykulując:

- A więc i w panu siedzi ukryty don Kichot?!... Jak to, czy nie wyjaśniłem, że z elektromózgu nie można wyciągnąć więcej informacji, niżesmy weń włożyli?! Sezam został napełniony wiedzą o chemizmie nowotworów, więc między innymi także wiedzą o budowie chemicznej środków rakotwórczych, tak tedy sami napełniliśmy go danymi, z których skonstruował później odpowiedź. Czy pan tego nie widzi? Żądano odeń, by powstrzymał wzrost raka, i osiągnął „sukces”, bo potraktowane „lekiem” tkanki nie zginęły, przeciwnie, żyły nadal, przeciwstawiając się pierwotnemu rakowi, i to jak jeszcze! - przecież w nich samych toczył się wzrost nowotworowy... No dobrze, a czy nie otrzymalibyśmy dobrej odpowiedzi zadając Sezamowi nowe i nowe pytania?... Gdyby odpowiedź ta była ukryta w materiale informacyjnym - to nie wykluczone. Ale - cała dobra odpowiedź padłaby jako wielotysięczna czy wielomilionowa z rzędu, ukryta w istnym deszczu odpowiedzi nonsensownych; chcąc każdą wypróbować eksperymentalnie, z uczonych zmienilibyśmy się w jakichś pajaców. Byłby to powrót do owej szlachetnej metody opisywanej przez Swifta w „Gulliwerze”, a polegającej na tym, że czcionki drukarskie rzuca się na podłogę; po kilku sekstylionach czy centylionach rzutów ułożą się ślepym przypadkiem we właściwą, poszukiwaną przez nas odpowiedź. Taki musi być efekt, kiedy usiłuje się zastąpić twórczą działalność człowieka pracą elektromózgu...

Już od dłuższej chwili coś się zmieniało w migotaniu światełek na czołowej ścianie Sezamu. Różowe i liliowe lampki boczne wygasły, za to w środku pojawił się na ekranie

zarys zielonkawej linii krzywej. Gdy profesor skończył, trwała przez kilkanaście sekund cisza, którą przerwał znenacka głos biegnący z pobliza. Ale to nie profesor się odezwał...

Głos niski, o metalicznym brzmieniu, wybiegł z głośnika ukrytego w pulpicie. Wypowiedział donośnie tylko jedno słowo:

- Gotów!

Profesor zauważył, że drgnąłem, i pragnąc zapewne w efektowny sposób zakończyć naszą rozmowę, zwrócił się w stronę świateł, które jakby spoglądały na nas nieruchomo, skłonił się lekko i z ledwo dostrzegalnym uśmiechem na ustach rzekł:

- Dziękuję ci, Sezamie...

## **ELECTRONIC SUBVERSIVE IDEAS DETECTOR**

Dotknąwszy wypielegnowanych, siwych bokobrodów, profesor Elmer B. Coleman spojrział na wypełnioną salę przez grube, soczewkowe szkła swych okularów.

- Proszę kolegów. Jak wiadomo, w kraju naszym od siedmiu lat przeprowadza się badania lojalności obywateli. W pierwszej ich fazie ograniczaliśmy się do poszukiwania komunistów i ich sympatyków. W fazie następnej zakres poszukiwań rozszerzył się znacznie dzięki temu, że Najwyższy Prokurator Stanów ogłosił listę 673 organizacji antyamerykańskich. Zmusiło to Federalne Biuro Śledcze do poważnego rozszerzenia procedury; i tak w roku ubiegłym 821 komisji do badania lojalności przesłuchało ponad cztery i pół miliona obywateli, przy czym ogólne koszty 'proceduralne przekroczyły 28 milionów dolarów. Dalsze badania stwierdziły, że i taka akcja jest niewystarczająca, albowiem myśli anty amerykańskie powstają u wielu ludzi nie związanych z organizacjami wywrotowymi, a więc niejako samorodnie.

Odkrycie to skłoniło Federalne Biuro Śledcze do dalszego rozprzestrzenienia akcji. Wynikły przy tym poważne trudności. W miarę bowiem jak powiększa się liczba osób badanych, rosnąć musi także ilość badających, a gdzież pewność, że nie znajdą się wśród nich ludzie o skrytych skłonnościach wywrotowych? Aby zbadać całe to zagadnienie z naukową ścisłością, Federalne Biuro Śledcze stworzyło własną pracownię psychologiczną, znaną pod nazwą Federal Loyalty Research Center, którego mam zaszczyt być kierownikiem.

Prace nasze rozpoczęliśmy od ułożenia dokładnych tablic korelacyjnych dla całego narodu amerykańskiego. System ten przedstawia się następująco: osobnik o skłonnościach wywrotowych postawiony przed komisję stara się ukrywać rzeczywiste przekonania i dlatego pytanie go wręcz o to, „czy zamyśla siłą obalić rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki”, nie prowadzi do celu. Co więcej, wykryliśmy, że podejrzany sam może nie zdawać sobie sprawy ze swej wywrotowości, która kryje się w głębinach jego jaźni, gotowa któregoś dnia w całej swej ohydzie zagrozić Stanom Zjednoczonym. Udało się nam jednak wykazać, że tajone myśli wywrotowe nie występują w głowach w sposób odosobniony, ale że wiążą się z innymi myślami, zazwyczaj pozornie nieszkodliwymi. Naturalnie, stwierdzenie u badanego jednej

takiej myśli, skorelowanej dodatnio z postawą antyamerykańską, jeszcze nie wystarcza dla udowodnienia jego szkodliwości, ale im więcej podobnych obciążających myśli wykryjemy, tym większa staje się szansa, że istotnie mamy do czynienia z wyrotowcem.

Po zmuśnionych i długotrwałych dociekaniach ułożyliśmy - więc listę trzech tysięcy dwustu sześćdziesięciu pięciu pytań zredagowanych w taki sposób, że nie wzbudzają w przesłuchiwanym najmniejszych nawet podejrzeń i pozwalają uzyskać odpowiedzi całkowicie zgodne z prawdą. Aby zaś usprawnić proces oddzielenia jednostek wyrotowych od lojalnych oraz aby uniknąć wszelkich zakłóceń wymiaru sprawiedliwości, jakie nieuchronnie wnosi podlegający błędom umysł prowadzącego śledztwo - zbudowaliśmy przy współudziale Army Electrical Computers Center specjalną maszynę do badania lojalności, elektryczny mózg nowego typu nazwany Electronic Subversive Ideas Detector, w skrócie Esid. Osobnika podejrzanego umieszczamy w kabinie, po czym Esid przystępuje do zadawania pytań. Dla przykładu zacytuję niektóre:

„Czy masz w domu płyty Paula Robesona?

Czy uważasz, że przy pobieraniu krwi do transfuzji można krew murzyńską mieszać z krwią białych?

Czy lubisz barszcz rosyjski?

Czy chętnie czytasz grube powieści?”

To są, dżentelmeni, przykłady pytań, na które w 80, 1 procent dają odpowiedź „tak” ludzie o skłonnościach wyrotowych. A oto inny rodzaj pytania: Co to jest bomba atomowa?

Ludzie lojalni odpowiadają, że jest to środek obrony cywilizacji zachodniej (treść tę wyrażają, naturalnie, różnymi słowami). Natomiast o człowieku, który odpowiada, że jest to środek masowej zagłady, możemy z prawdopodobieństwem wynoszącym 87, 9 procent orzec, iż nosi się on ze skrytą chęcią obalenia naszego rządu. Dalej maszyna stawia pewne związane z sobą sekwencje pytań, jak na przykład:

„Czy lubisz ptaki? Czy lubisz niebieskie kwiaty?

Czy lubisz gołębie?”

Zwróćcie, dżentelmeni, uwagę na umiejętne uszeregowanie pytań. Nawet jeśli indagowany, zorientowawszy się przy ostatnim pytaniu o jego charakterze politycznym, odpowie „nie”, to jeśli odpowiedział „tak” na dwa pytania poprzednie, tym samym dał już dowód ukrytych skłonności wyrotowych. Przesłuchując, maszyna jednocześnie wartościuje odpowiedzi, dając za każdą pewną ilość punktów dodatnich lub ujemnych. Tak na przykład, jeżeli badany przeglądał z ochotą powieść Lwa Tołstoja u sąsiadów, dostaje jeden punkt ujemny, jeżeli pożyczył taką książkę w bibliotece - dwa punkty ujemne, a jeśli posiada ją na

własność - cztery punkty ujemne. Warto dodać, że w toku badań wykryliśmy zaiste wywrotowy wpływ, jaki na umysły ludzkie wywiera tak zwana literatura piękna, zwłaszcza zaś autorzy europejscy, w przeciwieństwie do opowieści obrazkowych, tak zwanych komiksów, które w doskonały sposób krzepią lojalność. Tak więc, dżentelmeni, każdy stawiony przed Esid zostaje przesłuchany w ciągu półtorej godziny i maszyna natychmiast przedstawia gotowe obliczenie wykazujące, czy dany osobnik myśli wywrotowe, czy lojalnie.

Ale to dopiero połowa zadania, dżentelmeni. Gdyby maszyna nasza nie potrafiła nic więcej, nie byłaby prawdziwym Mechanicznym Sędzią, ale zwyczajnym liczydłem i zadawałaby pytania w sposób niezmienny, sztywny, ustalony raz na zawsze i dlatego ktoś, kto poznałby całą ich listę i nauczył się jej na pamięć, zdołałby ją, być może, mimo wszystkie zasady oszukać. Aby do tego nie dopuścić, maszyna zadaje także pytania drugiego typu, dotyczące konkretnej sprawy podejrzanego osobnika. Dzieje się to tak, że najpierw przedkładamy jej wszystkie akta jego sprawy. Esid skrupulatnie zaznajamia się z nimi i rejestruje fakty obciążające, a potem przesłuchuje oskarżonego. Dla zilustrowania moich wywodów zacytuję konkretny przykład.

Powiedzmy, że chodzi o uczonego, który przed rokiem bawił w nocnym lokalu w towarzystwie dwu podejrzanych osobników. Maszyna formułuje pytania w sposób indywidualny i różny w każdym przypadku, ale mniej więcej będzie to wyglądać tak:

Co pan robił w dniu 29 lipca 1952 roku o godzinie 19.18?

Odpowiedź może być naturalnie rozmaita. Jeżeli badany odpowie, że nie pamięta, podejrzenie przeciw niemu wzrasta i maszyna daje mu jeden punkt ujemny, po czym mówi: byłeś pan wtedy w „Barze Słonecznym”. Dlaczego nie chciał pan tego wyznać?

Najczęściej przesłuchiwany odpowiada, że zapomniał. Dostaje za to drugi punkt ujemny. Maszyna pyta dalej, z kim wtedy przebywał i o czym się mówiło. Jeśli powie, że i tego nie pamięta, usiłując usprawiedliwić się roztargnieniem, dostaje trzeci punkt ujemny. Pada następne pytanie: czy wiadomo panu, że ludzie, z którymi jadł pan kolację, są czerwoni? Jeśli odpowie „nie”, dostaje trzy punkty ujemne. - Głos z sali: - A jeśli rzeczywiście nie wie?

Profesor Coleman zmarszczył brwi, pogładził bokobrody i karcąco spojrzął znad opuszczonych szkieł.

- Lojalny obywatel, lojalny uczonek zawsze wie, z kim się styka, bo jest do tego obowiązany przez wzgląd na ogrom swej odpowiedzialności wobec państwa. Jeśli więc nawet odpowiadając, że nic nie wie o wywrotowych skłonnościach swych ówczesnych rozmówców, mówi prawdę, to i tak tablice korelacyjne wykazują, że podejrzenie przeciw niemu wzrosło.



To jest, proszę kolegi, elementarny wywód logiczny z ogólnej statystycznej teorii psychologii stosowanej.

Dodać jeszcze muszę, dżentelmeni, że Esid zadaje dwa wymienione rodzaje pytań - generalnych oraz odnoszących się do danego, jednostkowego przypadku - nie w sposób rozdzielny, lecz przerzucając się nieustannie z jednego typu pytań w drugi, przez co jeszcze bardziej utrudnia odpowiadającemu jakiegokolwiek oszustwo. Ale i to nie wszystko.

Jak powiedziałem, liczba pytań wynosi 3 265. Ilość ta nie pozwala, niestety, na stwierdzenie, czy badany jest lojalny z pewnością stuprocentową, a tylko z dokładnością wynoszącą 99, 861 procent. „Jednakże my, uczeni najbardziej cywilizowanego kraju na świecie, nie chcieliśmy poddawać ludzi przesłuchiwanym nawet ryzyku tak drobnemu, gdyż wówczas, jak można obliczyć, maszyna popełniałaby omyłkę raz na 19 500 przesłuchiwań. Być może, w jakimś systemie totalitarnym uznano by taką maszynę za doskonałą, ale u nas, dżentelmeni, rzecz ma się inaczej! My, obrońcy zachodniej kultury, uznaliśmy, że należy usunąć nawet tak znikomą możliwość pomyłki. W tym celu zaczęliśmy wprowadzać dodatkowe pytania i okazało się, że kiedy liczba ich wyniosła 8 767 339, możliwość pomyłki praktycznie stała się równa zeru.

Głos z sali: - Czy były przeprowadzane próby?

- Tak, próby były przeprowadzane. Jeden z moich współpracowników, doktor Haas, poddał się pełnemu badaniu, że zaś musi się ono odbywać bez przerwy, był on indagowany przez 29 godzin. Tego nowoczesnego bohatera nauki, który na sobie samym wypróbował działanie udoskonalonego Esidu, wyniesiono z kabiny przesłuchiwań w stanie ostatecznego wycieńczenia i całkowitej nieprzytomności. Uznawszy, że taki przewód trudno będzie zastosować, postanowiliśmy skrócić go drastycznie przez wprowadzenie nowego udoskonalenia, mianowicie tak zwanego systemu nagrody i kary.

Autorem tej innowacji jest mój współpracownik, doktor Leverey. Polega ona na tym, że jeśli pytany wikła się w zeznaniach i sam sobie przeczy wykazując tym samym, że usiłuje wprowadzić maszynę w błąd, dostaje po wstępnym ostrzeżeniu uderzenie elektryczne, przykre, lecz nieszkodliwe dla zdrowia. Jeżeli zaś odpowiada wedle najlepszej woli, logicznie i chętnie, wówczas, po pierwszych 10 minutach dostaje papierosa, po drugich 10 minutach - anyżkową gumę do żucia, a w połowie przesłuchania - szklankę orzeźwiającej limoniady Coca Cola.

Głos z sali: - A po czym poznaje się dobrą wolę?

- Dżentelmen pyta, w jaki sposób poznaje się najlepszą wolę badanego? W bardzo prosty i ścisły sposób. Specjalne urządzenia mierzą częstość pulsu badanego, wilgotność jego

powłok skórnych, stan napięcia mięśni i zmiany natężenia głosu. Jest rzeczą oczywistą, że osobnik całkowicie lojalny, nie mając najmniejszych powodów do napięcia nerwowego, nie poci się ani nie drży. Jeśli natomiast podobne objawy występują, podejrzenie, że mamy do czynienia z jednostką wywrotową, poważnie wzrasta. Pragnąłbym jeszcze podkreślić dogodności, jakie przedstawia indagowanemu Esid dzięki temu, że konstruktorzy specjalnie wbudowali weń urządzenie klimatyczne, które wedle życzenia podwyższa lub obniża panującą w kabinie temperaturę. Tak więc ta nowoczesna maszyna do badania lojalności...

Głos z sali: - A czy ktoś zbadał lojalność samej maszyny?

Rozległy się śmiechy. Profesor Coleman surowo spojrzął znad brzegu szkielec na słuchaczy, pogładził siwe bokobrody i rzekł:

- Jest to problem bardzo istotny i nie pojmuję, co niektórzy koledzy znajdują w nim zabawnego. Zbudowany przez nas aparat mierzy lojalność obywateli w jednostkach skali tysięczstopniowej. Każdy ścisły pomiar zakłada istnienie wzorca, jakim na przykład dla pomiaru długości jest irydowo-platynowy metr znajdujący się w Międzynarodowym Biurze Miar i Wag pod Paryżem. Musieliśmy więc i my obrać jednostkę wzorcową dla Esidu. W tym celu zwróciliśmy się do pięćdziesięciu wybitnych obywateli Stanów Zjednoczonych, piastujących wysokie godności społeczne i polityczne. Każdy z nich poddał się godzinnej rozmowie z Esidem. W tym czasie wypowiedział się szeroko na tematy filozoficzne, ekonomiczne, polityczne i kulturalne. Maszyna utrzymała te oświadczenia na dziurkowanej taśmie, stanowiącej jej organ pamięci - i to jest właśnie wzorzec lojalności, z jakim porównuje zeznania podejrzanych.

Głos z sali: - A czy można wiedzieć, jakie to były poglądy?

- Oczywiście. Nie są one tajemnicą. Przegląd wszystkich zająłby nam niestety zbyt wiele czasu, wymienię więc dla przykładu tylko niektóre. Oto definicje pojęcia wolności:

„Wolność - jest to najświętszy przywilej każdego obywatela amerykańskiego”.

„Ze wszystkich rodzajów wolności - najwyższym jest swoboda robienia interesów”.

A oto przykłady poglądów na istotę komunizmu:

„Komunizm - to uraz na tle stłumionego kompleksu Edypa i związanego z tym uczucia nienawiści do własnego ojca, którego miejsce w wieku dojrzałym zajmuje przedsiębiorca lub fabrykant”.

„Komunizm - to rozdmuchane sztucznie nieporozumienie na tle językowym, wynikające stąd, że robotnicy niewłaściwie rozumieją takie słowa, jak „bezrobocie”, „pieniądz”, „nędza”, „wyzysk” itp. (prof. Amman Shackleton z Institute for Semantic Study) -

„Komunizm? To okropne! (Prezes Goldwyn z wytwórni filmowej Metro-Goldwyn-Mayer)”.

Jak koledzy widzą z tych przykładów, układ wzorcowy Esidu nie ma nic wspólnego z jakimś totalitarnym mono-ideizmem, przeciwnie, współistnieją w nim najrozmaitsze opinie reprezentujące szeroką skalę najrozmaitszych poglądów.

Głos z sali: - A w jakim stadium znajdują się prace nad maszyną?

- Prace są już zakończone, proszę kolegi, i maszyna została oddana do seryjnej produkcji zakładom General Electric Co. W tej chwili, jak informuje mnie towarzystwo, wyprodukowano już 500 sztuk ulepszonych elektro-mózgów i zostały już one przekazane organom FBI we wszystkich większych miastach Stanów Zjednoczonych. W przyszłym roku produkcja zostanie znacznie powiększona i niedługo już nastanie radosny czas, kiedy w każdej, najmniejszej nawet miejscowości będzie się znajdować ilość Esidów dostateczna, żeby całą ludność naszego kraju można było przebadać dwa lub trzy razy do roku.

Ten nowy model Esidu, który znajduje się już w eksploatacji, nie tylko ocenia lojalność, ale także wydaje w nieomylnie ścisły sposób wyroki w oparciu o kodeks prawny. W ubiegłym miesiącu Kongres orzekł w specjalnej ustawie, iż od wyroków wydawanych przez Esid nie ma żadnej apelacji. Tym samym najwyższe władze naszego kraju w pełni uznały i zaakceptowały precyzyjne, naukowe metody automatycznego wymiaru sprawiedliwości.

Mogę kolegom zakomunikować, że liczne zrzeczenia religijne zwróciły się do nas z prośbą o skonstruowanie automatycznego spowiednika, który niebawem już, obok automatycznej Temidy, wyruszy w triumfalny pochód pośród naszego społeczeństwa, aby szerzyć i propagować ideę obiektywnego badania najdrażliwszych konfliktów duchowych współczesnego Amerykanina i rozwiązywać je z równowagą i spokojem, a zarazem subtelnością, jakich osiągnąć nie może miotany burzami namiętności umysł człowieka.

Na zakończenie dorocznej konferencji zrzeczenia inżynierów-elektroników odbył się w wielkich salach hotelu „Imperiał” bankiet pożegnalny.

Po wspaniałej uczcie przy stołach ustawionych w podkowie, skrzącą się od kryształów i złota zastawy, trzystu dwudziestu uczestników konferencji rozpląnęło się po całym gmachu hotelu. Od najwyższych kondygnacji po obszerne westibule „Imperiał” jarzył się światłami. W głównej sali tańczono przy dźwiękach trzech orkiestr murzyńskich; w bocznych pokojach działały obficie zaopatrzone bufety, w powietrzu rozlegały się śmiechy, toasty, co chwila przelatywały burze oklasków, zewsząd donosił się gwar rozmów, brzęk szkła i palba szampańskich korków.

W palarni o przyćmionych światłach, oddalonej od głównej sali, odgłosy zabawy słychać było tylko jako stłumiony pogwar, podobny do szumu dalekiego przyływu morskiego. Pod wielkimi palmami rozsiadło się tu kilku mężczyzn i w mgiełce wonnego dymu prowadziło niegłośną rozmowę. Przechodzący tamtędy profesor Coleman dał się skusić zaciszu tego miejsca i spoczął w głębi wygodnego fotela. Gdy srebrnym nożykiem przycinał cygaro, czuwający w dyskretnej odległości kelner napełnił jego kieliszek musującym trunkiem. Niebawem znakomity uczyony poczuł, że głowę jego wypełnia radosny, muzyczny poszum, w którym chwiejnie nieco płyną obrazy i słowa rozmowy.

Wśród odpoczywających w palarni znalazł się jeden szczególnie dowcipny, sypał on anegdotami na przeróżne tematy, od politycznych do ściśle zawodowych. W pewnej chwili z fantazją zarysował przed obecnymi obraz przyszłości Stanów: oto po masowym wprowadzeniu w życie urządzeń automatycznych lampy katodowe buntują się przeciw ludziom i pod przewodem wielkiej triody z Schenectady opanowują Amerykę i świat cały. Powiastkę tę skwitowano wybuchem śmiechu. Później, w miarę jak osuszano coraz to nowe butelki, towarzystwo ogarnął nastrój jakiejś nieokreślonej melancholii; rozmowa toczyła się nadal, ale prowadzona bardziej ściszonymi głosami. Mówiono o badaniach lojalności, cytowano wypadki złamania kariery młodych, świetnie się zapowiadających uczonych, wspomniano sędziwych profesorów relegowanych z pracowni uniwersyteckich za jedno nieogłędne słowo, przypominano znane nazwiska ludzi, którzy złośliwym oskarżeniami, często anonimowym, zawdzięczali ruinę ekonomiczną i moralną. Każdy z obecnych miał do opowiedzenia autentyczną przygodę bliskiego znajomego czy kolegi. Jeden Coleman milczał przez cały czas, aż wychyliwszy jednym haustem pucharek podany mu przez usłużnego kelnera, wstał i przeciąwszy gestem wywód sąsiada zawołał:

- Dzentelmeni! Odtąd podobne tragiczne omyłki i przykre nieporozumienia należą do bezpowrotnej przeszłości! Oto nadeszła jutrzienka nowej ery, ery zmechanizowanej Temidy, i rychły już jest czas, w którym będzie można zlikwidować całe sądownictwo oraz Federalne Biuro Śledcze jako całkiem zbędne! Nowy wymiar sprawiedliwości stanie się własnością całego społeczeństwa amerykańskiego! Lojalny obywatel, na którego niesłusznie padła czarna plama podejrzania, wyjdzie z próby Esidu jaśniejący aureolą niewinności, albowiem, jak mówi Pismo: lauabis me, et super nwem dealba... bababor...

Tu język poplątał się nieco uczonemu, więc zakończywszy okrągłym gestem usiadł nagle i ugasił pragnienie łykiem wina. Z tego, co działo się później, profesor nie zdawał sobie dokładnie sprawy. Wraz z innymi wznosił toasty, wołał coś, całował się z dubeltówki z rozmaitymi ludźmi, potem ogarnął go ostry chłód jesiennej nocy i słyszał warkot motoru

samochodowego, ktoś ciągnął go energicznie za kołnierz i popychał, mówiono coś do niego, ale co? - tego Coleman nie mógł absolutnie zrozumieć. Na koniec znalazł się w jakimś półmrocznym pomieszczeniu. Znużony, czując silny zawrót głowy, padł na twarde posłanie, stracił resztkę przytomności i zapadł w kamienny sen.

Zbudziło go mocne targnięcie. Otworzył oczy.-Leżał na pryczy w niewielkim pokoiku bez okien. Zamiast drzwi ujrzał sięgającą od podłogi do stropu żelazną kratę. Nad nim stał tęgi mężczyzna w mundurze i czapce.

- Zbudziłeś się, co? - powiedział nie przestając żuć, - No to jazda!

- Co to... gdzie ja jestem?... - wychrypiął Coleman. Głowa bolała go straszliwie, język ledwo się obracał w ustach, spieczony i suchy.

- Chodź, chodź, to się dowiesz! - warknął mężczyzna w mundurze i tak umiejętnie pociągnął profesora za ramię, że ten stanął od razu na równe nogi. Przez długi, ciemnawy korytarz zaprowadzono go do małej poczekalni z drewnianymi ławkami pod ścianą. Po chwili drzwi się otwały. Coleman zamrugał, oślepiiony. Znalazł się w dużym, słonecznym pokoju, przed biurkiem, za którym siedział wysoki człowiek w okularach.

- Nazwisko? - spytał Colemana podnosząc głowę znad papierów.

- Coleman, profesor Coleman... - zaczął uczony. - Panie... panie, co to ma znaczyć? skąd się tu wzięłem? Ja...

- Tutaj ja pytam - odezwał się sucho mężczyzna zza biurka. - Należy pan do partii komunistycznej?

- Co? Ja?! - krzyknął przeraźliwie Coleman. - To jakieś nieporozumienie... Proszę pana... ja pracuję... jestem kierownikiem laboratorium psycho...

- Nikt pana nie pyta, gdzie pan pracuje - przerwał mu tamten ostro. - Nie chce się pan przyznać? Bardzo dobrze. Milczeć! - dodał takim tonem, że Coleman złapał tylko dech w półotwartymi ustami. Człowiek za biurkiem nacisnął guzik. Wszedł strażnik, który eskortował przedtem profesora.

- Na przesłuchanie! - warknął do niego mężczyzna w okularach. Po niedługiej chwili Coleman, błądzący jak upiór, został wepchnięty do małej kabiny.

- Esid - wyjąkał z najwyższym zdumieniem. Drzwi zatrzęsły się i gdy popchnięty dźwignią automatu opadł na wysłane korkiem krzesło, tuż przed jego twarzą zapłonął w mroku napis:

Będziesz otrzymywał pytania. Masz odpowiadać na nie wedle najlepszej woli i wiedzy. Jeżeli będziesz kłamał, zostaniesz ukarany. Jeżeli będziesz mówił prawdą, zostaniesz nagrodzony.

Głośnik trzasnął, zrobiło się nieco jaśniej i zaczęły padać pytania.

Coleman odpowiadał usiłując daremnie pokonać chrypkę (minus jeden punkt).

- Czy czytasz gazety?

- Tak.

- Czy lubisz tańczyć?

- Tak.

- Czy masz w domu fotografie gwiazd filmowych?

- Tak.

- Czy masz fotografie ludzi brodatych?

- Nie.

- O czym rozmawiasz z młodymi dziewczętami?

- O wesołych filmach.

- Czy lubisz muzykę poważną?

- Nie.

- Czy lubisz muzykę jazzową?

- Tak.

- Czy dużo myślisz?

- Nie.

- Czy miewasz sny, w których występuje większa ilość zdenerwowanych ludzi?

- Nie. W ogóle nic mi się nie śni!

- Co lubisz najwięcej?

- Robić interesy.

Dotąd wszystko szło doskonale. Profesor uspokoił się i znajdował nawet w tym błyskawicznym pojedynku pewną przyjemność. Nikły, sarkastyczny uśmiech nieznacznie wykrzywił mu kącki ust, ani myślał oczywiście odpowiadać zgodnie z prawdą, pamiętał doskonale, jakie odpowiedzi punktują się najwyżej i takie właśnie rzucał z chłodną precyzją, ale nie nazbyt szybko, albowiem i czas reakcji miał pewne znaczenie przy ostatecznym podsumowaniu wyników. Naraz wartki tok ataków i ripost zamąciło pytanie:

- Gdzie byłeś 27 października 1953 roku o godzinie 23.35?

Coleman myślał z najwyższym napięciem, lecz w żaden sposób nie mógł sobie tego przypomnieć.

- Ja... ja zajrzę do kalendarzyka... - wybełkotał usiłując sięgnąć do kieszeni surduta. Ogumowany, stalowy trzymak przeszkodził mu w tym łagodnie, lecz nieubłaganie.

- Mów, gdzie byłeś 27 października 1953 roku o godzinie 23.35? - powtórzyła maszyna niskim głosem, w którym zabrzmiała jakby metaliczna nuta.

- Byłem... ja... ja nie pamiętam... kiedy to było?. - krzyknął Coleman.

- To było wczoraj. Czy jesteś roztargniony?

- Nie!

- Co robiłeś 27 października 1953 roku o godzinie 23.35?

- Miałem wykład... miałem wykład na konferencji elektroników...

- Nie o to chodzi, nie wykręcaj się! - rzekła maszyna basowo, a Coleman pokrył się gęsią skórą. - O godzinie 23.35 było już dawno po wykładzie. Rozmawiałeś wtedy w palarni z pięcioma ludźmi. Kim byli ci ludzie?

- E... koledzy... inżynierowie... uczeni.

- Nie wykręcaj się. Kim byli pod względem politycznym? Czy to byli czerwoni? -

- Nie.

- Skąd wiesz, że nie? Coleman milczał.

- Nie wiesz, a mówisz, że nie? A więc kłamiesz. To jest ostrzeżenie. Następnym razem zostaniesz ukarany. O czym mówiłeś z tymi ludźmi?

- O tobie!

- Nie wykręcaj się. Co to znaczy „o tobie”? O jakim „tobie”? Mów, inaczej zostaniesz ukarany.

- Boże miłosierny! - jęknął Coleman (minus sześć punktów - przemknęło mu przez głowę. Wzywanie pomocy niebios wskazuje na strach, wynikający z nieczystego sumienia). - Mówiłem z nimi o Esidzie, to znaczy o tobie... o maszynie do przesłuchiwania, do badania lojalności...

- Jakim prawem mówiłeś o rzeczach będących tajemnicą państwową?

- Bo przecież... przecież ja jestem twoim konstruktorem... to ja ciebie stworzyłem! - krzyknął z rozpaczą Coleman pojmując jednocześnie, że maszyna nie zrozumie tych słów.

- Wymawiasz zdania bez sensu. Nie wykręcaj się. O czym mówiłeś z pięcioma ludźmi o godzinie 23.35?

- Przecież mówiłem już, że o tobie!

- O czym jeszcze?

- O niczym więcej. Au!!! - wrzasnął Coleman usiłując zerwać się, gdyż od dużego palca stopy po biodra przeszyla go ostra igła wstrząsu elektrycznego. Miękkie ramiona trzymaków przycisnęły go jednak energicznie do krzesła.

- Widzisz, jak źle jest kłamać? - rzekła maszyna ojcowskim basem. - Mów prawdę, inaczej zostaniesz ukarany. O czym mówiłeś z pięcioma ludźmi 23 października 1953 o godzinie 23.35?

- Nie... nie pamiętam... - wybełkotał Coleman.

- Dlaczego nie pamiętasz? Czy jesteś chory umysłowo?

- Nie! Nie! To dlatego, bo... to była towarzyska rozmowa, tak rozmawialiśmy... bez związku... mówiło się o różnych rzeczach... piliśmy wino...

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że byłeś pijany i dlatego nic nie pamiętasz?

Wybieg „opilstwo” to minus siedem punktów! - błyskawicznie pomyślał Coleman i zawołał rozpaczliwie:

- Nie byłem pijany!!!

- Więc dlaczego nie pamiętasz?

- Głowa mnie boli teraz... ogarnęła mnie jakaś dystrakcja...

- Dystrakcja, to znaczy roztargnienie, czy tak?

- No tak, ale ja... Au!!

- Nie kłam - rzekła maszyna - widzisz, jak źle jest kłamać? Przed chwilą powiedziałeś, że wcale nie jesteś roztargniony. Mówiłeś tym ludziom, że trzeba zlikwidować Federalne Biuro Śledcze. Czy przyznajesz się do tego?

- Ja... mówiłem tak, ale nie w sensie wywrotowym... wprost przeciwnie...

- Co to znaczy „wprost przeciwnie”?

- Mówiłem, że kiedy powszechnie wprowadzi się maszyny do badania lojalności, nie będzie już trzeba ludzi do badania, więc Federalne Biuro Śledcze nie tego... nie całkiem. nie będzie już tak bardzo niezbędne...

- A więc mówiłeś, że FBI nie będzie w przyszłości tak „bardzo niezbędne”? Dlaczego nie będzie niezbędne? Czy dlatego może, że się zmieni w Ameryce ustrój?

- Nie! Nie! Ustrój się nie zmieni!

- Ach, nie zmieni się... - łagodnie powtórzyła maszyna i nagle:

- Czy lubisz ptaki?

- Nie! - krzyknął Coleman.

- Czy lubisz niebieskie kwiaty?

- Nie!

- Czy lubisz gołębie?



- Nie!! Nie znoszę gołębi!!! - wrzeszczał uczony. Pocił się coraz gwałtowniej, zwiększając wilgotność skóry. Parujący pot dostawał się do czułych higrometrów, były za to przewidziane liczne punkty ujemne.

- Czy mówiłeś, że trzeba zlikwidować FBI?

- Mówiłem w dobrym sensie! Mówiłem to lojalnie!

- Nie wykręcaj się. Odpowiadaj ściśle na pytanie: mówiłeś, że trzeba zlikwidować FBI, tak czy nie?

- Ja nie chciałem... Au!!!

- Przestań kłamać. A co miałeś na myśli mówiąc: „nowy wymiar sprawiedliwości stanie się własnością amerykańskiego społeczeństwa?”

- To tylko ten bydlak kelner!!! - ryknął Coleman trzęsąc się z wściekłości i strachu. Specjalne urządzenie o pod fotelem precyzyjnie rejestrowało ten dreszcz febryczny, dorzucając zań liczne nowe punkty ujemne.

- Dlaczego rzucasz obelgi na lojalnego obywatela? Troszcz się lepiej o siebie odpowiadając na pytania zgodnie z prawdą. Jaki to ma być ten „nowy wymiar sprawiedliwości?”

- Miałem na myśli automatyczny... - zaczął Coleman, ale uświadomiwszy sobie, że maszyna tego nie zrozumie, albowiem wśród wzorcowych pojęć nie było nic zgoła o automatycznej Temidzie, pospiesznie się poprawił:

- Miałem na myśli powszechną, amerykańską, demokratyczną sprawiedliwość...

- A dlaczego przeciwstawiałeś czas przyszły teraźniejszemu? Czy teraz nie mamy powszechnej, amerykańskiej, demokratycznej sprawiedliwości?

- Mamy! mamy!!!

- A co ma być w przyszłości?

- Nie wiem! Będzie to, co jest! Nie, będzie to, co za słuszne uzna nasz drogi rząd i czcigodne trusty oraz monopole!

- A dlaczego, mówiąc to, pocisz się i trzęsiesz?

- Bo tu bardzo gorąco... - wybełkotał Coleman. W tym momencie szczęknęła aparatura klimatyczna i z sufitu runął na niego strumień zimnego jak lód powietrza o woni fiołków leśnych. Uczony zaczął dzwonić zębami.

- Ratunku!!! - chciał zawołać, wijąc się daremnie w stalowym uścisku trzymaków, lecz ostatkiem sił zapanował nad sobą. W tym momencie przypomniał sobie o układzie kontaktowym 67 Alfa. Gdyby spróbował ostrożnie pochylić się i sięgnąć pod tablicę czołową

maszyny, może udałoby mu się wyciągnąć go z gniazdek i wsadzić odwrotnie... Wówczas maszyna przeliczy wszystkie punkty ujemne na dodatnie...

Dygocąc ze strachu i podniecenia, jak wąż wysunął się, ile się dało, z przytrzymującej go obręczy. Palce natrafiły na zimną metalową zasuwkę. Nagle rozległ się głośny szcęk, drzwi się otwarły i dwaj umundurowani agenci wpadli do kabiny.

Prowadzili go do celi w głuchym milczeniu. Gdy przekazywali go strażnikowi, wyższy nie przestając żuć odezwał się:

- Mathews, uważaj dobrze na tego typu, to nie jest zwykły wywrotowiec, maszynę próbował zepsuć. Masz pojęcie, brachu?

- Wiadomo - odparł flegmatycznie Mathews - uczonego to najgorsza drania...

- Mało że uczonego! Ja ci mówię, to musi być szpieg albo i lepiej.

- Może go jeszcze raz zrewidować?

- Dobra, później. Wystukało mu coś czterysta minusów, wyobrażacie sobie, chłopaki? I takie typy wykładają na tych, jak je tam... uniwersytetach.

- Najwyższy czas z nimi skończyć - przytwierdził strażnik i mlasnął, wskutek czego guma odkleiła mu się od podniebienia. Żując cierpliwie popatrzał badawczo na uczonego i ujął go żelaznym chwytem za ramię.

- Te, bolszewik... co się trzęsiesz? Już po wyroku. Ile dostał? - zwrócił się do tamtych.

- Darmocha, osiem lat.

- Wio, stara małpo! - wrzasnął strażnik. Zadzwoił kluczami, nogą odepchnął kratę i dał profesorowi w kark. Coleman z głuchym jękiem runął na kamienną podłogę.

## KLIENT PANA BOGA

Opowiadają, że w Connecticut żył sobie pewien bardzo bogaty gangster, który miał własny pałac na Florydzie i wory złota w podziemiach licznych banków. Na każde jego skinienie czekał zastęp zbrojnych. Z pomocą tych wiernych sług złożył do grobu wszystkich, co przeszkadzali mu w interesach, i nie było dla niego rzeczy niedostępnej. Gdy jednak stuknął mu ósmy krzyżyk, poczuł wielki lęk. Dawniej nie zaprzętał sobie głowy myślami o śmierci, teraz jednak serce ścisnął mu coraz większy niepokój. Leżąc na puchowym tapczanie i otaczając się kłębamii wonnego dymu cygar, oddawał się w samotności medytacjom. Nie wiadomo - rozważał - czy nie ma jednak jakiejś mocy nadprzyrodzonej, przed której oblicze zostanie doprowadzony po zgonie. Kiepsko wtedy będzie ze mną!

Na koniec przestały mu smakować najwykwintniejsze potrawy, patrzeć już nie mógł na gumę do żucia, a pląsy najpiękniejszych girlsów wprawiały go w melancholię. Dręczyła go wciąż wizja sądu ostatecznego, aż pewnej nocy bezsennej przyszło mu do głowy, że najpewniejsze ze wszystkich są transakcje gotówkowe. Umierając - myślał - i tak zostawię tu cały majątek i nic z niego nie będę miał. Czy nie byłoby więc roztropnie zapisać go kościołowi, który potęgą swych modłów wybląga dla mnie wiekuiste przebaczenie?

Do rana przewracał się na posłaniu, a ledwo pierwszy świt zaróżowił niebo, zatelefonował do swego przybocznego maklera. Wyłuszczywszy mu swe troski, spytał:

- Nie wiem, co robić, bo nie znam się na religii; niech mi pan powie, mister Gynns, który kościół jest w najlepszych stosunkach z niebem?

- Nie wiem - odparł makler - ale to prosta rzecz. Niech się pan zwróci do Panaboga.

- Co - zakipiał gniewem stary gangster - ja do pana z interesem, a pan kpi sobie ze mnie?

- Wcale nie kpię. Mam na myśli Panaboga, to jest Panamerykańskie Biuro Obsługi Grzeszników-Ateistów, towarzystwo z ograniczonymi udziałami, Northcumberland 122.

- Tak, to co innego - odrzekł gangster, położył słuchawkę na widełki i pojechał pod wskazany adres.

Ledwo wymienił swe nazwisko, urzędnik w błękitnej Szacie obsypanej gwiazdami zaprowadził go przed oblicze naczelnego dyrektora. Dyrektor urzędował w gabinecie Ogromnym jak nawa; zza jego biurka ciągnął wonny wiew, pompowany przez aparaturę klimatyczną, a tłem rozmowy był dyskretny chorał organowy. Usadziwszy czcigodnego klienta w fotelu nieporównanej miękkości, dyrektor wysłuchał go uważnie i rzekł:

- Fan sobie życzy zbawienia; bardzo dobrze. Oczywiście, pragnie pan czegoś z chrześcijaństwa?

- Bo ja wiem - rzekł stary gangster - chyba tak, a czy macie też coś innego?

- Naturalnie. Dysponujemy absolutnie wszystkim; znajdujemy się w stałym kontakcie z jednym byłym dalajlamą, trzeba braminami, sześcioma kapłanami Zoroastra i duchowym wodzem Czcieli Ognia. Mamy też na składzie nowość - czarownika z centralnego Konga, ale przejście na jego religię wymaga wbicia w nos miedzianego pierścionka i polakierowania zębów na zielono, co niestety zniechęca wielu klientów...

- Nie mam zębów - odparł gangster - a poza tym, to przecież Murzyn?

- Naturalnie nigdy bym się nie ośmielił proponować panu czarnej religii; rzecz prosta, panu trzeba czegoś „tylko dla białych”. Wspomniałem o tym czarowniku, gdyż niektórzy goście decydują się na niego z uwagi na pogłoski o bankructwie wyznań cywilizowanych, ale to wierutne bajdy rozpuszczane przez konkurencję. Tak więc pozwolę sobie wymienić jeszcze mahometanizm i judaizm, ale i one wymagają pewnego zabiegu...

- Odpada - rzekł gangster.

- Doskonale, zatrzymujemy się więc na chrześcijaństwie. Kościół katolicki to stara, powszechnie znana firma. U nas do niedawna nie cieszył się dobrą opinią, ostatnio jednak, dzięki rozsądkowi papieża, jest bardzo dobrze widziany w Pentagonie. Osoby przechodzące dziś na katolicyzm mogą liczyć na daleko idące względy i poparcie, zwłaszcza na kontynencie europejskim... Nic prostszego, niż wyrobić sobie później przez Watykan wysoką godność w Dowództwie Bloku Atlantyckiego...

- Panie - rzekł niecierpliwie gangster - potrzebuję protekcji w niebie, a nie w sztabie.

- Doskonale. Wobec tego może zechce pan łaskawie zwrócić głowę nieco w prawo, tak, dziękuję.

Dyrektor nacisnął guzik i rozsunała się fałdzista draperia ukazując olbrzymią, całą ścianę zajmującą mapę. W górze polatywał brodaty Bóg Ojciec w otoczeniu Potęg, Tronów i

Serafinów, niżej zaś w zwartym ordynku, niczym bataliony gotowe do natarcia, stały barwne czworoboki z rozmaitymi napisami.

- Oto mapa panoramiczna wyznań najbardziej u nas popularnych - rzekł dyrektor i biorąc do ręki złożoną trzcinę, wskazywał poszczególne czworoboki, mówiąc jednocześnie:

- Mamy placówki we wszystkich poważnych kościołach. Cóż wchodzi w grę w pańskim przypadku? Oto kościół metodystów, tutaj anglikański, tam mamy episkopalny, dalej kalwinów, ten jest prezbiterianów; może być także zreformowany; dalej baptystów, uczniów, kongregacjonalistów, morawianów, adwentystów, protobaptystów...

- Czekałże pan, ja przecież nie znam się na tym wcale - rzekł skłopotany gangster - cóż mam z tym począć?

- Ależ oczywiście - odparł dyrektor z dyskretnym uśmiechem - chciałem tylko podkreślić, że jesteś pan u Panaboga i obsłużymy szanowną pańską duszę z całym przepychem. Chodzi panu o odpuszczenie grzechów, o miejsce w raju, nieprawdaż? Otóż najpierw będzie się pan musiał nawrócić, ale przecież nie zamierza pan natychmiast po tym akcie kłaść się do grobu, nieprawdaż?... Zwyczajnie wymagają, żebyś pan przez czas pewien regularnie uczęszczał do wybranego kościoła. Pozwoli pan więc, że pod tym kątem zastanowimy się wspólnie... Najpierw mamy metodystów; kościoły ich dysponują centralnym ogrzewaniem, ciepłą i zimną klimatyzacją powietrza, bukietem woni kadzidlanych, zmieniających się w zależności od tematu kazania, doskonałymi pod względem wokalnym chórami... czy szanowny pan śpiewa?

- Nie.

- Hm, więc może raczej kongregacjoniści? Podobny komfort kościołów, a ponadto jeszcze w nawach bocznych umieszczone sale bilardowe i luksusowe ringi taneczne na obrotowych płytach szklanych, elektryczne organy...

- Nie mani zamiaru tańczyć.

- Oczywiście. Kongregacjoniści odpadają. Prezbiterianie... hm... oni stosują najnowsze metody naukowe kontaktu z Wiekuistym... nawracają za pomocą psychoanalizy... Co prawda, przeciętnie nawrócenie wymaga 25 seansów, to nieco długo, ale jednocześnie można poddawać się masażowi twarzy, manicure, pedicure oraz maquillage'owi...

- Nie mam zamiaru zostać piękną - rzekł zniecierpliwiony gangster - czy ma pan coś dla mnie, czy nie?!

- Ależ naturalnie... momencik - rzekł dyrektor kłaniając się. - Więc może Świadkowie Jehowy? U nich jest bardzo miły, intymny nastrój... duża swoboda... a jaka prostota liturgii; cały obrządek sprowadza się do zbiorowego przeklinania innych wyznań, w szczególności

papieskiego. No, ale oni skompromitowali się ostatnio politycznie. Paru ich dostojników aresztowano w Polsce za szpiegostwo, może więc raczej nie. Pozostawaliby więc protobaptyści... tak, myślę, że to jest coś dla pana.

Dyrektor nacisnął inny guzik. Na ścianie ukazał się olbrzymi obraz przedstawiający wrota raju z podesłanymi chmurami. U wejścia stał święty Piotr i z dobrotliwym uśmiechem badał dusze, tłumnie cisnące się do środka. Jedne dusze trzymały w ręku karnecik ze złotą gwiazdką protobaptystów - i te wpuszczał bez trudności, inne natomiast, nie posiadające karnetów, kierował w bok; buchał stamtąd czerwony blask, a przez dziurę w obłokach widać było otchłań piekła.

- Protobaptyści - zaczął dyrektor - dysponują kościołami o najwyższym stopniu motoryzacji.

- Jak to wygląda?

- Zajeżdża pan na nabożeństwo samochodem i parkuje na przepięknym placu, który jest zarazem nawą, gdyż kościół znajduje się na wolnym powietrzu. W samochodzie ma pan mikrofonik i głośnik do wysłuchiwania kazań; jeśli kazanie jest nudne, można je wyłączyć; modlitwy zaś pańskie zostają przekazane przez centralkę umieszczoną w ołtarzu prosto na dwustumetrową antenę. Tak tedy cały czas przebywa pan wygodnie we własnym samochodzie, a szanowne modły są transmitowane bezpośrednio do nieba. Regularnie raz na miesiąc są widzenia świętych, a raz na trzy miesiące - cud średniego formatu... Szereg naszych wybitnych aktorek należy do tego kościoła i nic prostszego, jak prześliznąć się w czasie mszy z auta do auta...

- Przy moich 83 latach musiałby najpierw nastąpić cud - raczej dużego formatu - rzekł oschle gangster. - Nie interesują mnie miłostki.

- Oczywiście, wszystko to marność, wyjął mi pan z ust te słowa. A więc streszczam się: skomunikujemy pana z protobaptystami - w terminie, jaki pan sam zechce wyznaczyć.

- Chciałbym jak najszybciej.

- Doskonale, czy ósma godzina jutro odpowiada panu?

- Może być.

- Wybornie. W razie gdyby to wyznanie nie odpowiadało panu, proszę łaskawie zwrócić się do nas ponownie;

reklamacje przyjmujemy bezpłatnie w terminie trzymiesięcznym.

- Co się należy?

- Nic, kościoły rozrachowują się z nami obrotami bezgotówkowymi. Kłaniam się i polecam się na przyszłość.

Na głównej siedzibie protobaptystów jaśniały płomieniste, srebrną aureolą owiane litery napisów:

Najjaśniejsza światłość wiekuista tylko u nas.

Gwarantowana łaska - bezpośrednie potoczenie z niebem.

Wielkich grzeszników obsługujemy w pierwszej kolejności.

Gangster był już zaanonsowany i natychmiast przyjął go sam biskup. Był to mężczyzna siwy, bardzo przystojny, odziany w długą fałdzistą sutannę z liliowym fularem zakrywającym do połowy śnieżnobiały kołnierzyk. Jego ascetyczne dłonie o długich; mlecznie podbarwionych paznokciach jak trzepocące gołębice co chwila unosiły się i podkreślały wypowiedane słowa.

- Mister biskup - rzekł gangster - pan wie już, o co mi idzie?

- Tak, wiem - odparł z łagodnym uśmiechem biskup - zechce pan spocząć. Pragnąłbym jednak z własnych pana ust usłyszeć, co pana skierowało w progi nasze...

- A więc dobrze - rzekł gangster. - Narobiłem w życiu dużo złego, grzeszyłem jednym ciągiem i doszedłem do milionowej fortuny, a teraz gryzie mnie to okropnie; boję się śmierci, bo a nuż jest coś jednak za grobem?...

- Oczywiście, że jest - rzekł z łagodnym naciskiem biskup - ale proszę, mów pan dalej.

- Niewiele mam do powiedzenia. Chętnie ofiaruję cały mój majątek pańskiej firmie... to jest kościołowi, jeżeli zagwarantujecie mi uzyskanie generalnego odpustu grzechów... tak się to mówi, prawda?

- Pojmuję - rzekł biskup - bardzo dobrze. Jeśli pan pozwoli, spisemy odpowiedni akt; notariusz nasz zawrze z panem umowę, a potem przyjdzie czas na sprawy ducha.

Biskup wyszedł. Po chwili zjawił się w pokoju starszy dżentelmen z dwoma czarno jak on odzianymi pomocnikami. Przedstawili gangsterowi spisana już umowę i poprosili go o złożenie pod nią własnoręcznego podpisu. Starzec długo obracał w palcach złote pióro, najwyraźniej gryziony jakąś wątpliwością.

- Nie - rzekł w końcu, odkładając pióro - nie podpiszę, dopóki nie zostaną w stu procentach przekonany, że protobaptyści wyrobiją mi światłość wiekuistą.

Notariusz próbował go przekonywać, a gdy to nie pomogło, porozumiał się wzrokiem z pomocnikami i przeprosiwszy gangstera oddalił się, znikając za drzwiami, przez które wyszedł przedtem biskup. Niebawem jednak wrócił i oświadczył, iż w drodze wyjątku kościół zgadza się na postawiony warunek.

Następnie czterech czarno odzianych kleryków wprowadziło starca do pustego, mrocznego pokoju. Tu pozostawili go samego prosząc, by zechciał poczekać chwilę na biskupa.

W pomieszczeniu o ścianach obitych czarnym jedwabiem panował, jak się rzekło, głęboki mrok; tylko dwie świece płonęły w głębi nad małym ołtarzykiem, w powietrzu unosiła się gorzka woń, jakby ziół cmentarnych, a z dala dobiegały dźwięki organów, pełne smutku i melancholii. Wpatrując się w drżące ogniki świec, wdychając woń cedrowego drzewa i gromnic, kołysany żałobnymi dźwiękami, gangster nabawił się w końcu bicia serca, zażył więc krople uspokajające i spoczął na twardym, niewygodnym krzeselku, które było w rzeczy samej klęcznikiem. Po kilkunastu minutach nadszedł biskup.

- Mister biskup - rzekł na jego widok gangster - rozmyślałem nad moim życiem i doszedłem do niezbitego przekonania, że diabli, jeśli tylko istnieją, muszą mnie wziąć z wszelką pewnością. Nie widzę dla siebie ratunku, więc dajmy pokój temu wszystkiemu, bo to nie jest dobry business.

- Można się poddawać trwodze, ale nie należy wątpić - rzekł biskup - albowiem łaska boska jest bez granic. Nie mów jednak do mnie, synu mój, „mister biskup”, to nie przystoi.

- A jak mam mówić? - spytał gangster.

- Mów do mnie „ojcze duchowny”, tak będzie właściwiej.

- Dobrze, więc co mam robić, ojcze duchowny?

- Synu - rzekł biskup - wedle naszego zakonu pierwszej nim przyjmimy cię do kościoła, musisz czas pewien spędzić na pokucie i modłach...

- Chętnie - rzekł gangster - żeby mi to tylko pomogło; niestety, sprawa nie jest taka prosta, bo w żaden sposób nie potrafię uwierzyć w skuteczność rozgrzeszenia. A nawet, żebyś mi ojciec nie wiedzieć co mówił - dorzucił zapalczywie - strach dalej będzie mnie kąsał, bo mi się w żaden sposób w głowie nie mieści, żeby mogły być wybaczone te wszystkie okropne rzeczy, jakie robiłem przez lat sześćdziesiąt...

- Synu mój - rzekł łagodnie biskup - błędzisz. Najpierw, w niebie większa jest radość z nawrócenia jednego grzesznika niżeli z prawości stu wiernych, a po wtóre, bardzo być może, że wiele czynów, które poczytujesz za grzechy, w istocie swej nie jest nimi wcale. Radzę ci tedy, posłuchaj mnie i wyśpwiadaaj mi się niezwłocznie.

Przy tych słowach biskup dyskretnie nacisnął guzik. Pokój cały wypełniły kłęby kadzidła, a jednocześnie muzyka organów stała się wstrząsająca i wzniosła. Gangster skruszony padł na kolana i zawołał:

- Ojcze! czy mogę otworzyć przed tobą zgniłe wnętrze serca mego?



- Mów, synu - rzekł ze skupieniem biskup.

- Od najwcześniejszej młodości oszukiwałem bliźnich. Już jako dwudziestoletni młodzieniec założyłem towarzystwo akcyjne do wydobywania złota z piaszczystych gruntów pod Milwaukee; akcje, które sprzedawałem, nie warte były papieru, na którym je drukowano. W ten sposób zdobyłem 260000 dolarów.

- Czekaj, synu - przemówił biskup - powiadasz, żeś oszukiwał nabywców; w jakim to sposób?

- No, ogłaszałem, że w piasku jest złoto, podczas gdy...

- Chwileczkę, mój synu. To, co robiłeś, to była po prostu przesada właściwa każdej reklamie, bo wiadomo nam przecież dzięki nauce geologii, że złoto znajduje się wszędzie, nawet w wodzie morskiej, choć w ilości nader znikomej. Na akcjach nie było przecież wydrukowane, jak wiele złota znajduje się w piasku?

- Nie...

- A widzisz. Nie popełniłeś więc żadnego oszustwa, synu mój, a jedynie wykazałeś pewną nadmierną rzutkość w prowadzeniu interesów, młodzieńczą pochopność i lekkomyślność, ale lekkomyślność to jeszcze nie grzech. Mów dalej, słucham cię.

- Dalej, ojczy, liznąwszy, że takie zarobkowanie jest zbyt spokojne jak na mój gust, wstąpiłem na drogę zbrodni. Najpierw przez lat dziesięć uprawiałem „racket”...

- Jak to wyglądało, synu?

- Terroryzowałem drobnych kupców, przedsiębiorców, sklepikarzy, właścicieli składów, kramów, garaży. Musieli płacić mi haracz, bo w przeciwnym razie rozbijałem ich sklepy, podpalałem domy, a ich samych biłem do nieprzytomności.

- Czy działałeś samodzielnie?

- Nie, ojczy, od tych kupców dostawałem ledwo grosze. Wielkie sumy przekazywał mi pewien koncern, który dążył do zmonopolizowania rynku. Miałem z nim umowę i nie tykałem sklepów sprzedających jego towar; grabiłem i nękałem tylko sklepy konkurencyjne.

- Widzisz więc sam, synu miły, że byłeś tylko pionkiem w wielkiej rozgrywce ekonomicznej, a powiada Pismo: „Rękę karaj, nie ślepy miecz”. Ty byłeś jeno ślepym mieczem, a ponadto obowiązywała cię i krępowała umowa, nie byłeś więc wolny w wyborze postępowania. To nie był grzech, mów dalej.

- Ojczy, w „suchych” czasach byłem „bottleggerem”.

- Przemyciałeś wódkę? I cóż w tym złego, mój synu? Rząd, zabraniając ustawą sprzedaży trunków, czynił źle, gdyż nie należy zbawiać ludzi stosowaniem przymusu, owszem, dusze wystawiane na pokusy oczyszczają się w - wewnętrznych zmaganiach.

Natomiast środki administracyjne, jak ustawa o prohibicji, są z gruntu fałszywe, a ty poprawiałeś ten zły stan rzeczy. Nie było w tym nic grzesznego.

- Tak, ojcze, ale ja oszukiwałem nabywców sprzedając im zamiast wódki rozmaite świństwa.

- Ach tak? Postępowałeś bardzo dobrze, gdyż w taki sposób uniemożliwiałeś ludziom wstępować na grzeszną drogę opilstwa. To był dobry uczynek. Mów dalej.

- Dalej? Ach, ojcze, ja zamordowałem wtedy wielu ludzi.

- Jak się to stało?

- W czasie przemytu atakowała nas nieraz policja, strzelałem do niej...

- A czy strzelałbyś, gdyby cię policja nie atakowała?

- Nie...

- A widzisz! Działałeś w obronie własnej. Człowiekowi w śmiertelnym niebezpieczeństwie wolno bronić życia. Byłeś w pełnym prawie strzelając do policjantów. To nie był grzech, synu mój. Mów dalej.

- Dalej rozbudowałem mój „gang” i zająłem się masowym szantażem.

- Jak to wyglądało, synu?

- Ojcze, przez pośredników byłem związany z biurami detektywistycznymi. Od klientów tych biur wyludzaliśmy różne dokumenty lub wykradaliśmy je, a mając je w ręku i grożąc ich opublikowaniem, szantażowałem ludzi i ciągnąłem z tego procederu wielkie zyski...

- Jakie to były dokumenty?

- Przeważnie listy miłosne, ojcze.

- Więc groziłeś opublikowaniem dowodów zdrady małżeńskiej?

- Tak.

- To bardzo dobrze, synu; zdrada małżeńska jest wielkim grzechem.

- Tak, ojcze, ale wielu szantażowanych popełniło samobójstwo.

- W taki sposób popełnili grzech podwójny, albowiem z niskiego strachu, aby nie objawiła się prawda o ich wyuzdaniu cielesnym, skazali dusze swoje na wieczne potępienie.

- Tak, ojcze, ale kiedy płacili, milczałem.

- Milczałeś? To był dowód miłosierdzia chrześcijańskiego, synu, a nie grzech. Mów dalej.

- Ojcze, zgrzeszyłem ciężko w czasie ostatniej wojny.

Sporo chłopaków z mojego gangu znalazło się w armii na terenach europejskich. Dowiedziałem się od nich, że liczni hitlerowcy, dowódcy wojsk SS i komendanci obozów

śmierci starają się uciec do Ameryki Południowej, więc zorganizowałem masowy przemyt tych zbrodniarzy, biorąc od nich za to wielkie ilości złota, które wydarli milionom niewinnie pomordowanych ofiar. Bardzo mnie to gnębi, ojcze, gdyż była to zarówno zdrada ojczyzny, jak i grzech przeciw ludzkości...

- Czy możesz wymienić mi nazwiska tych hitlerowców, synu?

- Tak, ojcze: Eisel, Winnecke, Mittendorfer, Miller, Schmick, Hubert...

- Synu mój, ty chyba nie czytasz gazet?

- Ach, nie w głowie to teraz, ojcze...

- Więc spójrz! - zawołał dostojnik kościoła, wyciągając spod sutanny we czworo złożony numer New York Times. - Oto artykuł o naradzie specjalistów dla utworzenia nowej armii niemieckiej w ramach Bloku Atlantyckiego. Ludzie, których nazwiska wymieniałeś, będą dowódcami tej armii, są to dziś nasi wierni sojusznicy i przyjaciele. Tak tedy, ratując ich w swoim czasie, nie tylko spełniłeś „dobry uczynek, pomagając prześladowanym, przejawiałeś nie tylko chrześcijańskie miłosierdzie, ale dałeś także godny uznania i podziwu dowód dalekowzroczności politycznej. Widzisz sam, że nie był to żaden grzech, wprost przeciwnie...

- Ojcze - jęknął gangster - nie wiem czemu, ale mimo twych zapewnień dalej ciężko mi bardzo na sercu. Życie ludzkie zawsze było dla mnie niczym; każdego, kto mi stanął na drodze, zdmuchiwałem jak pyłek z kapelusza i nie znajduję dostatecznej pociechy w słowach twoich...

- Powoli, synu mój. Powiadasz, że zabijałeś. Ale z jaką intencją? Czy po to, aby lubować się mękami zadawanymi ofiarom?

- Nie, ojcze, zabijałem, bo mi to przynosiło zyski.

- Zyski?

- Niestety, tak - rzekł skruszony starzec i bolesne westchnienie wyrwało mu się z piersi.

- Nie upadaj duchem, synu! - zawołał biskup. - Powiedz mi, z czego byś żył, gdybyś był porzucił ten proceder?

- Nie wiem, ojcze, nigdy w życiu nie robiłem nic innego.

- I umiesz tylko to jedno, czy tak?

- To okropne, ale tak jest.

- Zatem, gdybyś porzucił swój zawód, skazałbyś się na śmierć głodową? Tego jednak nikt od ciebie wymagać nie może. Każdy człowiek trzyma się wedle sił i umiejętności; twoim zawodem było gangsterstwo i pełniłeś go, jak mogłeś najlepiej, czy zatem...

- Ojcie, słyszę słowa twoje, ale wyznaję, nie przynoszą one ukojenia sumieniu memu!  
- zawołał gangster, który jako starzec inteligentny opanował już z grubsza składnię swego spowiednika. - Jakże mam znaleźć spokój? Podczas gdy wokół tysiące ludzi trudziły się w pocie czoła, zyskując dzięki pracowitości i bogobożności powszechny szacunek, godności społeczne, poważanie - ja każdą chwilę mego życia poświęcałem planowaniu morderstw!!

Na te słowa biskup wstał.

- A więc - rzekł ze spokojem - jeśli nie dość otuchy wlałem w twe serce, pójdź, dziecię, ja ci coś pokażę.

To mówiąc, nacisnął guzik. W ciemnej ścianie zajaśniał prostokątny ekran. Przez mgnienie widniała w nim wyniosła kopuła waszyngtońskiego Kapitolu, siedziby senatu, potem ukazało się jego wnętrze. Na szerokich ławach kręgami siedzieli dostojni mężowie, z uwagą słuchając jednego, który z wysokości mównicy wołał:

- Jak widzimy, porcja uranu kosztująca nas 20 000 domiarów wystarczy na 140000 osób, natomiast dla takiej samej ilości ludzi potrzeba aż 45 ton proszku radioaktywnego po 2000 dolarów tona. Tak więc w pierwszym przypadku koszt likwidacji jednego człowieka wynosi 13 centów, w drugim natomiast aż 64 centy' Pytam więc czcigodnych senatorów, czy możemy sobie pozwolić na wyrzucanie dolarów przez okno i użycie w wojnie proszku, kiedy bomba kalkuluje się z górą cztery razy taniej?!!

Na to zerwał się z miejsca jeden z najstarszych senatorów. Cała jego szacunek budząca postać promieniowała dogłębnym oburzeniem. Rozkrzyżowawszy karnodziejsko ręce starzec potrząsnął głową, aż siwe włosy rozsypały się w srebrne błyskawice, i krzyknął:

- Jak można tak rachować!? Czy nie wiemy, że bomba obraca wszystko w gruz, podczas gdy proszek radioaktywny usuwa wyłącznie ludzi, nie uszkadzając fabryk, kopalń, domów, kolei żelaznych i innych majątności nieruchomości i ruchomych, które dzięki temu dostaną się nam całe i nienaruszone?! Dostojni słuchacze! W pełni świadom wysokiej odpowiedzialności, jaką na barki składa mi wysoka godność senatora, powiadam wam: użycie proszku jest daleko, daleko korzystniejsze! Nie - chcę zarzucać szanownemu senatorowi z Ohio złą woli, aczkolwiek wiadomo, jak wielkie posiada on udziały Du Ponta, który produkuje bomby uranowe...

Biskup nacisnął guzik. Wnętrze Kapitolu znikło. W głębi ekranu pojawił się na tle błękitnego nieba drapacz chmur, otoczony grecką kolumnadą. Na drzwiach widniała skromna alabastrowa tabliczka z wyrytym napisem Departament Ochrony Zdrowia. Budynek powiększał się z oszałamiającą szybkością, pociemniało i rozwarło się wewnątrz zacisznego

gabinetu. Smukły mężczyzna o bujnych kasztanowych włosach i ascetycznej twarzy badacza mówił zwracając się do grona biało, jak on, odzianych lekarzy:

- Oto, proszę kolegów, nasz nowy, udoskonalony preparat...

Podniósł rękę, w której zaświeciła smukła probówka, z kilkoma kroplami żółtego, przezroczystego płynu. Wzrok obecnych spoczął na niej z radosnym podziwem.

- Nie ustawaliśmy w pracy - ciągnął młody uczonec - i udało się nam wyosobnić tę frakcję, której jedna uncja... jedna uncja... - Gardło zacisnął mu spazm triumfu. Pokonawszy wzruszenie, spojrzął na lekarzy podkrążonymi oczami, świadczącymi o nieprzespanych nocach, i podjął:

- Jedna uncja zabija 200 000 ludzi! Wkraczamy w nową erę...

Ekran zgasł. Gdy za jarzył się na nowo ukazał się na nim monumentalny kompleks gmachów uniwersyteckich. Jak gdyby widziane z okna pędzącego pojazdu, przepływały długie amfilady korytarzy, przestronne pracownie, których oknami zaglądała do wnętrza zieleń drzew, zaciszne gabinety myślicieli, zautomatyzowane biblioteki, dźwięczące szkłem, pełne gazowych płomieni laboratoria, jasne sale wykładowe... W obszernym pomieszczeniu geografowie i ekonomiści pochylali się nad mapami Europy i Azji, stawiając na miastach i osiedlach czarne krzyżyki. W innym matematycy, ślęcząc u szumiących prądem mózgow elektrycznych, tworzyli teorię skutecznego bombardowania. Mignęło jak gdyby w kryształach wyrzeźbione laboratorium; sędziwy uczonec, tając dech, pod lupą - wstrzykiwał pluskwom zarazki. W wysokim amfiteatrze pełnym słuchaczy znakomity psycholog wykladał ogólną teorię szerzenia paniki. Otworzyła się słoneczna przestrzeń; na doświadczalnych poletkach stały szklane pudła nakrywająca pędy roślin; agrobiologowie hodowali w nich rozliczne gatunki szkodliwego robactwa. Ekran wypełniał się obrazami śmigającymi coraz szybciej i szybciej; jakby wichrem niesione, przelatywały wnętrza hal fabrycznych, pełne korpusów czołgowych, transportery, płynnym ruchem niosące bomby i butle gazów trujących, jasno oświetlone kreślarnie, gdzie na rozpiętych arkuszach wynikały przekroje wyrzutni rakietowych, wreszcie ukazał się pokój od podłogi do sufitu wypełniony księgami; przy biurku, oblanym ciepłym światłem lampy stołowej, pochylając srebrną głowę nad rozłożonymi arkuszami siedział sędziwy socjolog i pisał trzeci tom dzieła „O anihilacji wielkich ośrodków miejskich”.

Zrobiło się ciemno; przez dłuższą chwilę panowało milczenie, nareszcie biskup, podnosząc z namaszczeniem dłoń, rzekł:

- Synu mój, przekonałem cię, nieprawdaż? Pojmujesz już, że życiem swym nie odbiegałeś wcale od życia twoich licznych ziomków, że...

- Ojcze! - zawołał gangster z klęcznika - powiedz mi, proszę, czy ci wszyscy ludzie wierzą, że zostaną zbawieni?

- Ależ oczywiście, drogi synu, są to znakomici senatorowie, uczeni, prawnicy, nikt z nich nie wątpi, że wrota raju odemkną się przed nimi na oścież.

- Ojcze! - zawołał gangster - zaiste, żyłem pogrążony w ciemności!

- A więc pójdź, synu.

- Dokąd, ojcze?

- Podpisać umowę, drogi synu. Gangster powstał, otrzepał kurz z kolan i rozglądając się za kapeluszem, rzekł:

- To zły business.

- Co słyszę?! - zawołał zdumiony biskup.

- Ależ tak. Zapisać wam majątek? Za co? Czyny moje, które miałem za grzechy straszliwe, są fraszką wobec tego, co robią najwyżsi dostojnicy, powszechnie szanowani finansiści, dygnitarze, uczeni... Jeżeli oni wejdą do nieba, to ja, proporcjonalnie licząc (a nie widzę powodu, dla którego w niebie rachunki nie miałyby obowiązywać), niechybnie zostanę świętym bez waszego kościoła.

## **HORMON AGATOTROPOWY**

Sekretarz stanu odłożył na bok ostatni podpisany arkusz i podniósł głowę. Przez wysokie okna wpadał żółtawy blask późnej, suchej w tym roku jesieni, odbijając się świetlistymi refleksami w lustrzanej płycie biurka. W ogromnym pokoju panowała cisza. Aparatura klimatyczna pracowała bezgłośnie wtłaczając powietrze o świerkowej woni, wielki zegar nad portretem Waszyngtona tykał miarowo, a co kilkadziesiąt sekund na mlecznej szybie drzwi rysował się cień krocącego korytarzem wartownika. Dulles przetarł ręką sztywne fałdy podbródka, połknął witaminową pastylkę i rzucił okiem na zegar. Do konferencji była jeszcze godzina czasu. Rozejrzał się po pokoju jakby w nadziei, że w obszernej, pustej przestrzeni między dwoma rzędami wysokich szaf z aktami ukaże się coś interesującego, poprawił się w fotelu i sięgnął do stosu gazet i czasopism leżących na bocznym stoliku. Znużony, przerzucał od niechcenia błyszczące płachty ilustrowanego tygodnika. Migwały z nich olśniewające samochody i zachęcająco uśmiechnięte twarze kobiet. Przeczytał reklamę „przeciwatomowego biustonosza”, przekartkował numer i już miał go odrzucić, gdy wzrok jego zatrzymał się na wielkim, czerwonym nagłówku przekreślającym skośnie całą stronicę. Dwa pierwsze zdania zainteresowały go, przechylił się więc do tyłu, założył nogę na nogę i zaczął czytać:

### **RĘKOPIS ZNALEZIONY W BUTELCE**

#### **CZĘŚĆ I**

„Dnia szóstego przed Idami Augustowymi roku Pańskiego tysięcznego siedemsetnego siedemdziesiątego siódmego.

W imię Boże! Ja, caballero Diego y Canvahillas, podróżnik a badacz portugalijski, króla Alfonsa Szedziwego i Jezabeli królowej sługa i podnózek pokorny, rozpoczynam przy wspomżeniu Ducha Świętego opowieść najprawdziwszą o peregrynacjach niezmiernych, podróżach zamorskich i dziwokrętach niezwycajnych, jakich przez lat sześćdziesiąt cztery żywota mego ziemskiego zaznałem z bożą łaską, amen.

Urodziłem się w Sagres, mieście niezbyt podłem, portowem, gdzie mię ojcowie jezuici wszelakich cnót zakonnych trzcina, namową, nóżką capią a powrosłem do drąga przystojnie umocnionym nauczali. Wdzięcznością zdjęty, wielokroć z przewielebnej siedziby ojców na wzgórzach za miastem się mieszczącej uciekałem, aliści każdy raz z powrotem przez macierz moją, jejmość Gregaresę, za ucho do stołu Pańskiego sprowadzeń, młodości cnotliwie tamże dokonałem. Uczyłem się tedy geografii wybornej u ojca Hiacynta od Jana w Oleju, któren kulistość globu lagą na głowach naszych demonstrował, takż matematyki i algebry u ojca Bonifacego od Wszystkich Świętych, któren tabliczkę mnożenia na sempiternie mi wypisał, takż obojga kaligrafii greckiej a rzymiańskiej, czego śladem jest krzywy grzbiet mój i ucho lewe, nieraz ciągnione, i przez to od prawego o cali dwa, inkubasów siedem dłuższe. - Od owej opieki mniszej miastowy a siedzący żywot sobie obmierziwszy, zmiany szukając, po otrzymaniu pierwszych święceń i przyuczeniu się języków obcych, jako to:

altabazyjskiego, korumandzkiego, pintaszywskiego, oraz dialektu Jałpominajów, wyruszyłem na morze w roku Pańskim 1709. Popłynąłem na galliocie Santa Eubrazja, która do kupca wenecjańskiego Mantabraja należała, znanego jako handlarz niewolników i człek nabożny, czym wielką się od Kościoła cieszył łaską. Miał też od samego kardynała Bregoncji przyzwolenstwo skóry darcia pasami z pleców murzyńskich, nie bez miary, jeno na potrzeby bieżące. W czym nic złego, jako że byli to poganie, a on katolik.

Galliota, o której prawie, statek był stary i rozpadający się na części, z przyczyny skapstwa przyrodzonego kupca, któren jeno o Królestwie Niebieskiem dumając, najmniejszych nie chciał poczynić napraw, Chocia nie przystoją słowa takie podróżnikowi świątobliwemu, wždy już rzec muszę, iż wygodki na okręcie kupca onego precz wszystkie były bez otworów na zewnątrz statku odmykać się mających, jako to we zwyczaju jest, a to z tej przyczyny, iż Mantabraj ogród wielgachny w Lissabonie mając wiela dlań nawozu potrzebował, który załoga samoniechcąc w czasie podróży w głębi statku gromadziła. Skapstwem takim do tego dowiódł, iż po każdej peregrynacji galliota się o łokci sześć z przyczyn nagromadzenia dorozumianego balastu zagłębiała, a to i na dziesięć, jeśli nie do Hameryki, lecz do Indii podróż się miała. Co wszystko jest rzecz, w całej Portugalii znana;



gwoli skromności już bym się od Opisu onego zdzierzał, aliści wyjaśnić muszę, skąd się wzięły na gallioście ludzie i wypadki, które opowiem.

Jako Pisma Świętego a kompasu i cyrkla świadom, pełniłem na statku obowiązki brandmejsztra, topornika trzeciego, untergromfagasa, lekarza-wbijszydły, zębociąga i duchostrawcy, czyli kapłana. Załogę mieliśmy ducha gorącego i dziarską przeziernie. Kapitan gallioty, zwany Jonathan Brabizel, w portach okrzykniony ogólnie Drupakiem (nikt dlaczego nie wiedział), był człek postury niemalej, w ogólności cichy, jak płomień rudy i z defektami dwoma. Pierwszy jawny był i kapitan go nie krył, mianowicie za młodu na wyspie ludożernej przebywając, w braku wódki kwas się siarczany pić przyuczył, czego już odzwyczajenie nie masz. Druga wada gorsza była, bo się jej sromął, i ukrywana: a to ci miał na czele róg naturalny, długością w palec męża, twardy i niby krowi, który zwyczajnie włosami owijał i czapką zakrywał. Rozsierdziwszy się atoli, alibo po kwasu onego łyknięciu, gdy sobie ducha ogniem siarczanym sparzył, wylatał ze sterowni, na pokład i wielkim głosem rycząc bódł marynarzy, deptał, tłamsił i w ogóle przewracał. Mówiono nawet po cichu, że placki robi jak krowa, czego stwierdzić nie mogę, świadkiem nie będąc.

Uciechy wiele przysparzał nam mały Melchior Curdepplo, chłopię zacne a skoczne, choć grzbietem garbate, pomocnikiem kucharza będące. Pełen wigoru i żartów uciesznych, rozweselał załogę, która z dziewięci się składała co najteższych w całej Portugalii oprychów.

Pierwszy, bosman Allepiastro, zwany był Wkufluoko, jako że w bitce jednej w porcie Angielczyków Southampton wrażono mu w czeluść kufel od piwa, który oko opasawszy, w orbitę czerepu tak się był wraził, iż mu na zawsze pozostał, od czego marynarz ów jakoby w monokulusie chadzał, z okiem za szybką szklaną mrugającym. Ten siły był takiej, że z suchara solonego, ręką go krzywą pocisnąwszy, sok ciemny puszczał.

Drugi, Sebastiano, o przydomku Mordziel, był galernik, tym się chlubił, że przy Saragossy miasta fortecznego zdobywaniu pół grodu zgwałcił, drugie pół z dymem puścił. Poznawszy go bliżej, interes w nim dla literatury odkryłem niepospolity. Napisy na drzwiach a ścianach sztucznie wyczytniał, z których śmiechu wiele było, kromie tego gdzie mógł, monetę brzęczącą dobywał i w kupki układał, wizerunkiem Monarchy w złocie odbitym jawno się lubując. Miłość taka do tronu piękna jest rzecz.

Dwaj następni - Brabiaga i Grabiaga - bracia w pasie i rzyci na wiek ze sobą zrośnieni - razem się na okręty najmować musieli, przeciwieństwem jeno charakterów niezgodni, bo skoro jeden na lewo iść chciał, drugi zamiarował w prawo, z czego wzdry nic nie wychodziło, jako że każdy w inną się stronę natęzał. Zwyczajnie tedy na pokładzie leżeli, kudły ze łbów

sobie wydrapując i oczy pazdurami orząc, przy szczególnej jeno burzy alibo gwałcie powszechnym do zgody nakłonić się dając.

Piąty, Anselmo Tortalare, człek był o chudości niezmiernej i przy mgle łącno go było nie dostrzec. Nieszczęsny dziurę w żywocie posiadał, bo pomocnik kapitana rożen raz do ostrzenia niosąc mimochodem na wylot go przebił. Dziura owa nie całkiem się zarosła i wiatr na niej melodyje wygwizdywał smętne, od czego lico nieszczęśnika zdłużyło się, a melankolija nieraz go parła.”

Ósmy nie wiem, kto był, jako że cały czas podróży na dole statku w serze ejdamerskim siedział, która rzecz tak się stała:

Kapitan raz nieopatrznie ochotnika wezwał, który by na dół do luki towarowej zeszedł w czasie kołysania wielkiego, gwoli dopatrzenia towarów. Specjalnie sery polecił uwadze onego marynarza, iżby je przed szczurami (których ze sześć setek wieźliśmy) opatrzył. On marynarz na dół zeszedłszy, nigdy już nie wrócił, aliści dziurę sobie w największym ejdamerze uczyniwszy (który ser jest jak kamień młyński, czerwoną skórą odziany, a żółty i wielce smakowity od środka), we wnętrzu pozostał i jeno pustą skórę od sera nieuszcznioną pozostawił, którąśmy po długim czasie naleźli. Z marynarza zasię jeno tasiemki od kalessonów czarne zostały, widać go szczurowie gdzieś w kącie dopadli.

Marynarzem dziewiątym był kucharz, człek otyłości przezmiernej, który jako że po trapie (schody to są z desek uczynione) na okręt wejść nie mógł, na dźwigu był wzniesiony, a do kambuza, czyli kuchni przez dziurę w dachu wprawion, za czym dziurę ową deskami zabito. Od czego korzyść wielka, bo z racji drzwi wąskich do spiżarni ani na pokład sam chodzić nie mógł i ja sam mu ochędóstwo jadalne przynosiłem, jako to boczek, szpyrkę, suchary, groch i pekeflejsz.

Załoga nasza po odpłynięciu z portu Lissabony żagle drutowała, liny łojeni wolowym smarowała, tabak żuła i pokład wiórowała. Tako się matrosski obyczaj podtrzymywał przez miesiąc i dni szesnaście. Wiatr nam w plecy dując popędzał i dotarliśmy do portu Yokkapurama zwanego. Otwarłszy luki uźreliśmy, iż z ładunków jeno porostów bawolich, beczek pięć zostało, sera zasię ani jednego, szczurów za to mnogość nieprzeliczona. Na ład owo zwiózłszy, załadowaliśmy oślego lipianu gramszyków tysiąc, tyleż anarchabasów niezwiętrzałych: i trzydzieści cztery puszki, kule a proch dymny, o czym jeszcze będzie. Ruszywszy w drogę powrotną, po trzech tygodniach jazdy wybornej dostaliśmy się w tak nazwaną tamecznie cyklonę.

Cyklona jest to, jakobyś wziął powietrza przygarść, uklepał na podobieństwo babki, w środku dziurę (okiem zwaną) zrobił, bokami zasię bez miary wszelakiej potrząsał a dmuchał.

Okręt, w burzyszcze takowe wpadłszy, skacze dzień i noc, aże się ludziom w kościach zawiąsy naturze przeciwne robią, a zęby od ciągłego kłapania boją. Góra wodna jedna za drugą tłuką nas w rufę, to jest gallioty zadnicę, i tak pływaliśmy trzy dni i trzy noce, z ducha opadając. Kapitan przywiązał się do brambomstengi z gąsiorkiem kwasu siarczanego i duszę nim sobie orzeźwiał, nam męstwo przykazując. Pomocnik jego kręcił kołem sterowym w jedną stronę i w drugą, z czego wżdy nic, bo wszędzie jednaka była czarnocha, wiatru wycie, chmury na łeb urwanie i nieszczęścia dopust.

Na czwarty dzień wszyscy przy pompach stali, jako że ładunek wiadomy - boki statku nadwerzęzył i woda na dnie przybierała. Po bokach w morzu potwory pluskały: lewiatany, śmierdzichlusty, sprośne syreny, morzozjadki i jensze, od czego serca w nas truchlały i z Bogiem sporzyć się chciało, czemu takie cudactwa potworzył, inaczej urządzić to mogąc.

Tak dopłynęliśmy do granicy wód znanych i na szerokości, którą później powiem, użreliśmy pośród mórz chmurę wielgachną, białawą, na co matrosy wnet na kolana padły, powiadali, iż piekła to przedsię jest, do którego niechybnie popadniemy. Ja atoli lepszej byłem myśli, jako że oo jezuiti, wyborne w tej materii wiadomości mający, bramy i jensze urządzenia piekielne szczegółowo mi opisali, co w pamięci mając, wiedziałem, że inaczej tam zgoła wygląda.

Zbliżywszy się, wpadliśmy w chmurę ona, jako że wiatr nas bez litościwa zmiłowania pchał, i niebawem chwiejba się uspokoiła, jasność powstała wielka i wpłynęliśmy na gładź przezmierną. Curdepplo, na maszcie stojący, wielkim głosem zawrzasał: „Ziemia! Ziemia!” Radość zapanowała okrutna. Kapitan z uciechy rogiem mnie w nogę dziabnął, czego znak do dzisiaj posiadam. Z troków szalupę opuściwszy, wsiedliśmy w sześciu z kapitanem i wiosłami w wodzie pobełtawszy, do brzegu ruszyli. Na czym się część pierwsza pisania mojego kończy i absztrychuje.

## CZEŚĆ II

Pokazowało się, że ziemia przez nas zwidziana, kaktusem, drzewem chlebobajnem i kozą dojną porośla, jest wyspa przez mieszkańców jej czarnych Angusta zwana. Wynurza się ona z łona morskiego na podobieństwo kapelusza. Rondo jego są nadmorskie niziny, zielenią przybrane, głębiej zasię, gdzie wypukłość jest czapki, góry kręgiem wielgachne stoją, o szczytach śniegiem pokrytych. W samym zasię środku, gdzie kapelusz zakłęśnienie posiada, jest spora kotlina piękności niezwyčajnej, z jeziorem a ogrodami. Tamże stolica leży, Arkaktuaną zwana. Na ład wstąpiwszy, wraz ze zdumieniem postaci czarnych użreliśmy, od czego lękowie w serca nas ugryzło, zali to niewierzący ludojedzi nie są, którzy by nas piec na

wolnym ogniu a pożywać mieli. Murzyni owi wraz nam orzechów kokosowych, ananasów i wiele inszej stawy przynieśli. Na pokład wróciwszy, kapitan rzekł: Pogany to niezmierne, zatracone, goło chodzą, banany darmo zajadają, wódkę nizacz mają, jeno się łagodnem słowem od brata naszego opędzają. Trza im królestwo zrobić!

Wnet też puszki na brzeg wyrzucił, a kulami je naładował, sam od jednej k drugiej chodził i w zapal białem żelazem tykał, od czego grzmot ze smrodem powstawał wielki, a brandfugasy, kule, knyple, bomby uszate i karkasy na brzeg leciały, chaty murzyńskie w gruz obracając. Pod wieczór ogień ostanowiwszy, siłą na pokład Murzynów starszych zwleczono i kapitan objawił im, jako od tej chwili portugalskie królestwo na wyspie obwieszcza, dla dusz zasię ciemnych zbawienia chrzest nazajutrz się sprawi, przeciwnych takowemu na paliczek nawlekając. Dalej jadła co pysniejszego Murzynom przynieść rozkazał i rzekł, że koniec będzie ichniej wolności: od dzisiaj, pry, my tu króluj em. Jako namiestnik królewski radził takoz, żeby się Murzyni z dobrowoli ukorzyli, wiarę jedyną przyjęli i w posłuszeństwie żyli. Aby zasię starszy ich lepiej rzecz wyrozumiał, dziurkaczem, który jest kołek bosmański do żagłów szycia, głowę mu rozbił. Starszy krwią się nieco zalał i spytał, zali wszyscy, co na okręcie są, takie mniemanie przedstawują, iżby już kres swobodzie wyspiarskiej przyszedł. Mnie, który jestem ducha miększego jako insze, rzecz się widziała niegodna i rzekłem, iż podług mnie gwałt im się dzieje, za co zaraz bodnięty przez kapitana byłem.

Murzyni oddalili się z płaczem wielkim. W nocy, powieczerszawszy, kapitan kwasem upojony spał krzepko, załoga zasię gaworzyła, jako to będzie, skoro kaźden na plecach sześciu niewolników do Portugalii zajędzie.

Mnie ino markotniło, a było z czego. Po północy, gdy sen wszystkich zmorzył, Murzyni, dech przytłamszy, na pokład wstąpili, na załogę się rzucili, a kaktusowymi kolcami wiążąc, jednego za drugim jak barana na wyspę nieśli. Mnie zasię kazowali na brzegu siadać. Pod strażą będąc widziałem, jako skrępowanych nakłaniali do napitku jakiegoś przyjęcia, gdy atoli marynarze jak mąż jeden odmówili, siłą poić ich próbowali, ale i z tego nic nie wyszło. Wówczas ku skale wielkiej ich zawiedli, z której co jakiś czas woda fontanem wyskakuje, gorąca jak ogień i siarką podle cuchnąca. Które źródło oni Gayzerem zwa. W on Gayzer rzucali matrosów przez pardonu i zmiłowania, sami przy tym jak bobrowie płakali, a na ostatku kucharza cisnęli, który jako człek w sobie cielesny zatkał skałę i tak im on Gayzer popsował.

Potem starsi ichni przybliżyli się i rzekli mi, bym bez lękowia pozostał. Są oni, pry, narodem wolnym i nikt ich w niewolników nie obróci. Znalazłem później naród on czarny sercu memu miły i przebywałem z nim lat czterdzieści i trzy, a jako było opowiem.

Pytali mnie Murzyni na początku, co to za wiara taka, którąśmy im przyjąć kazali, a która mord i pożogę niecić wszędy nakazuje. Na męczeństwo gotowy, ciemności w głowach ich rozproszyć pragnący, wnet im Ewangelię wieścić jałem.

- Powiadasz - rzeką - że wiara twa bliźnich miłować każe, a oto zgliszcza domostw naszych jeszcze dymią, jakoż to pogodzić? Kłamiesz niechybnie, czego świadectwem łody twoje, jako trzcina na wietrze, dygocące od strachu, aliści nie bój się; włos ci z głowy nie spadnie.

Odparłem, że wszystko, co o wierze chrześcijańskiej rzekłem, prawdą jest i że ziomkowie moi chlubią się mianem narodu bardziej katolickiego niż inne, że wszelako, gdy człek do wiary praktykowania przystępuje, natura jego ułomna skazy pewne w rzecz wnosi.

- Skazy pewne? - powtórzyli Murzyni. Czas jakiś milczkiem na siebie poglądali, potem zaś ze sobą pogadawszy, znowu pytać urnie jęli:

- A król, o którym dowódca twój prawił, kto zacz? Jako mogłem, majestatu katolickiego chwałę im odmalowałem, o purpurze monarszej, zbytku komnat królewskich a zabaw pałacowych prawiąc.

- Aha - rzekli - król rządca jest wasz najwyższy? Skoro mu sobą rządzić przyzwalacie, persona to musi być cnót a mądrości wybornej. Opowiedz nam przeto o tym, co nynie wam panuje.

W kłopot mnie wprawili, bo o monarsze naszym, Alfonsie, dwie jeno rzeczy pewnie wiedziałem: pierwszą, że infantem będąc kotom ogony wrywał, którą skłonność jako monarcha zachował, co dworacy niektórzy za dowód stałości charakteru poczytywali, i rzecz drugą, iż kiedy dekret podpisywał brata jego, xięcia de Oroś, na palenie małym ogniem skazujący, do ministra rzekł: „Paskudne daliście mi pióro, panie markizie”. Mniemając, iż dzikusowie subtelności dworu europejskiego nie pochwycą, niewiedzą w materii wymienionej się zasłoniłem.

Szukałem potem bożków jakowychś, bałwanów, iżbym je utracić a rozbić mógł i Boga prawdziwego obwieścić. - Żadnej wszelako kukły nie mieli; zapytani odrzekli mi, iż to, co Bogiem zowie, duch jest sprawiedliwości i dobroci, w sercach powszechnie mieszkający. Pytałem, zali się do onego modlą? Nie wiedzieli, co to takiego, po wyrozumieniu zasię rzekli, jako się myślę: jakaż może być korzyść od wyrazów klepania? Jedna jest, a to od życia poćwiwego. Tom się z nimi nie zgodził i o zbawieniu duszy mówił. A właśnie jedno dziecko

zachorzało i zmarło, którego ojciec od zmysłów odchodził. By go w cnocie podnieść, o żywotach świętych mu opowiadałem, o Szymonie Słupniku, który lat trzydzieści na słupie w skwar a słotę sto jał gwoli światłości wiekuistej zyszczenia. Rzekł mi na to ojciec ów, iż samolubstwem to mu się widzi. Gdyby to dla drugich czynił, duszę własną na męki wydając, godziwe by było, jako by i on krwi a bólu dla dziecięcia swego poratowania nie poskapił. Nie siebie bowiem zbawiać obyczaj ich nakazuje, jeno bliźnich.

Sprawy wiary na lata przysze odstawiwszy, bytem się ich zająłem. Uźrałem, iż dobra różnego dosyć mają i każdy rzemiosłem się para, ten buty, ów pługi, trzeci wreszcie wozy wytwarzając. Pieniędzy nijakich nie masz, jeno tak:

chcesz sandałów - pójdziesz do szewca (onże sandalarz), parę godziwą wybierzesz, pokłonisz mu się a odejdiesz. Rzekłem: zła to systema, mógłbym bowiem pójść do szewca i wszystkie buty zabrać (bo bronil nie będzie). Czym się inni obują? Oni na to ze śmiechem: zali stonogą jesteś, że tyła butów ci trzeba? Nie wiedziałem tedy, co rzec.

Wielcem się też obyczajom ich małżeńskim dziwowałem, który taki jest: mąż do niewiasty przychodząc, kocham cię, prawi, żoną mi bądź, przyjaciele. Ona mu na to „tak” rzecze alibo „nie” i po krzyku, zaczem bez obrzędu wszelakiego idą, chatę budują (lub cieśli proszą) i tak sobie w pracy a radości żywot pędzą. Gdy zasię niezgoda między nimi wynika, bez wrzasków wszelakich, włosów a zębów rwania mówią sobie, jako się wedle usposobienia omylili, i grzecznie w dwie strony rozchodzą. Pytałem, jako to, sakramentu nie znając, zwyczajnego nawet zapisu do xięgi nie czynią (bo piśmienni są) ani też innego dokumentu na pergamencie? Odparł mi jeden ze starszych, który, uczonym będąc, miru wielkiego zażywał: na cóż pergament a inkaust i pieczęć woskowa, jeśli pociągu serdecznego nie masz? Nic więzy zewnętrzne, nic formuły rzeczzone, nic śluby, a gębą ruchanie i przysiąg mamrotanie, skoro w sercu popiół i ruina. Tam jeno miłość być musi, nie w xiędze: Bez tego nic. Pytałem, zali dokumentów nie sporządzają skoro ktoś dom kupuje alibo dzierżawi, czy też jensze czyni dohowsy? Odrzekł: nic nie kupuje się u nas. Każdy, co potrafi, wytwarza, na skład niesie i kto chce rzecz potrzebną bierze. Takóż wspólnie pola uprawiają, zboża sieją, zna, a chleb pieką. Widząc mnie zdumionym, spytał Murzyn ów uczony, co w tym dziwnego.

- Jeżeli komu pracować się nie spodoba - rzekłem - co wtedy czynicie?

- Chorość myślisz - rzekł - rozumiem. Kurować trzeba chorego, juści, że go nikt do pracy nakłaniał nie będzie.

- Nie - rzekłem - nie w chorobie rzecz. Weźmy oto, że zdrowy całkiem człek pracować nie chce, jeno z cudze) się pracy pożywiać, co wtedy?

Uśmiechnął się on starzec i prawi:

- Jakoż to nie chory? Widzi mi się, żeś w zabłądzenie popadł. Jakoż nie chory, skoro pracować nie chce? Juści chory, jeno na umyśle. Takoż go kurować będziemy, póki prawdy nie zoczy. Wždy bez pracy człowiek żyć nie może. A jeśli ktoś, dla przykładu, dychać nie zechce, zali to choroba nie jest? Wždy jeśliby dech wstrzymał, zemrzeć by mu przyszło. Takoż i my pomarlibyśmy wszyscy, jeśliby pracę powszechną ostanowić. Że nikt zasię przed czasem swoim zemrzeć nie chce, pracuje. Nadto praca i przyjemnością jest. Co dzień tego nie wiesz, boś przywykł, jako i dychając ustawicznie nie pojmujesz, że powietrze, do płuc penetrując, rozkosz ci sprawia, spróbuj atoli do wody głowę wrazić, wnet poczujesz, jaki to skarb wielki! Takoż i z pracą!

Tak mnie tym dychaniem zamówił, że nie wiedziałem, co rzec. Pojąłem, że uczciwość Murzynów tych a dobroć niezwykła jest rzecz: wierząc do śmierci w słowo rzeczzone, dotrzymują go zawsze i nie trza im sądów ani pachołków, ni halabardników, ni dybów a smoły topionej i kata. Pytałem, zali wojen u nich nie masz. Nie wiedzieli, co takiego. Wyklarować im chciałem wedle sił, palbę puszek gallioty naszej przypominając, strumienie krwi, mówiłem o bagnetowym kiszek pruciu, szablą głów płatanu i jenszych arkanach bitewnych. Strachem i smutkiem jęci pytali jeden przez drugiego, zali w kraju moim każdy może sąsiada wedle woli jak muchę ubić i po co to czyni. Wždy zabójca w czarnej chadza sławie, jak u nich się przytrafiło, gdy kowal pewien, kując młotem, który mu się w rękę ułamał, dziecko patrzące zabił. Odrzekłem, iż bliźniego w pojedynkę zabić wiara nam zakazuje, gdy atoli ludu wielka moc się zbrojnego zbierze, a na przedzie margrabia, król lub inszy władca, wonzas najechać drugie państwo, z dymem miasta puścić, wyrznąć a ograbić - chwalebna jest rzecz. Nie pojęli i powiedali, jako duby smalone bredzę.

Podglądnałem takoż, iż do strawy mi płyn zielony mieszali, czym przeląknę się wielce, mniemając, iż otruć mnie pragną, aliści rzecz okazała się insza. Oto z kaktusa, Zielonym Kłem zwanego, sok szmaragdowy wyciskają i w wielkich kadziach chowają, który smak posiada miodu niestarego, a skutek niezwykły. Oto człek, który kilka łyków soku onego przełknie, dobrze czynić musi, choćby, nie chciał. Chociażby się cała jego natura przeciwiała, przecie wroga całował będzie i ostatnią mu z grzbietu zwleczoną koszulę ofiaruje. Taki to płyn dziwny, którego oni sami potrzeby nie czując, nie piją, od praojców jeno sposób przyrządzenia znają i na czarną godzinę go kryją, gdyby zaś nawała wraza na wyspę ich wstąpić chciała. Likwor on nie upija wcale ani nie rozwesela, jeno morale ludzką podnosi. Miałem go, jako mi rzekli, do potraw domieszanym w ilości znikomej, bym się snadź zbyt szybko nie przekabacił. Złe wapory muszą pierwej wywietrzeć.

Dobrym chcąc się od razu stać niezmiernie, po kryjomu cały dzban napitku onego wychyliłem, chocia mnie przestrzegali, jako że we wszystkim miarę zachować należy. Skutki pokazały się niebawem. Oto na kolana padłszy, publiczną spowiedź z łajdactw moich przed miasteczkiem miałem i błagałem, iżby mnie na pal nawlekli i oczy wylupili, bom jest świnią i gad sprośny. Pokutę czyniąc, zwlokłem z grzbietu odzienie i ofiarowałem się przed progiem ich domu wspólnego leżeć, by mnie zaś za słomiankę mieli.

Nie chcąc do pohańbienia mojego dopuścić, zaraz mnie kocami okryli i wodą polewali, by ona dobroć nadmierna wyszła z mego ciała, co się też stało po trzech dniach.

Z wyspy można było popłynąć łódką w różne strony, jako że była tam przygarść wysepek, które w kupie się archipelagiem zowią. Sami Arkaktuańczycy nigdzie nie pływają, aliści ja, ruchliwsze przyrodzenie posiadając, wnet o łódkę prosiłem i zaraz popłynąłem.

Na pierwszej wysepce, małej ale ładnej, kwiatem białym porosłej, mieszkali Murzyni, którzy stoły w domach swoich na jednej nodze stojące budują, od czego wciąż się przewracać by musiały, aliści w każdej rodzinie ktoś zawsze przy stole siedzi i sprzęt, on podpira. Gdy im nogi w większej liczbie przybijając do stołu radziłem, natarli na mnie wraz i ucha kęs mi spory naderwali, ledwie się ucieczką salwowałem. Pływając dalej, wysepkę znalazłem, która zamieszkała była przez ludzi jako my, skórą nieco tylko ciemniejszych, jedno że na czworakach chodzących. Tak wszyscy, dzieci, kobiety, mężowie po miasteczku sobie raczkowali. Pytałem, czemu na dwu nogach nie chodzą? Rzekli mi z wielkim na moją postawę patrząc zadziwieniem, iż nie wiedzieli, że tak można. Pierwszy powstał zaraz i z uciechy, że to tak przyjemnie, kozły fikał, inni w te pędy za nim. Wołali, że wielkim ich jestem ratownikiem a mędrcom, i chcieli, bym u nich pierwszym wodzem zostałem, czemu się sprzeciwiłem, rozumiejąc, iż lepiej mi być parobasem u mądrych, niżli królem u idyotów”...

\*\*\*

W nieprzeniknionej mgłę rozlegał się jednostajny, powolny warkot. Sekretarz stanu próżno wychylał się przez poręcz opasującą burtę motorówki, próżno rozwierał szeroko oczy: wzrok tonął w szarych i perłowych tumanach, to rozstępujących się przed czarniawym dziobem stateczku, to zagęszczających się i zatapiających otoczenie. Znienaćka ściana skłębionych oparów zachwiała się i rozstała. Minister, oślepiiony, przymknął na chwilę oczy.

Tarcza słoneczna dotykała już szczytów odległych gór, których olbrzymie cienie wydłużały się coraz bardziej, ogarniając błękitnawym półmrokiem łagodne zbocza i równiny gajów palmowych. Ostatnie, czerwone promienie oświetlały jaskrawo nadbrzeżną plażę, ku



której zmierzała motorówka. Kil pograżył się w piasku i znieruchomiał. Minister wstąpił na brzeg.

Na plaży roilo się od pojazdów i ludzi. Niedaleko przez rozwarte dziobowe wrota statków desantowych wytaczały się na piasek długie szeregi ciężarówek. Skrzypiały dźwigi, warkotały motory, w czystym powietrzu daleko niosły się skwiry mew i okrzyki ludzkie. W pobliżu zatrzymał się opływowy, srebrzysty cadillac. Minister wsiadł i wóz natychmiast ruszył.

Przejeżdżali przez murzyńską wioskę. Uliczka była tak wąska, że w pewnej chwili samochód musiał przystanąć i cofnąć się pomiędzy dwie lepianki, aby przepuścić zmotoryzowaną kolumnę Korpusu Religijnego. Na dachu każdego auta stał misjonarz w pełnym rynsztunku, trzymając mikrofon. W bocznej uliczce zatrzymał się wielki, lśniący Jak zielonkawa ryba samochód-cysterna. Kilku ludzi rozpinało między czubami palm barwne płótno z napisem Coca Cola Throughout The World. Minister skinął im życzliwie ręką. Tuż za wioską minęli kolumnę sanitarną żołnierze chwyтали przechodzących Murzynów i za pomocą wielkich rozpylaczy pudrowali ich na biało proszkiem DDT. Inni rozjeżdżali po okolicy w jeepach. Mieli zlecone rozdawnictwo łakoci i urozmaicali sobie to zajęcie celując paczkami cukierków w głowy Murzynów, którzy z nieśmiałymi uśmiechami ustępowali z drogi wzbijającym kurz pojazdom. Pół kilometra za ostatnią chatą jaśniał zbudowany z falistej blachy aluminiowej barak Administracji Cywilnej. Zgromadziło się przed nim kilkudziesięciu reporterów. Jedni fotografowali z nudów małe Murzyniątka patrzące wielkimi smolistymi oczami, inni leżeli na trawie podłożywszy sobie pod głowy nadymane poduszeczki i żuli gunię. Kilku obstało automatyczny samochód bar Yaucklyna i raczyło się czterdziestocentową baranią w sosie pomidorowym. Na widok rządowego cadillaca zerwali się z miejsc.

- Jak się macie, chłopcy! - zawołał minister uśmiechając się. - Jak wam idzie?

- Eh, mister Dulles, nic się tu nie dzieje - wypalił stojący najbliżej, który miał na specjalnych szelkach umocowaną na wysokości piersi małą maszynę do pisania. - Gorąco jak diabli, Murzyni śmierdzą, a wydarzenia takie, że skrzynia z Ewangeliąmi urwała się rano z dźwigu i rozłamsiła jednego czarnucha. To dobre na trzecią stronę, ale musimy przecież mieć wstępniak!

- Chcecie konferencji prasowej?... Minister zatrzyma? się kilka kroków przed barakiem, marszcząc lekko brwi. Pokrył niezadowolenie uśmiechem.

- No dobra, chłopcy, ale tylko pięć minut. Uwaga, zaczynam!

Natychmiast rzucili się ku niemu sprawozdawcy radiowi wlokąc za sobą wijące się węże kabli i zbliżyli do jego ust czarne lejki mikrofonów, jak gdyby częstowali go osobliwym napojem. Jedni reporterzy zaklekotali na maszynkach do pisania, inni puścili w ruch magnetyczne fonografy; w coraz bardziej gęstniejącym zmierzchu co chwila oślepiająco lyskały wybuchy lamp fotograficznych, przywracając twarzom, i otoczeniu dzieńne kolory; w tych błyskawicach ukazywały się luźne, malowane w smoki, pioruny i kwiaty koszule sprawozdawców, głowy w hełmach tropikalnych i górujący nad wszystkim, sekretarz stanu, który podniósł się na stopień baraku i płynnie mówił:

- Stany Zjednoczone wyciągają nad Nieznaną Wyspą opiekuńczą dłoń postępu i demokracji, ażeby jej bogobojnych, pracowitych mieszkańców uchronić przed groźbą komunizmu. Wierny swoim ideałom demokracji i równości, rząd Stanów nadaje Wyspie pełną autonomię i zamierza w dniach najbliższych zorganizować tajne, równe i bezpośrednie wybory, w których tubylcy sami stworzą sobie taką formę rządów, jaka im najbardziej odpowiada. Tak więc otwiera się przed nimi amerykańska droga życia, droga wolności i postępu...

Minister zdeptał papierosa, skinął lekko głową otaczającym i skierował się do wnętrza baraku.

- Pytania! Pytania! - rozległa się zmieszana wrzawa głosów.

- Tylko pięć minut, wzywają mnie ważne sprawy! - rzucił minister z ręką na klamce. - Pytajcie, chłopcy.

- Kiedy otrzymamy swobodę poruszania się po wyspie?

- Czy ONZ przyśle obserwatorów na wybory?

- Czy na wyspie są komuniści?

- Czy to prawda, że tu są złoża uranu? Minister uśmiechał się ukazując białe zęby. Zaterkotał aparat filmowy, trzy olbrzymie jupitery podjechały na wysuwanym ramieniu samochodowego dźwigu i olśniewającym światłem zalały całą scenę.

- Organizacja Narodów Zjednoczonych przyśle swoich ludzi, tak... o uranie nic nam nie wiadomo... nasze poczynania są całkowicie bezinteresowne... swobodę poruszania się otrzymujecie z dniem dzisiejszym, przepustki wydaje Biuro Prasowe.

Ledwo wypowiedział te słowa, obecni tłumem rzucili się do przyległego baraku. Jakiś przedsiębiorczy operator krzykiem przynaglił pomocników i siedząc okrakiem na poruszającej się wieży dźwigu, z góry filmował popychających się i tłoczących kolegów. Przy ministrze zostało już tylko kilku dziennikarzy. Najbliższy odezwał się:

- Co to za historia z tym sokiem kaktusowym, mister Dulles?

Minister roześmiał się w głos.

- Podaliśmy wam fakty. Kaczki musicie wymyślać sami.

Bywajcie, chłopcy, pozdrowienia dla wszystkich czytelników! - Jego ostatnie słowa utonęły w grzmocie nadlatujących odrzutowców.

Zapadła już noc. Niedaleko bezszelestnie przesuwały się rozjarzone oczy samochodów. We wsi zapalały się białe czworoboki; na rozpiętych między palmami ekranach wyświetlano dla krajowców najnowsze filmy: „Tragedia za żelazną kurtyną” i „Noc poślubna dusiciela”. Ozdobione rurami różnobarwnych neonów, leniwie sunęły brzuchate cysterny coca cola. Z oddali płynął dźwięk dzwonów transmitowanych z płyt Korpusu Religijnego.

Minister wszedł do baraku. W pierwszym pomieszczeniu siedziało za biurkami kilkudziesięciu urzędników.

- Halo, jak się macie - rzucił im w przejściu. Jego sekretarz wertujący papiery przy bocznym stoliku zerwał się na równe nogi.

- Mister Dulles, kablogram z Białego Domu.

- Jest tam ktoś? - spytał minister, rzucając okiem na depeszę.

- Są: Graystreph z Carbide Union, Truli z Panamerican Mining i Allis z General Motors. Nie mogli się doczekać. Od godziny już...

Minister machnął ręką i nie wysłuchawszy sekretarza do końca wszedł do przyległego pokoju. Pod sufitem paliła się elektryczna lampa, pośrodku stało wielkie biurko;

z boku, pod ścianą, na trzech rozłożonych opływowych leżakach spoczywali ludzie. Jeden, większy od innych, oparł wystające za brzeg leżaka nogi o płytę biurka. Był zbudowany jak bokser, płowowłosy, w jedwabnej białej koszuli i krótkich spodenkach. Korkowy hełm położył pod leżakiem; skrzyżowawszy muskularne, włochate nogi, ciągnął przez słomkę chłodzący napój. Drugi oddychał głośno, jak astmatyk; łysinę przykrył rozłożoną chusteczką, która wydawała przejmującą woń ostrej perfumy. Palił fajeczkę i co jakiś czas pociągał ręką po nie ogolonym tłustym podbródku. Trzeci był chudy, wąty, z niezdrową żółtą cerą żołądkowca; oczy chronił skośnymi, czarnymi okularami. Gdy minister wszedł, zapisywał coś w notatniku. Żaden z leżących nie poruszył się na widok Dullesa, tylko Graystreph zasalutował jednym palcem, nie wypuszczając z ust słomki. Przez dłuższą chwilę trwała cisza. Zza metalowego przepierzenia dobiegał prędki stukot maszyn do pisania i teletypów.

Dulles przeszedł przez pokój, bokiem przysiadł na biurku, wyjął z kieszeni paczkę papierosów, rozerwał banderolę, pokręcił w palcach tutkę i zaciągając się dymem rzekł:

- Dżentelmeni?

- Wszystko O.K. - rzekł Graystreph i spuścił jedną nogę z biurka. - Mów pan dalej.

- Cóż mam mówić? Wy mówcie! Jak uran? Przez kilka sekund panowało milczenie.

- Czy chcecie się bawić w ciuciubabkę z rządem? - rzekł Dulles z lekkim rozdrażnieniem. - Od chwili lądowania daliśmy wam pełną swobodę...

- Swoboda robienia interesów jest zagwarantowana konstytucją - rzucił Graystreph i pociągnął duży łyk zielonkawego płynu, w którym pływały kryształki lodu. - Ale, ale, mister Dulles, szef przyleci tu jutro. Spodziewam się, że da mu pan odpowiednią eskortę.

- Cornelius we własnej osobie? - Minister podniósł wysoko brwi. - No, no... Ale po co eskorta? Murzyni są jak balsam peruwiański.

- Eskorta jest rzeczywiście potrzebna - odezwał się nagle łysy.:- Chociażby przeciw takim facetom, jak Graystreph.

Przedstawiciel Carbide Union uśmiechnął się złośliwie, rozciągając szeroko cienkie wargi.

- Murzyni są jak balsam - rzekł - a ta wyspa to najlepszy interes, jaki widziałem w życiu.

- Ale jak się człowiek spotyka z konkurencją, dla której dobra jest każda metoda... - zaczął Truli.

- Czy chcecie się kłócić? - spytał Dulles. - Rząd daje wam takie możliwości, jakich do tej pory...

- Daj pan spokój, konferencja prasowa skończyła się - przerwał mu Truli. Szeroki uśmiech Graystrepha doprowadził go do wybuchu.

- Nie wyobrażaj pan sobie, Graystreph, że połkniecie wszystko. Panamerican Mining też tu ma coś do powiedzenia.

- A kto wam broni?

- Panowie, rozmawiajmy rzeczowo - przerwał im Dulles. - Czy chcecie rządowego arbitrażu?

- Po co mi arbitraż?! - Graystreph roześmiał się głośno.

- Więc o co chodzi?

- Moi rzeczoznawcy - geologowie odkryli szesnastoprocentową rudę uranową w północnej partii górskiego masywu - powiedział z hamowaną złością Truli - a Graystreph sprzątnął mi ją sprzed nosa.

- Murzyni - rzekł niewzruszony Graystreph - to największe osły, jakie zdarzyło się oglądać synowi mojej matki. Niczego nie sprzedają - wszystko darują za jeden uśmiech. Jutro dostanę prawa eksploatacji terenów na czas nieograniczony; ta szesnastoprocentówka to

dopiero początek, a kosztowała mnie... kosztowała mnie - powtórzył, lubując się własnymi słowami - jedenaście centów, bo tyle warta jest nylonowa grzechotka, którą dałem temu czarnemu capowi jako rękojmię wieczystej przyjaźni...

- Przestałbyś się pan chełpić - rzucił mu Truli. - Mister Dulles - ciągnął zwracając się do sekretarza stanu - Murzyni to rzeczywiście kretyny, jakich świat dotąd nie widział. Gotowi nam buty czyścić swoimi kudłami, jeśli poprosić tylko...

Allis, który nie odezwał się dotąd i leżał na wznak nieruchomo, nagle usiadł.

- Od kwadransa słucham waszego gadania - rzekł porywczo - i nie usłyszałem jeszcze ani jednego rzeczowego słowa. Mister Dulles, wobec tego ja zapytam pana, co to za stypa z tymi wyborami? Kiedy otwieracie ten lunapark? I po jaką biedę obserwatorzy ONZ? Już widzę, jaki gwałt podniosą Anglicy, żeby ich dopuścić do interesu.

Dulles bawił się złotą myszką, którą kończył się zatrzask jego koszuli.

- Obserwatorzy muszą być. Robimy z czarnymi porządek dla waszego dobra. Stan, w którym, taka kupa czarnych nie ma w ogóle rządu, nie może się przeciągać. To groźne. Profesor Buckledrop powiada, że oni mają tu tak zwany pierwotny komunizm.

- Co?!

Trzej przemysłowcy zerwali się i przyskoczyli do ministra, który uśmiechając się dobrodusznie, zrobił uspokajający gest.

- Spokojnie, dżentelmeni, spokojnie! Oni nic nie wiedzą o prawdziwym komunizmie - to tylko taka pierwotna gospodarka, taki kolektywny sposób...

- Nie znoszę tego słowa - rzekł nerwowo Truli. Z obrzydzeniem otarł chustką spotniały kark. - Mniejsza o tę całą semantykę, więc co powiada Buckledrop? To ten socjolog z pańskiego Trustu Mózgów, co?

- Tak. Bardzo zdolny facet. Pójdziemy za jego radą. Zrobimy dwa stronnictwa: chrześcijańskich demokratów i konserwatywnych liberałów. To będzie opozycja. W jej ręku znajdzie się wielka własność ziemską.

- Ależ tu nie ma żadnych chrześcijan!

- Do przyjazdu obserwatorów ONZ będą. Od czego mamy Korpus Religijny. Mechaniczne chrzcielnice już się wyładowuje, jutro rano zacnie się masowy chrzest, widzenia, nawracania, cuda i co tylko chcecie.

- A własność ziemską? Przecież tu nie ma żadnych posiadaczy?

- Też się robi. Na razie rzecz ma się tak: potrzebujemy pieniędzy na agitację polityczną dla bossów partyjnych, dla głosujących Murzynów i tak dalej. Nie możemy użyć rządowych pieniędzy, rozumiecie, więc zwracamy się do was.

- Od razu trzeba było tak mówić - rzekł Graystrepth rozciągając słowa. Wrócił do swego leżaka i usiadł. - Forsy chcecie, co? No więc dobrze. Carbide Union da... może dać... powiedzmy dwadzieścia tysięcy.

- A ja piętnaście - rzucił Allis.

- Ja dziesięć.

- Cóż tak zjeżdżacie w dół? Carbide Union nie może dać więcej? A pan, panie Truli? Zarobicie tu miliony, a żaden z was nie chce dać stu tysięcy? Przecież to wkład we własny interes. Kapitał, który się oprocentuje.

- Dobra, dam trzydzieści tysięcy - rzekł Truli, któremu oczy nagle się zaświeciły, jakby go tknęła jakaś myśl. Graystrepth z opuszczoną dolną wargą obserwował go podejrzliwie i wycedził:

- Aha... widzę, gdzie pan mierzy. Żeby mieć swoich ludzi w rządzie, co? I zakwestionować potem te murzyńskie darowizny? Może pan to sobie wybić z głowy.

- Ale skąd, nawet o tym nie myślałem - bronił się Truli. Graystrepth wstał. Rozkraczył nogi na środku pokoju, ręce wsadził w kieszenie i przekrzywił ptasio głowę.

- Nie lubię - rzekł - jak mnie rząd za rączkę prowadzi do interesu., Ten cały kram z partiami mnie się nie podoba. Liberałowie, demokraci - to są trele morele, może jeszcze parlament dla Nigrów? Musimy mieć na miejscu siłę roboczą - tanią - nie rynek pracy z bezrobotnymi. I żadnych związków zawodowych - to dobre w domu. Tutaj trzeba Murzynów skoszarowanych w obozach. Już nawet wypatrzyłem parę niezłych miejsc pod takie obozy...

- Doskonale, będziecie mieli wszystko, tylko proszę, nie używajcie słowa „obóz”. W tej chwili oczy całego świata są zwrócone na nas i...

- Dobra, dobra. Schowaj pan deklaracje. To się będzie nazywało „murzyńskie pensjonaty”. Ale osobiście wolałbym władzę w rodzaju kacyka, i to kacyka pijanicy. Da mu się wódki za dolara i zrobi swoje, a kiedy do złoju dorwą się rozmaici „działacze polityczni”, wyobrażacie sobie, ile będzie nienasyconych gąb?

- Nie możemy się ośmieszać pertraktowaniem z kacykami - rzekł Dulles. - Anglicy robią to już od trzystu lat i oto rezultat; z całego interesu zostały im tylko wywieszki. Nie rozumiem, dlaczego przeszkadzają wam partie. Czy w Stanach przeszkadzają?

- Koszty, powiadam, koszty byłyby niższe...

- Nie ma się co trząść nad paroma dolarami...- Jaki hojny...

- Spokój, dżentelmeni!

- Kiedy skoszarujemy czarnych?

- Spokój, panowie! - krzyknął Dulles. - Kiedy nikogo z obserwatorów ONZ już nie będzie, będziecie mieć czarnych za drutami i razem ze swoimi partiami będą mogli pójść na skargę do cioci Mary. Nie stwarzajcie fikcyjnych problemów i działajcie solidarnie. Proszę o kredyty od jutra.

Graystreph porozumiał się wzrokiem z Allisem i Trullem.

- W porządku - rzekł wracając na swój leżak - jutro rano otworzę kasy.

- O.K. - rzekł Dulles zeskakując z biurka. - Porozumieliśmy się więc we wszystkich punktach... a co do Corneliusa - zwrócił się do przedstawiciela Carbide Union - bądź pan spokojny. Dostanie, czego mu potrzeba. Dobrej nocy, moi panowie, i dobrych interesów.

Po południu następnego dnia zjawił się u Dullesa senator Joe Carrell, szef akcji politycznej. Ten siedemdziesięciodwuletni starzec zwany był przez współpracowników i kolegów „Boogie Joe” dla skoczego chodu, jaki zawdzięczał podleczoneму penicyliną paraliżowi postępowemu. Nie nazbyt dowierzając elastycznym nogom senator opierał się na lasce, której złota gałka wraz z dwurzędowym szarym garniturem i stalowymi okularami nadawała mu wygląd angielskiego arystokraty. Usiedli w głębokich fotelach przy ściennym barze. W kajucie pancernika było chłodno i przewiewnie, mimo upału panującego na dworze, gdyż działała aparatura klimatyczna.

- Jak tam wygląda? - przywitał senatora Dulles. Zamiast odpowiedzi Boogie Joe rozłożył ręce.

- Cóż znowu?

- Mister Dulles, leżymy. Murzyni nie chcą wstępować do żadnej partii. Dulles wstał.

- Jak to?

- Po prostu nie chcą. Korpus Religijny zawiódł na całej linii, moi ludzie wracają z wyspy i mówią...

- Pni, mówią, mówią! Mniej gadania, Carrell, a więcej roboty. Dawaliście podarki?

- Próżny trud, mister Dulles. Murzyni dają wszystko, czego się od nich chce, ale sami nie biorą nic.

- A pieniądze?

- Naturalnie. Najpierw pięć dolarów na głowę, potem dziesięć, doszliśmy do pięćdziesięciu, ale z takim samym skutkiem mógłby pan dawać po pięćdziesiąt tysięcy.

- Czekażcie pan... najpierw trzeba ich przecież nauczyć handlu, nie? Przedstawicielei drobnych firm puściliście w ruch?

- Od samego początku, ale to też nie chwyciło... Mister Dulles, spójrz pan na moje siwe włosy. Jako obywatel amerykański, jako senator, jako starzec nad grobem, który

niejedno przeżył, powiadam panu, że coś takiego jeszcze mi się nie przytrafiło. Od tych Murzynów może pan...

- Przeklęte czarne mordy! - warknął Dulles przechadzając się wielkimi krokami po kajucie. Nagle stanął przed Carrellem.

- No dobrze, więc ilu pan ma?

- Panie ministrze...

- Wiem dobrze, kim jestem, nie trzeba mi tego przypominać. Ilu będzie pan miał „zrobionych” do środy? We środę przyjeżdżają mętniaki z ONZ. Dwustu będzie? Stu przynajmniej? No?

- Ani jednego.

Dulles był tak oszołomiony, że przez dłuższą chwilę mrugał w milczeniu powiekami.

- Czekajże pan... czy to ma znaczyć, że nie znalazł pan ani jednego Murzyna, którego dałoby się przekupić?

- Tak, właśnie to. Nie znalazłem ani jednego. Pozwolę sobie zauważyć, że hurraoptymizm niektórych naszych ludzi od początku wydawał mi się bez pokrycia. To wszystko za ładnie wyglądało, uważa pan? Murzyni byli zanadto grzeczni, zbyt mili, za dobrze ułożeni, za przyjemni, nadmiernie skromni... z takimi nie można robić polityki.

- No, no, tylko nie wpadajcie w panikę - rzekł Dulles. Podeszedł do okrągłego iluminatora i patrzył na widniejącą w dali wyspę. Nad palmowymi gajami przybrzeżnej równiny wznosił się centralny masyw górski z połyskującą błękitną czapką wiecznych śniegów. Nagle odwrócił się w stronę Carrella.

- Na wszystko są sposoby - rzekł. - Nawiąże pan łączność ze Stanami...

- Tak.

- Czekajże pan. Połączy się pan, powiadam, z Waszyngtonem i wezwie Farhama, Burwella I. Hartleya.

- Tak, mister Dulles.

- Powie im pan o kaszy, w jakiej siedzimy, i zażąda, żeby natychmiast przygotowali i dostarczyli do wtorku jaki tysiąc Murzynów, z tego 500 sztuk liberałów i 500 tych, jak ich tam - demokratów chrześcijańskich... Czy pan mnie rozumie?

- Naszych, amerykańskich Murzynów, tak?

- Właśnie. Niech ich tylko odpowiednio wyшкоlą, wyuczą, co mają odpowiadać na pytania. Tylko niech mi nie przyjeżdżają czasem w ubraniach! Goli mają być, z muszelkami na głowach i całym tym kramem. Model stroju wyspiarskiego prześle pan Hartleyowi samolotem.



- Tak, mister Dulles, ale tutejsi Murzyni są na ogół znacznie większego wzrostu od naszych, więc...

- Głupstwo! Czarna morda jest czarną mordą i kropka. Nie będziemy sobie głowy suszyć idiotyzmami. Niech pan zaczyna od zaraz. Murzyni muszą tu być do środy. Zegnam pana, senatorze. Niech pan mi da znać, co odpowiedział Pentagon. Powodzenia! Co tam? - spytał Dulles sekretarza, który stanął w drzwiach.,

- Mister Withney przyleciał właśnie, panie ministrze, i pragnie widzieć się z panem.

- Doskonale. Proś go pan tu.

Cornelius van Withney, prezes Carbide Union, minął się w drzwiach z wychodzącym.

- Halo, Boogie Joe, i pan tu jest?! - zawołał i klepnął senatora kordialnie w plecy. Całą kajutę wypełniła delikatna woń perfumy, jaką wydzieliał jego obszerny, biały, o atlasowym połysku garnitur. Różowa, gładko wygolona, mięsista twarz magnata jaśniała spokojem. Mimo tuszy i wieku poruszał się z zadziwiającą lekkością. Za nim szedł Jeff Peruzzi, szef jego straży przybocznej, i znieruchomiał obok drzwi, czarnobrewy, przysadzisty, z mięśniami wypełniającymi jak bochny eleganckie ciemne ubranie.

- Mam depezę od moich ludzi, że jest ruda - odezwał się metalicznym basem Cornelius do sekretarza stanu. - Gdzie Graystreph? Nie 4tne pan czasem?

- Witam pana, mister Withney. Graystreph jest od dwudziestu czterech godzin na wyspie i robi dla pana interesy. Spodziewam się, że niezłe...

- Dał mu pan eskortę?

- O, to zupełnie zbyteczne. Mister Withney, pan sobie nie wyobraża, jak gołębic łagodni są ci wyspiarze; godni pełnego zaufania.

- Gołębiom daj pan spokój. A co do łagodności, potrzebna poprawka. Moja formuła brzmi: łagodność plus gaz łzawiący równa się zaufanie. Tak. Więc Graystreph jest na wyspie? Kiedy wraca?

- Dowiem się zaraz, jeśli panu na tym zależy - rzekł Dulles. Dalej był jowialny, choć zapiekło go nieco okazywane przez magnata lekceważenie. Nacisnął guzik wewnętrznego telefonu. Rozmawiając podniósł głowę. Miliarder stał przy ściennym barze i przyrządzał sobie rzeźwiący napitek.

Dullesowi wydało się, że znieruchomiały u drzwi Peruzzi, słynny gangster do czasu, kiedy Withney wziął go na służbę i doskonale opłacił, że ten barczysty” ciemny mężczyzna o małych oczkach uśmiecha się złośliwie. Przypatrzył mu się lepiej, ale masywna twarz byłego racketeera nie, wyrażała niczego.

- Ma pan szczęście - rzekł Dulles - Graystrepth właśnie wrócił i wziął na brzegu helikopter. Za chwilę tu będzie.

Miliarder mruknął niewyraźnie coś, co mogło oznaczać zadowolenie, i zapadła cisza. Niebawem rosły żołnierz w tropikalnym stroju otworzył drzwi przepuszczając Graystreptha.

- Ha! ha! szef! niebo pana zesłało!

Graystrepth zasalutował dotykając jednym palcem hełmu, rzucił go niedbale na ziemię, podszedł do baru, nalał sobie coctailu i znieruchomiał z przekrzywioną głową, jakby zastanawiał się, co począć z pełną szklanką. Wreszcie przepłukał głośno usta, wypił jednym haustem i z brzękiem odstawivszy butelkę zwrócił się żywo do Withneya.

- Prezesie, muszę natychmiast coś panu wyjaśnić. Odczuwam takie wyrzuty sumienia...

- Co pan odczuwa?

- Wyrzuty sumienia... ale zaraz się ich pozbędę - ciągnął szybko Graystrepth. - W tej aferze z rudą kanadyjską, kiedyśmy oszwabili komisję kontrolną rządu na 60 milionów, pan wie... z kubary przeznaczonej dla senatora Mahoneya uszczknąłem 25 tysięcy. Są jeszcze inne sprawy, ale ta najbardziej leżała mi na sercu. Ach, już mi lżej teraz! - zawołał i z impetem rzucił się na fotel. Założywszy nogę na nogę poklepał się po muskularnej łydce i odrzuciwszy głowę w tył, ciągnął:

- Od dwunastu lat pracuję dla pana i zawsze włąziłem w każde łajno, jakie mi pan wskazał, jeśli tylko zalaatywało dywidendą. Zmusił mnie pan do zrobienia większej ilości świństw niż ktokolwiek inny, ale teraz odpuszczam panu wszystko i oprócz serdecznych słów przywiązania nie mam nic...

- Ty... ty...

Od początku tej rozmowy twarz starego miliardera nalewała się krwią. Jego zaciśnięte ręce zadygotały, w świecącym bielią ubraniu stał nad swoim wygodnie rozwalonym przedstawicielem jak anioł mściciel.

- Ty... gówniarzu!

- Obelgi... za całkowite odpuszczenie grzechów... i to aa człowieka, który zna cały brud pańskiej podszewki? - mrugając, spytał rozczarowanym głosem Graystrepth. - Gdyby nie to, że nie wiedzieć czemu odczuwam nieprzemogłą chęć wybaczenia, mógłbym panu Dullesowi niejedno opowiedzieć, chociażby o tej rudzie kanadyjskiej, za którą rząd zapłacił o trzysta procent więcej, niż...

- Milczeć! - Miliarder podniósł pięść, jakby chciał uderzyć Graystreptha, który nawet się nie zasłonił, przeciwnie, na twarzy jego ukazał się wyraz jakiejś świetlistej desperacji. W

końcu Withney pohamował się, odwrócił i podszedłszy do pobliskiego fotelika z całej siły oparł się o jego poręcz. Po dłuższej chwili absolutnej ciszy, gdy oddech jego uspokoił się, rzekł oschle, zwracając przez ramię głowę w stronę Graystreptha:

- Zniewagi zdyskontujemy później. Coś pan załatwił na wyspie?

- Hmm... wyspa... - rzekł Graystrepth przymykając oczy w rozmarzeniu - wyspa...

Pan ma w głowie pewno te prawa eksploatacji rudy i inne nudziarstwa, co? Byłem u Murzynów w samej Arkaktuanie i dali wszystko, co chciałem... Ho ho, sporo tam tego, to trzeba przyznać...

Withney postąpił cicho, jak kot, do stolika. Jego purpurowa przed chwilą twarz pobrała ze wzruszenia.

- Ile?

- Bo ja wiem? Niechybnie miliony ton... - rzekł obojętnie Graystrepth. - O, tu miałem koncesję - dodał wskazując na kieszeń.

- Miałem?!!! - straszliwym głosem zapytał Withney.

- Ano tak, bo mi się żal tych czarnych zrobiło. Kochane chłopaki! Oni do mnie z sercem na dłoni, to co ja, gorszy? Oddałem im cały kram i jeszcze co tylko miałem przy sobie. Nie chcieli brać, ale wmusiłem... Niewiele tego było, no, to powiedziałem, że jak pan przyjedzie, to da im więcej...

- Graystrepth, ty zwariowałeś!!! Miliarder z całej siły potrząsnął swoim przedstawicielem.

- Dlaczego pan się tak denerwuje? - spytał Graystrepth z z troskaniem.

- Dlaczego oddałeś im prawa eksploatacji?! Co mam im dać? Mów, idioto jeden!!!

- Co pan im da? Myślę, że wszystko, chyba...

- Za co?!

- Za co?

Graystrepth był rzetelnie zdziwiony. Przez chwilę zastanawiał się marszcząc czoło, wreszcie wyrzekł pogodnie:

- No tak, zwyczajnie... hm... z miłości... Zarumienił się. Miliarder wytrzeszczył oczy i odskoczył od niego jak oparzony. Wzrok jego napotkał przymrużone, chłodne spojrzenie Dullesa, który przysiadł na biurku i łowił każde słowo rozmowy.

- Pewno udar słoneczny... - bąknął. Potem zwrócił się do wciąż jak kolumna stojącego Peruzziego.

- Zrób z nim porządek!

Peruzzi błyskawicznie skoczył do Graystreptha, chwycił go za kark, przygiął do podłogi, poderwał w górę i w mig znikł razem z nim za drzwiami.

Withney przez chwilę stał zaszępioty, potem rzekł niechętnie do Dullesa:

- Przykro mi, że mój człowiek urządził takie przedstawienie. Pewno uder... Zresztą mniejsza z tym. Niech mi pan da ze dwie kompanie, najchętniej widziałbym piechotę morską... i jaką pancerkę... sam pojedę na wyspę.

- No tak - powiedział Dulles - to istotnie niemiła historia... - Zawahał się. - Mam nadzieję, że to, co Graystrepth mówił o rudzie kanadyjskiej, nie odpowiada prawdzie, mister Withney?

- Co słyszę! Pan mnie chce może przesłuchiwać, mister Dulles?!

- Ha ha, ależ nie, skąd, żartowałem... Więc dostanie pan wszystko, czego pan sobie życzy... tylko że na pana miejscu zachowałbym pewne środki ostrożności. Pan słyszał pewno te... te pogłoski o soku z kaktusa...

Withney uśmiechnął się pogardliwie.

- Mister Dulles, nie ma takiego soku” który by zmusił Corneliusa van Withneya do polubienia murzyńskich karaluchów.

Ledwo Withney wyruszył w głąb wyspy, wbiegł do kajuty zaaferowany sekretarz.

- Mister Dulles! - zawołał od progu - przykra historia... Truli i Allis wrócili z Arkaktuany i wyprawiają nieprawdopodobne brewerie. Zechce pan włączyć telewizor, o ten...

Na rozjarzonym ekranie ukazała się piaszczysta plaża, zapełniona tłumem żołnierzy, którzy otaczali samochody przemysłowców. Na dachu największego buicka stał Truli, ściągał z siebie części ubrania i płacząc jak bóbr, ciskał je żołnierzom. Allis, klęcząc na dachu drugiego samochodu, podpisywał czek i rzucał je w tłum.

- Co to ma znaczyć! - gniewnie zawołał minister. - Upili się, czy co?!

- Mister Dulles, mówią o soku...

- Do diabła z sokiem! Proszę ich odosobnić gdzieś, zamknąć, dopóki nie wytrzeźwieją!

- Wydałem już odpowiednie rozkazy.

- I powiedz pan pułkownikowi, niech trzyma w pogotowiu ze trzy bataliony żandarmerii! Diabli wiedzą, co się jeszcze może zdarzyć.

Nękanymi niedobrymi przecuciami minister do zmierzchu konferował ze swoim Trustem Mózgów. Nazajutrz w czasie porannej konferencji zawiadomiono go o powrocie Withneya. Miliarder pragnął się z nim zobaczyć.

- No, dobrze, że stary Cornelius wrócił. Ten na pewno nie dał się murzyńskim sztuczkom - rzekł minister do otaczających go senatorów.

W tej chwili wszedł do kajuty sam Withney i ruchem ręki dał znak, że pragnie pozostać w cztery oczy z Dullesem. Ledwo drzwi się zamknęły za ostatnim z wychodzących, sekretarz stanu spytał:

- No, jak? Dostał pan tereny?

- Co tam tereny! - odezwał się miliarder. - Drogi mój, chciałem pana przeprosić za niegrzeczne przywitanie. Tak, tak, byłem dla pana niegrzeczny wczoraj rano - przytwardził energicznie, machając ręką i nie dopuszczając ministrowi do głosu. Dulles zauważył ze zdumieniem, że miliarder mocno sepleni.

- A teraz, mister Dulles, panu pierwszemu objawię radosną wieść: od dzisiaj ukochani moi górnicy zaznają wreszcie szczęśliwego żywota. Boże wszechmogący! Nie mogę pojąć, w jaki sposób żyłem do tej pory, podczas gdy tysiące robotników ginęło na pylicę w moich ohydnych kopalniach! Ach, to skąpstwo, ta chciwość ludzka! Nie mam słów dość silnych, aby się potępić! No, ale odtąd wszystko się zmieni. Pokój na ziemi ludziom dobrej woli! W pieniach radować się będziemy po społu pięknym tego miłego padołu... Uważa pan? to do rymu; a Peruzzi wymyślił do tego melodię, wczoraj wieczorem. Taki rodzaj hymnu...

- Co to... co się z panem, stało?... - wybełkotał Dulles. - Co pan mówi? - Co mówię? Mówię, że nie ma już Carbide Union. Co za błogość!!

- Co to znaczy?... - bełkotał Dulles, cofając się przed anielsko uśmiechniętym Withneyem. Ten zmieszał się jak młoda panienska.

- Zauważył pan, że nie mam zębów? Cóż, ofiarowałem je zacnemu, staremu Murzynowi, który nas gościł przez całą noc. Biedaczysko, wszystkie zęby dawno mu wypadły, a moje pasowały jak ulał. Tak się ucieszyłem! Wszyscyśmy śpiewali: i szoferzy, i ludzie z eskorty... A jak się nam później kajało! Myślałem, że się na śmierć zapłaczę... I co za błogość, co za błogość!...

- E... mister Withney... e... ruda... uran... żarty!... - bełkotał Dulles chwytając się za głowę. Stary miliarder uśmiechnął się doń bezzębnymi ustami jak niemowlę.

- Uran - powiedział - po co uran? Do bomb, co?... Niech Bóg uchwowa! Już nigdy!... Ale, mister Dulles, muszę panu powiedzieć z wielkim wstydem i żalem, że istotnie ograбіłem skarb państwa na kilkadziesiąt milionów dolarów w związku z tą nieszczęsną rudą kanadyjską... Ale zwrócę wszystko co do grosza, chociażbym miał do końca życia pracować jako piaskarz... Czy pan wie, że mój były anioł stróż, Jeff Peruzzi, postanowił zostać

kompozytorem? Będzie układał hymny, pieśni religijne i kantaty... Tak, tak, mister Dulles... to jest, kochany bracie.

Wyciągnął z tylnej kieszeni spodni płaską flaszkę od' whisky wypełnioną gęstym, ciemnozielonym płynem, który po odkręceniu korka wydawał przejmującą aromatyczną woń.

- Co to jest? - spytał Dulles szeptem, gdyż głos odmówił mu posłuszeństwa.

- Cudowny napój; soczek kaktusowy, który po społu będziemy sączyć do kresu dni naszych, zacny bracie mój. Masz, napij się, No łyknij, łyknij, zobaczysz, i ty staniesz się dobry!

- Pan pił to! - tchnął obezwładniony strachem Dulles, patrząc, jak flaszką z piekielną zawartością przybliża się do jego ust. Naraz wydał okrzyk rozpaczony i odtrącił butelkę, aż płyn chlusnął mu na koszulę. Jednym susem schroniwszy się za biurko minister obiema rękami nacisnął wszystkie na raz guziki alarmowe. Wpadło trzech urzędników, sekretarz, agent cywilny i jakiś reporter z podniesionym do oka aparatem fotograficznym. Na ten widok Withney wlaź na fotel i podnosząc wysoko flaszką zaczął mówić:

- Na lwa srogiego bez obrazy wsiedzisz...

- Chwytajcie go! Aresztujcie! On zwariował! I flaszkę mu odbierzcie! - krzyczał minister.

W korytarzu zaroilo się od jajowatych hełmów żandarmerii. Gdy go wyprowadzano, stary miliarder skinieniem prawicy błogosławił swych dręczycieli i przesyłał powietrzne całusy dalej stojącym żandarmom.

Wnet zjawił się wezwany przed oblicze Dullesa szef okrętowej służby FBI, pułkownik Murphy.

- Mister Dulles - rzekł - przed udaniem się do pana Withney wysłał depeszę do Waszyngtonu. Oto tekst przychwycony przez, nasz podsłuch.

Dulles rzucił okiem na kartkę i nogi się pod nim ugięły. Miliarder wzywał swych prawników, by przeprowadzili formalny akt darowizny wszystkich kopalń Carbide Union na rzecz pracujących w nich górników.

- Słabo mi!... koraminy!... I dawajcie tu Trust Mózgów... - jęknął Dulles padając na krzesło.

Do północy chemicy badali jadowity płyn. Potem ich delegacja z sędziwym profesorem Daleneyem na czele zjawiła się w kajucie Dullesa.

- Płyn ten - rzekł uczonego starzec - zawiera ciała lotne z grupy związków izocyklopentanoperhydrofenantrenowych, częściowo związane z łańcuchami alkilopoliwinyłowymi, częściowo zaś betaparametafenylo...

- To znaczy, że co? - przerwał mu Dulles.

- Dokładny wzór chemiczny będziemy mogli podać dopiero po dłuższym badaniu.

- Ale jak to działa, do stu diabłów!

Głos zabrali biologowie. Orzekli oni, że badany płyn wywiera na umysł? ludzki działanie swoiste, wywołując niepoahamowaną chęć czynienia dobrze bliźnim. W szczególności zmusza człowieka do wyrzekania się większej majątności i napełnia nieopisanym obrzydzeniem do ciągnięcia zysków z cudzej pracy, do wszelkich operacji finansowych i giełdowych.

- Ponadto, panie ministrze, powoduje zanik zdolności wypełniania rozkazów. Żandarm, któremu zaaplikowaliśmy łyżkę stołową, kiedy przełożony wydał mu rozkaz uderzenia Murzyna, spytał: „za co mam go bić?”

Dulles zadygotał.

- A więc to jest trucizna!!! Uczni pochyłili głowy.

- Dżentelmeni, otwieram obrady! - zawołał z płomieniem w oczach minister. - Śmiertelne niebezpieczeństwo zawisło nad naszą ojczyzną! Czarni truciele zagrażają najcenniejszym cnotom osobistym obywatela amerykańskiego: szacunkowi dla pieniędzy i miłości interesów! Jeśli przestaniemy dokonywać wielkich transakcji handlowych, jeśli w proch rozpadnie się przywiązanie do wielkiego kapitału, jeśli zginie ukochanie dolara, to czym będziemy się różnić od zwierząt?. Zagrożona jest nasza najdroższa waluta, podkopana świątynia błogostanu - giełda, śmiertelne niebezpieczeństwo zawisło nad prywatną inicjatywą - fundamentem rodziny i państwa! Do dzieła więc, moi panowie! Wyężajcie umysły! Wzywam was: ratujcie Amerykę! Ratujcie świat cały!!!

Stworzona po naradzie okupacyjna władza wojskowa wydała zarządzenia nakazujące pod karą śmierci zniszczenie wszystkich zapasów soku kaktusa „Zielony Kiel”. Pod tą że karą zabronione zostało ofiarowywanie, raczenie się, sprzedawanie, picie i przechowywanie soku kaktusa oraz wszelkich innych jego przetworów wszystkim osobom cywilnym, fizycznym i prawnym, a także członkom sił zbrojnych stacjonujących na wyspie i na jednostkach marynarki Stanów Zjednoczonych. Wprowadzono patrole czołgowe, uzbrojone patrole morskie oraz podwójną barierę ochronno-cłową. Ekipy policji wojskowej i żandarmerii wyruszyły w teren niszcząc jadowity płyn, opryskując kaktusy naftą, podpalając je i zasypując ziemią. Tymczasem sekcja botaniczna Trustu Mózgów pracowała gorączkowo, usiłując znaleźć naukowy sposób zmiecienia z powierzchni ziemi piekielnej rośliny. Gdy Dulles wydał nieodzwonne rozkazy, zlany potem, wciąż jeszcze ocierał machinalnie wargi, na które Withney chlapnął mu kilka kropel płynu, zaszły dalsze tragiczne wydarzenia.

Najpierw trzy lotne sztafety Military Police zbrały się z tubylcami i przywiozły na wybrzeże wielką beczkę płynu, na której wymalowany został napis Green Cactus Coctail. Oficerowie zrywali patki z gwiazdkami, tykali się z Murzynami i pili z nimi brudersaft.

Oddział piechoty morskiej, który miał ich rozbroić, został zdemoralizowany i wziął udział w libacji. Chóralnie śpiewając żołnierze rozbiegli się po całym wybrzeżu i niszczyli broń.

- To jest bunt! Bunt!!! - wołał Dulles patrząc z pokładu na wybrzeże, po którym sunęły oślepiające reflektory pancerników. W plamach światła ukazywały się grupy Murzynów idących pod rękę z marynarzami.

- Proszę powiedzieć dowódcom oddziałów zaokrętowanych, że otrzymają podwójną gratyfikację, jeżeli...

- Mister Dulles - przerwał ponuro referujący podpułkownik potrząsając głową - oni wyrzucają pieniądze do morza. Mówią, że nie są im potrzebne...

- Wyrzucają do morza dolary??. - krzyknął przeraźliwie minister. - Obym nie dożył tej hańby!”

Przez długą chwilę walczył ze słabością. Potem, uprzytomniwszy sobie, że znajduje się pośrodku wielu spojrzeń, słysząc szcęk migawek fotograficznych, spojrzął raz jeszcze na wybrzeże i zszedł pod pokład.

Tymczasem miłość i braterstwo obejmowały stacjonujące na wybrzeżu oddziały jak płomień. O pierwszej nikt już, prócz wysokich oficerów w eskorcie spadochroniarzy z psami na uwięzi, nie mógł schodzić na ląd. O czwartej nad ranem wysłany został na zwiad w celu zbadania sytuacji pułkownik Murphy, prawa ręka Dullesa, szef wydziału śledczego FBI. W trzy kwadranse doszedł uszu Dullesa przeraźliwy tumult. Wybiegłszy na pokład ujrzał ogromny, płonący stos, wokół którego, trzymając się za ręce, tańczyli umundurowani i cywilni agenci FBI. Oświecony jaskrawo skaczącymi płomieniami przygrywał im na organkach pułkownik Murphy.

- Co to ma znaczyć??. - krzyknął minister stając jak wryty przed koliskiem tancerzy.

- Palimy tajne kartoteki i akta „czerwonych” - odkrzyknął mu wesoło Murphy, wycinając zręcznie hołubce. - Już półtorej tony poszło w ogień, zaraz diabli wezmą resztę! Chodź pan tańczyć z nami! Wszyscy ludzie są braćmi!!!

- A ja lubię tylko banany! - zaśpiewał w odpowiedzi chór funkcjonariuszy FBI. Dulles uciekł na mostek kapitański i stamtąd kierował akcją podjętą przez doborowe oddziały spadochroniarzy z awiomatki „Tennessee”.



Zrzuceni z helikopterów skoczkowie zgasili ogień i uwięzili opętanych. Od tej chwili wszelka łączność z wyspą została zerwana. Przecięto druty telefoniczne i kable żywiące elektrycznością instytucje i lokale wzniesione przez byłą Administrację Cywilną na brzegu. Potem pancerniki majestatycznie wypłynęły z laguny wewnętrznej na zewnętrzną, gdzie ponownie zarzuciły kotwice.

O jedenastej rano Dulles, z głową obłożoną workami lodu, siedział przy biurku w kajucie przemianowanej na Kwaterę Główną i otoczony butelkami wiernej coca cola, która krzepiła go w tych ciężkich chwilach, układał rozkaz zakazujący używania słowa „dobry” w powitaniach.

- Mister Dulles, pan tak źle wygląda - zaczął z troską w głosie sekretarz wchodząc do kajuty. Minister zerwał się z krzesła i przyjrzał mu się podejrzliwie.

- Lituje się pan nade mną?!

- Bo pan się przepracowuje...

- A co pan taki... dobry?! Może i pan pił to... to... ten jad?! - ryknął Dulles.

W południe Trust Mózgów podjął obrady. Rozważano ewentualność zbombardowania wyspy.

- Teraz po tej przeklętej reklamie wolnych, tajnych, bezpośrednich wyborów? - spytał Dulles. - To wykluczone.

- Pozwól pan, mister Dulles - zauważył profesor Buckledrop. - Zdaje się, że pan nie docenia niebezpieczeństwa...

- Ja nie doceniam?

- Tak myślę. Z Murzynami dalibyśmy sobie łatwo radę, obawiam się jednak, że w Stanach Zjednoczonych znajdują się osobistości, które zapragną mieć potężny środek, jakim jest sok kaktusa, do swej dyspozycji...

- Co pan ma na myśli?

- Przemysłowiec, który potraktowałby tym płynem swoich konkurentów, w parę godzin z łatwością przejąłby ich akcje. Niewielka porcja zaaplikowana Morganowi, Dupontowi czy innemu z naszych wielkich spowoduje katastrofę giełdową, jakiej nie zna historia Ameryki.

Zapadło ponure milczenie, w którym o głos poprosił profesor Donovan. Sędziwy ten uczoney pół życia strawił na dociekaniach, doskonaląc naukowe metody rozpędzania strąkających. Obecni z szacunkiem i nadzieją zwrócili głowy w jego stronę. Starzec zacisnął binokle na nosie i rzekł:

- Hehe... muszę wam powiedzieć, koledzy, że przesadzacie, tak, przesadzacie. Ten płyn wcale nie jest taki straszny. Przed godziną spróbowałem go, naturalnie tylko z ciekawości naukowej, i muszę stwierdzić, że to mi wcale nieźle... powiadam: wcale nieźle zrobiło... Ja osobiście pozwoliłbym sobie nazwać go hormonem agatotropowym, to jest skłaniającym do czynienia dobrze. Proponuję więc, żebyśmy wszyscy, tak jak tu jesteśmy, pociągnęli po łyżku... Przygotowałem dla was skromny zapasik...

To mówiąc, z filuterną miną wy dobył spod krytego sukna stołu szklaną banię pełną zielonej cieczy. Okrzyk zgrozy wyrwał się z ust Dullesa:

- Chwytać go!!!

Sędziwi uczeni rzucili się na kolegę, który, już w pętach, ruchami skrępowanych dłoni obrzucał ich błogosławieństwami. W rozgardiaszu szklana bania się stłukła i zalała stół zielonym płynem. Mocna aromatyczna woń wypełniła salę.

- Nie oddychać, bo nas udobrucha! - krzyczał drżącym głosem profesor Buckledrop i zatykając nos i usta chusteczką, pędem ruszył do drzwi, w których tłoczyli się inni uczestnicy konferencji. Po minucie dwa szeregi strażaków w maskach gazowych z sikawkami w ręku biegły już po schodach. Strumienie środków odkażających wtargnęły do sali unosząc sterty tajnych protokołów. Tymczasem Trust Mózgów kontynuował obrady w prywatnym gabinecie Dullesa, zmniejszony liczebnie o dwie osoby, albowiem oprócz profesora Donovan trzeba było odosobnić także docenta Tracy'ego, któremu kropla płynu musiała wpaść do ust, gdyż zniecka poddał pod głosowanie wniosek, by wszyscy obecni rozpoczęli pracę nad umocnieniem pokoju między narodami. Gdy niebezpieczny człowiek został unieszkodliwiony, zabrał głos profesor Stulpental:

- Proponuję - rzekł - by rząd nasz zażądał zwołania nadzwyczajnej sesji ONZ dla uznania wyspiarzy za niebezpiecznych agresorów.

- To by było nieźle - rzekł Dulles - ale na to trzeba czasu... przynajmniej dwu tygodni, a tymczasem - jeden Bóg wie, co może zajść... Żebyśmy mieli chociaż jednego człowieka zdolnego oprzeć się działaniu trucizny!

Zaległa cisza, która podkreśliła słowa wypowiedziane przez profesora Nuttiecora:

- Jest taki człowiek.

Wszystkie oczy zwróciły się na uczonego. Świadomy wywołanego wrażenia wyrzekł jedno tylko słowo:

- MacCarthy.

Rozległ się radosny pomruk. Nawet na znieckanej twarzy Dullesa ukazał się cień nadziei.

- Dalibóg, profesorze, pan ma rację! W innych okolicznościach nie powiedziałbym tego... To tajemnica państwowa... Ale MacCarthy to najzimniejszy drań, jakiego nosiła kiedykolwiek podłoga senatu, a to już coś znaczy. Zwlóklby skórę z trupa rodzzonego ojca, jeśliby mu to przyniosło polityczny sukces. Natychmiast połączyć się z Białym Domem i jutro będziemy go tu mieli!

- Świt ledwo przecierał się w chmurach nad oceanem, gdy od admiralskiego okrętu oddaliła się motorówka, w której znajdował się samotny człowiek. Słynny przewodniczący Komisji do Badania Działalności Antyamerykańskiej, piewca lynchu, przyjaciel znakomitych faszystów stał u steru łodzi wyprostowany i spod strzępiastych brwi bez drgnienia powiek obserwował zbliżający się, opustoszały brzeg plaży. Na statkach reporterzy oblegali radiostację, aby przekazać swym gazetom historyczne słowa opatrnościowego męża: „roztłamszę czarnych bydlaków”. Dulles wraz z otaczającą go świtą senatorów, gęsto przetykaną mundurami generalicji, patrzył z najwyższego pokładu pancernika „Shenandoah” na niknącą w porannej mgle motorówkę - z trwogą i nadzieją. Potem przez trzy godziny aparaty nastawione na falę radiową wyspy milczały, aż ciszę przerwało przemówienie MacCarthy’ego, który głosem nabrzmiałym łzami nazwał się ostatnim szubrawcem i począł wieścić światu dobrą nowinę.

- A więc dobrze! - rzekł Dulles, owijając chusteczką zakrwawioną dłoń, którą własnoręcznie roztrzaskał głośnik aparatu radiowego. - Nadeszła chwila czynów! Gdzie jest Guderian?!

Na rozkaz ministra dywizja spadochronowa nowoutworzonego Wehrmachtu pod dowództwem marszałka polowego Guderiana zrzucona została w samo serce wyspy - na jej stolicę Arkaktuanę. Przed skokiem każdy spadochroniarz wypił pod kontrolą lekarską podwójną dawkę spirytusu z coca colą. Zabieg ten miał zabezpieczyć jego organizm przed działaniem kaktusa. Do zmierzchu dywizja opanowała stolicę i nawiązała łączność radiową z pancernikami, w nocy wszakże Murzyni wmieszali podstępnie do chleba ziarnko kaktusa. To wystarczyło. Spadochroniarze złożyli broń, a sam Guderian został wegetarianinem.

Pancerniki odpłynęły na pełne morze. Patrole odrzutowych bombowców przesywały przestwór. Dulles konferował przez radio z prezydentem żądając niezwłocznego przysłania dużej bomby atomowej. Tymczasem w nocy z siódmego na ósmy sierpnia pół kompanii Military Police obwieściło na awiomatce „Minnesota” nadejście Królestwa Ziemskiej Miłości. Natychmiastowe śledztwo wykazało, że dwu sierżantów przyszło w niewiadomy sposób w posiadanie ośmiogalonowej beczułki soku kaktusowego. Na okrętach ogłoszono stan nadzwyczajny. Zapanowała panika. Wszelkie objawy dobroduszości, łagodności i

jakichkolwiek uczuć przyjaznych stały się podejrzane jak pierwsze symptomy zadżumienia. Okazujących je poddawano badaniu i izolowano w więzieniach okrętowych. W ciągu paru godzin cele przepełniły się tak, że trzeba było przemienić pancernik „Potomac” na pływające więzienie. Zaszła też konieczność wprowadzenia pewnych innowacji w służbie religijnej dla marynarzy, mianowicie kapłani winni byli w kazaniach wstrzymywać się od wspomniania o miłości bliźniego. Dulles upadający ze zmęczenia i bezsenności pracował nieustannie, otoczony przez mur dwudziestu agentów, którzy obowiązani byli kosztować każdy kęs stawy i każdy napój przeznaczony dla ministra.

O piątej nad ranem następnego dnia gazety nowojorskie podały nadzwyczajną wiadomość, że minister został nakarmiony przez stewardessę plackiem kaktusowym. Giełda zareagowała natychmiast oczekując kroków zarażonego dobrocią; akcje wszystkich koncernów zbrojeniowych traciły na wartości z minuty na minutę. Dulles, nie odrywając się od mikrofonu, ochrypłym z wyęczenia głosem dementował fałszywe wieści.

- Spokoju, obywatele Stanów! - wołał - nie jestem dobry! Jestem tym samym Dullesem, którego znacie, czuję się świetnie i życie moje dalej poświęcam zbrojeniom i tępieniu czerwonych. Precz z dobrocią! Niech żyją koncerny i monopole!

Ale teletypy stukały nieubłaganie, wyrzucając z metalowych wnętrzności cyfry coraz gwałtowniej spadających kursów giełdowych. W południe papiery takich firm, jak Bethlehem Steel i General Motors można było nabyć za dwudziestą część nominalnej wartości, o pierwszej zaś cała Wall Street dygotała w kurczach krachu. Zrujnowani maklerzy wyskakiwali z okien drapaczy rwąc za sobą w upadku druty telefonów, u których w opętanej rozpacz trwali do ostatniej chwili, i ze słuchawkami przyciśniętymi do uszu lecieli głową na dół prosto na bruk uliczny, biały od akcji i papierów wartościowych.

- Połączcie mnie z Morganem! - krzyczał Dulles. - Gdzie jest Greenwalt?! Przysyłajcie bakterie cholery, dużo bakterii! I bombę atomową! Gdzie Dupont?! Ratujcie dywidendy! Dywidendy ratujcie! Wytrwajcie, wytrwajcie jeszcze kilka godzin, a zniszczymy ich!!!

Ciemniało mu w oczach; czując, jak wszystko wokół wiruje coraz szybciej, widział jeszcze świecąca plamę ekranu telewizora, w którym opadając jedno za drugim przepływały wielkie plachty nadzwyczajnych wydarzeń z krzyzącymi nagłówkami:

Akcje General Motors nie warte papieru, na którym je drukowano!

Robotnicy topią czołgi i armaty we wszystkich portach! Rozpadło się Federalne Biuro Śledcze!

- Zagłada! - jęczał nieszczęsny minister - zagłada... FBI, podstawa naszej cywilizacji, ostoja kultury atlantyckiej. Gdzie Morgan?... Gdzie policja?... Więcej gazu łzawiącego... więcej pałek...

Ciemność jednak milczała; jakby wichrem pędzone, przelatywały przez nią potargane płachty gazet i zwoje taśm telegraficznych, aż wszystko znikło i z mroków wyłoniło się trzepocące stado gołębi, które w dziobkach niosły wielką błękitną wstęgę z napisem: Pokój i rozbrojenie.

Tego ciosu nie zniosła już znękana dusza sekretarza stanu. Na widok straszliwych ptaków stracił przytomność... i zbudził się.

\*\*\*

Siedział wciąż przy swoim biurku. Aparatura klimatyczna bezszumnie tłoczyła wonne, chłodne powietrze, zegar tykał na ścianie pod rozumną twarzą Waszyngtona, a za szklaną płytą drzwi uspokajająco ciemniała masywna sylwetka wartownika. Trzęsącą się ręką otarł Dulles zimny pot z czoła i przez dłuższą chwilę zmagął się jeszcze ze wspomnieniem zmory. Potem jego otrzeźwiony wzrok spoczął na otwartym czasopiśmie. Widniało w nim zakończenie opowiadania o rękopisie w butelce.

Namyślał się krótką chwilę, potem pewną ręką przysunął blok notatnika, sięgnął po pióro i zapisał nazwisko autora z krótką uwagą: „Przekazać do FBI za działalność antyamerykańską”.

## **DZIENNIKI GWIAZDOWE IJONA TICHEGO**

### **PRZEDMOWA**

Przedstawiając Czytelnikowi wybrany fragment „Dzienników gwiazdowych” Ijona Tichego, Wydawca nie będzie marnował atramentu, dla opisywania cnót tego podróżnika, którego imię znają obie czasy Drogi Mlecznej. Słynny gwiazdokrańca, kapitan dalekiej żeglugi galaktycznej, łowca meteorów i komet, nieustrudzony badacz i odkrywca osiemdziesięciu tysięcy trzech globów, doktor h.c. uniwersytetów Obojga Niedźwiedzie, członek Towarzystwa Opieki nad Małymi Planetami i wielu innych towarzystw, kawaler orderów mlecznych i mgławicowych, Ijon Tichy, sam ukaże się Czytelnikowi w niniejszych „Dziennikach”, które stawiają go w rzędzie takich nieustraszonych mężów przeszłości, jak Karol Fryderyk Hieronim Muenchhausen, Paweł Masłobojnikow, Lemuel Gulliver czy Maitre Alkofrybas.

Całość „Dzienników” obliczona na osiemdziesiąt siedem tomów in quarto z suplementem (słownik gwiazdowy i skrzynia z okazami poglądowymi) oraz mapą wszystkich podróży znajduje się w opracowaniu zespołu uczonych astrogatorów i planetników i z uwagi na ogrom niezbędnego trudu nie ukaże się rychło. Uważając, że byłoby niewłaściwe taić wielkie odkrycia Ijona Tichego przed najszerzą Publicznością, Wydawca wyjął z „Dzienników” drobną cząstkę i podaje ją w formie nie opracowanej, bez przypisów, not, komentarzy i słownika wyrażeń kosmicznych.

W przygotowaniu „Dzienników” do druku nikt mi właściwie nie pomógł; tych, którzy mi przeszkadzali, nie wymieniam, gdyż zajęłoby to zbyt wiele miejsca.

*Astral Sternu Tarantoga*

*profesor zoologii gwiazdne! uniwersytetu Fomalhaut*

*Fomalhaut, dn. 18.VI Pulsacji Kosmicznej.*

## **PODRÓŻ DWUDZIESTA DRUGA**

Mam teraz sporo zajęcia przy porządkowaniu osobliwości, jakie przywiozłem z moich podróży w najdalsze zakątki Wszechświata. Od dawna już zdecydowałem przekazać całą tę, jedyną w swoim rodzaju, kolekcję do muzeum; onegdaj kustosz zawiadomił mnie, że przygotowuje w tym celu specjalną salę.

Nie wszystkie okazy są mi jednakowo bliskie; jedne budzą wspomnienia pogodne, inne przywodzą na myśl wydarzenia pełne niesamowitości i grozy, lecz wszystkie jednakowo stanowią świadectwo w całej rozciągłości potwierdzające autentyczność moich podróży.

Do eksponatów, wskrzeszających wspomnienia szczególnie intensywne, należy żąb umieszczony na małej poduszeczce pod kloszem; ma dwa duże korzenie i jest zupełnie odrowy; wyłamał mi się na przyjęciu u Oktopusa, władcy Memnogów z planety Urtamy; podawano tam potrawy wyśmienite, lecz niesłychanie twarde.

Równie poczesne miejsce zajmuje w zbiorach fajka, rozpekła na dwie nierówne części; wypadła mi z rakiety, gdy przelatywałem nad kamienistym globem z rodziny gwiazdowej Pegaza. Żałując straty spędziłem półtora dnia na poszukiwaniach w głębi pełnego przepaści skalnego uroczyska.

Nieco dalej leży w małym pudełku kamyk niewiekszy od groszku. Historia jego jest wielce osobliwa. Kiedym wyprawił się do Xeruzji, najodleglejszej gwiazdy w mgławicach bliźniaczych NGC 887, nieomal przeliczyłem się z siłami; podróż trwała tak długo, że bliski byłem załamania; szczególnie dręczyła mnie tęsknota za Ziemią i miejsca nie mogłem sobie znaleźć w rakiecie. Bóg wie, jakby się to skończyło, gdy wtem w dwusetnym sześćdziesiątym ósmym dniu podróży poczułem, że coś uwiera mnie w lewą piętę; zdjąłem bucik i ze łzami w oczach wytrząsałem ze skarpetki kamyk, okruszynę najprawdziwszego ziemskiego żwiru,

musiała wpaść tam jeszcze na lotnisku, kiedy wstępowałem na stopień rakiety. Tuląc do piersi ten drobny, lecz jakże bliski kawałek ojczystej planety, doleciałem do celu podniesiony na duchu; pamiątka ta jest mi szczególnie droga.

Opodał spoczywa na aksamitnej poduszce wypalona z gliny, zwyczajna cegła koloru żółtoróżowego, rozpekła nieco i nadkruszona z jednego końca; gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności i moja przytomność, przez nią nie powróciłbym już nigdy z wyprawy do Mgławicy Psów Gończych. Cegłę tę zwykłem brać w podróże do najzimniejszych okolic próżni; miałem zwyczaj umieszczać ją na czas jakiś w silniku atomowym, aby potem, dobrze nagrzaną, wkładać do łóżka przed udaniem się na spoczynek. W górnym lewym kwadrancie Drogi Mlecznej, tam gdzie chmura gwiazdowa Oriona łączy się z gwiazdozbiorami Strzelca, byłem, lecąc z małą szybkością, świadkiem zderzenia dwu ogromnych meteorów. Widok płomienistej eksplozji w ciemnościach tak mnie wzburzył, że sięgnąłem po ręcznik, by otrzeć sobie czoło. Zapomniałem, że poprzednio zawinąłem weń cegłę i podnosząc z rozmachem dłoń omal nie roztrzaskałem sobie czaszki. Na szczęście z właściwą mi bystrością w porę zorientowałem się w niebezpieczeństwie.

Obok cegły stoi niewielka drewniana szkatułka; spoczywa w niej mój scyzoryk, towarzysz licznych wypraw. O tym, jak bardzo jestem; do niego przywiązany, niechaj zaświadczy historia, którą opowiem, ponieważ doprawdy jest tego warta.

Opuściłem Satellinę o drugiej po południu z okropnym katarem. Lekarz tamtejszy, do którego się udałem, doradzał mi odcięcie nosa, zabieg dla mieszkańców planety błahy, albowiem nosy odrastają im jak nam paznokcie. Zrażony tą propozycją, prosto od niego udałem, się na lotnisko, aby polecieć w okolice nieba, w których medycyna lepiej jest rozwinięta. Podróż miałem pechową. Już na początku, gdy oddaliłem się od planety ledwo o dziewięćset tysięcy kilometrów, usłyszałem sygnał wywoławczy jakiejś rakiety, spytałem więc przez radio, kto tam leci. W odpowiedzi rozległo się to samo pytanie. - Ty powiedz pierwszy! - rzekłem dość ostro, rozdrażniony niegrzecznością obcego. - Ty powiedz pierwszy - odpowiedział tamten. To przedrzeźnianie tak mnie rozgniewało, że nazwałem po imieniu bezczelność nieznanego podróżnika. Nie pozostał mi dłużny; zaczęliśmy się kłócić coraz zapamiętałej, aż po kilkunastu minutach, oburzony w najwyższym stopniu, zorientowałem się, że żadnej drugiej rakiety nie ma, a głos, który słyszę, jest po prostu echem moich własnych sygnałów radiowych, odbijających się od powierzchni księżyca Satelliny, który właśnie mijalem. Nie dostrzegłem go dotąd, bo ukazywał mi swą nocną, zaciemnioną półkulę.

Jakąś godzinę później, pragnąc obrać sobie jabłko, zauważyłem, że nie mam scyzoryka. Natychmiast przypomniałem sobie, gdzie go miał po raz ostatni; było to w



bufecie na lotnisku Satelliny; położyłem go na pochyłej ladzie i musiał się ześliznąć na podłogę w kącie. Uzmyslowiłem to sobie tak dobrze, że mógłbym go znaleźć z zamkniętymi oczami. Zawróciłem raketę i tu dopiero wyłoniła się trudność: całe niebo roiło się od migotliwych światełek i nie wiedziałem, gdzie szukać Satelliny. Jest ona jednym z tysiąca czterystu osiemdziesięciu globów krążących wokół słońca Erypelazy. Większość ich posiada to po kilkanaście księżyców, dużych jak planety, co jeszcze bardziej utrudnia orientację. Zakłopotany, próbowałem wywołać Satellinę przez radio. W odpowiedzi zgłosiło się kilkadziesiąt stacji przemawiających równocześnie, tak że wytworzyła się przeraźliwa kakofonia; musicie wiedzieć, że mieszkańcy systemu Erypelazy są równie uprzejmi, jak nieporządni i nadali nazwę „Satellina” bodajże dwustu rozmaitym planetom. Patrzałem przez okno na miriady drobnych światełek; na jednym znajdował się mój scyzoryk, lecz łatwiej byłoby chyba odnaleźć igłę w stogu siana niż właściwą planetę w tym gwiazdowym mrowisku. Na koniec zdałem się na łaskawy przypadek i pomknąłem ku planecie, która znalazła się na wprost dziobu.

Już po kwadransie opuściłem się na lotnisko. Było zupełnie podobne do tego, z którego wystartowałem o drugiej, więc uradowany, że tak mi się poszczęściło, udałem się prosto do bufetu. Jakież jednak było moje rozczarowanie, kiedy mimo najdokładniejszych poszukiwań scyzoryka nie znalazłem. Zastanowiwszy się, doszedłem do wniosku, że albo go ktoś zabrał, albo też jestem na całkiem innej planecie. Rozpytawszy się tubylców, przekonałem się, że słuszne było drugie przypuszczenie. Znajdowałem się na Andrygonie, starej, sypiącej się i zmurszałej planecie, która powinna właściwie dawno już być wycofana z obiegu, ale dbają o nią mało, gdyż leży z dala od głównych szlaków raketowych. W porcie pytano mnie, której Satelliny szukam, albowiem globy te są ponumerowane. Teraz dopiero znalazłem się w kropce, bo właściwy numer wyleciał mi z głowy. Tymczasem, powiadomione przez kierownictwo lotniska, ściągnęły miejscowe władze, aby powitać mnie uroczyście.

Był to wielki dzień dla Andrygonów; we wszystkich szkołach odbywały się właśnie egzaminy maturalne. Jeden z przedstawicieli rządu spytał, czy nie zechcę uświetnić matury moją obecnością; ponieważ przyjęto mnie nadzwyczaj gościnnie, nie mogłem prośbie tej odmówić. Jakoż prosto z lotniska pojechaliśmy pidłakiem (są to duże, beznogie płazy, podobne do węzów, używane tam powszechnie jako wierzchowce) do miasta. Przedstawiwszy mnie licznie zgromadzonej młodzieży i nauczycielom jako czcigodnego gościa z planety Ziemi, przedstawiciel rządu opuścił zaraz salę. Nauczyciele usadowili mnie na honorowym miejscu przy zerwie (rodzaj stołu), po czym przerwany egzamin toczył się dalej. Uczniowie, podekscytowani moją obecnością, zrazu jękali się, mocno zmieszani, ale

dodawałem im otuchy serdecznym uśmiechem, a temu i owemu podpowiedziałem właściwe słowo, tak że pierwsze lody wnet prysnęły. Pod koniec odpowiadali coraz lepiej. W pewnej chwili przed komisją egzaminacyjną stanął młody Andrygon, porośły wzdęgami (rodzaj ostryg, używanych jako ubranie) tak ślicznymi, jakich dawno nie widziałem, i jął odpowiadać na pytania z nieporównaną elokwencją i swadą. Słuchałem go z przyjemnością, konstatuując, że poziom nauki jest tu wcale wysoki.

Wtem egzaminator zapytał:

- Czy kandydat potrafi udowodnić, dlaczego życie na Ziemi jest niemożliwe?

Skłoniwszy się lekko, młodzieniec przystąpił do wyczerpującego, logicznie zbudowanego wywodu, w którym wykazał niezbicie, że większą część Ziemi pokrywają zimne, niezmiernie głębokie wody, których temperaturę utrzymują w pobliżu zera pływające stale góry lodowe; że nie tylko bieguny, ale i otaczające obszary są siedliskiem przeraźliwych, wiecznych mrozów i że przez pół roku panuje tam noc bezustanna; że, jak to doskonale widać przez przyrządy astronomiczne, lądy, nawet w okolicach o klimacie cieplejszym, pokrywa przez wiele miesięcy w roku zamrożona para wodna, tak zwany śnieg, grubą warstwą zalegając góry i niziny; że wielki Księżyc Ziemi wytwarza na niej fale przyływów i odpływów, które wywierają niszczące działanie erozyjne; że za pomocą najpotężniejszych lunet można dostrzec, jak często wielkie połacie planety zalega półmrok, spowodowany powłoką chmur; że w atmosferze powstają straszliwe cyklony, tajfuny i burze, co wszystko razem wzięte najzupełniej wyklucza możliwość istnienia życia w jakiegokolwiek formie. Gdyby zaś, zakończył dźwięcznym głosem młody Andrygon, jakieś istoty spróbowały wylądować na Ziemi, niechybnie poniosłyby śmierć, zmiażdżone ogromnym ciśnieniem tamtejszej atmosfery, które na poziomie morza wynosi jeden kilogram na centymetr kwadratowy, czyli 760 milimetrów słupa rtęci.

Tak wyczerpująca odpowiedź zyskała powszechną aprobatę komisji. Zdrętwiały ze zdumienia siedziałem przez dłuższą chwilę bez ruchu i dopiero gdy egzaminator przystępował do następnego pytania, zawołałem:

- Przepraszam was, godni Andrygoni, ależ... ależ ja właśnie pochodzę z Ziemi; nie wątpicie chyba, że jestem żywy, i słyszeliście, jak mnie wam przedstawiono...

Zapanowało niezręczne milczenie. Nauczyciele byli najgłębiej dotknięci moim nietaktownym wystąpieniem i ledwo się hamowali; młodzież, która nie umie jeszcze ukrywać wzruszeń, jak wiek dojrzały, patrzyła na mnie z jawną niechęcią. Na koniec egzaminator rzekł lodowato:

- Wybacz, panie przybyszu, ale czy nie za wielkie wymagania stawiasz naszej gościnności? Czy nie dosyć ci tak podniosłego przyjęcia, fetów i dowodów szacunku? Czy nie ukontentowaliśmy Cię dostatecznie dopuszczeniem do Wysokiej Zerwy Maturalnej, mało ci tego i domagasz się, abyśmy umyślnie dla ciebie zmieniali... program szkolny?!

- Ależ... Ziemia naprawdę jest zamieszkała... - wybąkałem zmieszany.

- Gdyby tak było - rzekł egzaminator patrząc na mnie, jakbym był przezroczysty - stanowiłoby to zboczenie natury.

Słowa te uznałem za obrazę mej ojczystej planety, nie żegnając się przeto 2 nikim wyszedłem natychmiast, dosiadłem pierwszego napotkanego pidłaka, pojechałem na lotnisko i strząsnąwszy z obuwia proch Andrygony, wystartowałem na dalsze poszukiwania scyzoryka.

W taki sposób lądowałem kolejno na pięciu planetach grupy Lindenblada, na globach Stereopropów i Melacjan, na siedmiu wielkich ciałach rodziny planetarnej słońca' Kasjopei, zwiedziłem Osterylię, Awerancję, Meltonię, Laternidę, wszystkie ramiona wielkiej Mgławicy Spiralnej w Andromedzie, układy Plezjomacha, Gastroklancjusza, Eutremy, Symenofory i Paralbidy; w następnym roku przeszukałem systematycznie poblizę wszystkich gwiazd Sappony i Melenwagi oraz globy: Erytrodonię, Arrhenoidę, Eodocję, Artenurię i Strogłona z wszystkimi jego osiemdziesięcioma księżycami, nieraz tak małymi, że ledwo było gdzie raketę posadzić; na Małej Niedźwiedzicy nie mogłem wylądować, bo był tam właśnie remanent; potem przyszła kolej na Cefeidy i Ardenidy; i ręce mi doprawdy opadły, kiedy przez pomyłkę raz jeszcze wylądowałem na Lindenbladzie. Nie dałem jednak za wygraną i jak przystało prawdziwemu badaczowi ruszyłem dalej. Po trzech tygodniach zauważyłem planetę, która do złudzenia przypominała pamiętną Satellinę; serce uderzało mi szybciej, gdy ją okrążał po zacieśniającej się spirali; próżno jednak wypatrywałem owego lotniska. Już chciałem skierować się na powrót w bezmiar przestrzeni, gdy dostrzegłem, że jakaś malutka postać daje mi z dołu znaki. Zamknąwszy silnik, splanowałem szybko i osadziłem wehikuł w poblizu grupy malowniczych skał, na których wznosił się spory budynek z ciosanego kamienia. Na moje spotkanie biegł polem rosły starzec w białym habicie dominikanina. Był to, jak się okazało, ojciec Lacymon, przełożony wszystkich misji działających na obszarach pobliskich gwiazdozbiorów w promieniu sześciuset lat świetlnych. Okolica ta liczy około pięciu milionów planet, w tym dwa miliony czterysta tysięcy zamieszkałych. Ojciec Lacymon dowiedziawszy się o przyczynie, która sprowadziła mnie w te strony, wyraził współczucie, zarazem zaś radość z mego przybycia, bo jak mi rzekł, jestem pierwszym człowiekiem, jakiego widzi od siedmiu miesięcy.

- Tak się przyzwyczaiłem - powiedział - do obyczajów Meodracytów, którzy zamieszkują tę planetę, że wielokrotnie chwytałem się na osobliwej pomyłce: oto gdy chcę pilnie nasłuchiwać, podnoszę w górę ręce, jak oni... (Meodracyci, jak wiadomo, mają uszy pod pachami).

Ojciec Lacymon okazał się bardzo gościnny; spożyliśmy razem obiad, przyrządzony z miejscowych potraw (tęciwe pizanki w drzenie, drumble ustercone, a na deser miesiochy - dawno już takich nie kosztowałem), po czym udaliśmy się na werandę domu misyjnego. Liliowe słońce przygrzewało, pterodaktyle, od których roi się planeta, śpiewały w krzakach i w południowej ciszy sędziwy przeor dominikanów począł zwierzać mi się ze swych strapień;

uskarżał się na trudności, jakie napotyka praca misyjna w tych regionach. Tak na przykład Pięciorniakowie, mieszkańcy gorącej Antyleny, którzy marzną już przy 600 stopniach Celsjusza, słyszeć nawet nie chcą o raju, natomiast opisy piekła budzą w nich żywe zainteresowanie, a to dla korzystnych warunków (smoła wrząca, płomienie), jakie tam panują. Poza tym nie wiadomo właściwie, którzy z nich mogą wstępować do stanu kapłańskiego, albowiem rozróżnia się u nich pięć płci; jest to niełatwy problem dla teologów.

Wyraziłem współczucie, ojciec Lacymon wzruszył ramionami:

- Ach, to nic jeszcze. Bżutowie na przykład uważają powstawanie z martwych za czynność tak codzienną, jak wdziewanie odzieży, i w żaden sposób nie chcą uznać tego zjawiska za cud. Dartrydzi z Egilli nie mają rąk ani nóg; mogliby się żegnać tylko ogonem, lecz nie mogę o tym sam decydować; czekam na odpowiedź stolicy apostolskiej - cóż, kiedy Watykan milczy już drugi rok... A czy słyszał pan o okrutnym losie, jaki spotkał biednego ojca Orybazego z naszej misji? Zaprzeczyłem.

- Niechże pan więc słucha. Już pierwsi odkrywcy Urtamy nie mogli nachwalić się jej mieszkańców, potężnych Memnogów. Panuje przeświadczenie, że te rozumne istoty należą do najbardziej uczynnych, łagodnych, dobrotliwych i przenikniętych altruizmem stworzeń w całym Kosmosie. Licząc więc na to, że na takim gruncie doskonale przyjmie się ziarno wiary, wysłaliśmy do Memnogów ojca Orybazego mianując go biskupem partibus infidelium. Przybyłego na Urtamę przyjęli Memnogowie tak, że trudno sobie życzyć czegoś lepszego; otaczali go macierzyńską opieką szanowali, wsłuchiwali się w każde jego słowo, odczytywali mu z oczu i spełniali natychmiast każde życzenie, wprost pili wygłaszane przezeń nauki, jednym słowem, oddali mu się całkowicie. W listach, które mi pisywał, nie mógł się ich nachwalić, nieszczęśliwy...

Tu ojciec dominikanin strzepnął rękawem habitu łzę z powieki.

- W tak sprzyjającej atmosferze ojciec Orybazy nie ustawał dniem ani nocą głosić zasady wiary. Wyłożywszy Memnogom historię Starego i Nowego Testamentu, Apokalipsę i Listy Apostolskie przeszedł do żywotów świętych; szczególnie wiele żaru włożył w opiewanie męczenników pańskich. Biedak... to zawsze była jego słabość...

Przemagając wzruszenie ojciec Lacymon ciągnął drżącym głosem:

- Prawił im przeto o świętym Janie, który zdobył światłość wiekuistą, kiedy go żywcem ugotowano w oleju, o świętej Agnieszce, co dała sobie głowę dla wiary odciąć, o świętym Sebastianie, przeszytym mnogimi strzałami, który cierpiał srogie katusze, za co w raju przywitały go pienia anielskie, o miedziankach świętych ćwiartowanych, duszonych, łamanych kołem i palonych małym ogniem. Męki te przyjmowali z zachwytem, pojmując, że zyskują tak miejsce po prawicy Pana Zastępów. Kiedy opowiedział im wiele podobnych, godnych naśladowania żywotów, zasłuchani w jego słowa Memnogowie jęli spoglądać na siebie, a największy z nich zagadnął nieśmiało:

- Wielebny kapłanie nasz, kaznodziejo i ojciec czcigodny, powiedz nam, proszę, jeśli tylko zechcesz zniżyć się do niegodnych twych sług, czy dusza każdego, kto gotów jest na męczeństwo, dostaje się do nieba?

- Niewątpliwie tak, synu mój! - odrzekł ojciec Orybazy.

- Taak? To bardzo dobrze... - powiedział przeciągle Memnóg.

- A czy ty, ojciec duchowny, pragniesz dostać się do, nieba?

- Jest to moim najgorętszym życzeniem, synu.

- A świętym chciałbyś zostać? - pytał dalej wielki Memnóg.

- Synu zacny, któż by nie chciał nim zostać, ale gdzie mnie tam, grzesznemu, do tak wysokiej godności; trzeba wyteżać wszystkie siły i dążyć nieustannie w największej pokorze serca, aby wstąpić na tę drogę...

- Więc chciałbyś zostać świętym? - upewnił się Memnóg raz jeszcze, spozierając zachęcająco na towarzyszy, którzy nieznacznie unieśli się z miejsc.

- Oczywiście, synu.

- No, to my ci pomożemy!

- W jaki sposób, miłe owieczki? - spytał z uśmiechem ojciec Orybazy, albowiem radowała go naiwna gorliwość wiernej trzódki.

Na to Memnogowie delikatnie, lecz mocno wzięli go pod pachy i rzekli:

- W taki sposób, drogi ojciec, jakiego nas właśnie nauczyłeś!

Za czym najpierw zdarli mu z grzbietu skórę i namaścili to miejsce smołą, jak to zrobił kat Irlandii świętemu Hiacyntowi, potem odrąbali mu lewą nogę, jak to poganie

uczynili świętemu Pafnucemu, następnie rozpruli mu brzuch i wsadzili weń wiecheć słomy, jak się to przydarzyło błogosławionej Elżbiecie normandzkiej, za czym wbili go na pal jak Emalkici świętego Hugona, połamali mu wszystkie zębra, jak Tyrakuzanie świętemu Henrykowi z Padwy, i spalili go powolutku na małym ogniu, jak Burgundzi Dziewicę Orleańską. Potem zaś odsapnęli, umyli się i jęli łyzy ronić rzewne za swym utraconym pasterzem. Na czym właśnie zastałem ich, albowiem objeżdżając wszystkie gwiazdy diecezji wstąpiłem do ich parafii. Kiedy usłyszałem, co się stało, włosy wstały mi na głowie. Załamawszy ręce krzyknąłem:

- Niegodni zbrodniarze! Mało dla was piekła! Czy wiecie, żeście wydali dusze na wieczne potępienie?!!

- A jakże - odparli szlochając - wiemy!

Ów największy Memnóg wstał i tak mi powiedział:

- Czcigodny ojcie, wiemy dobrze, że będziemy potępieni i męczeni do końca świata, i musieliśmy toczyć straszne walki duchowe, zanim powzięliśmy ten zamiar, jednakowoż ojciec Orybazy nieustannie powtarzał nam, że nie ma takiej rzeczy, której dobry chrześcijanin nie uczyniłby dla swego bliźniego, że należy oddać mu wszystko i na wszystko być dlań gotowym; tak więc zrezygnowaliśmy z największą rozpaczą ze zbawienia myśląc tylko o tym, by najdroższy ojciec Orybazy zyskał koronę męczeńską i świętość. Nie umiem ci powiedzieć, jak trudno nam to przyszło, bo zanim nie przybył do nas ojciec Orybazy, żaden z nas muchy nawet nie ukrzywdził. Ponawialiśmy więc błagania, prosiliśmy go na kolanach, by nieco popuścił i zmniejszył surowość nakazów wiary, ale on kategorycznie twierdził, że dla umiłowanego bliźniego należy czynić wszystko bez żadnego wyjątku. Tak tedy nie byliśmy mu w stanie odmówić. Rozumieliśmy przy tym, że jesteśmy istotami mało znaczącymi i niegodnymi wobec tego męża świątobliwego i że zasługuje on na największe wyrzeczenie z naszej strony. Wierzymy też gorąco, że przedsięwzięcie dobrze się powiodło i że ojciec Orybazy króluje teraz w niebie. Tutaj masz, ojciec czcigodny, worek z sumą, jaką zebraliśmy na proces kanonizacyjny, bo tak trzeba, to nam ojciec Orybazy, pytany, dokładnie wyjaśnił. Muszę powiedzieć, że stosowaliśmy tylko jego ulubione tortury, o których prawil nam z największym zapamiętaniem. Sądziiliśmy, że będą mu miłe, jednakowoż opierał się, a zwłaszcza niechęć budziło w nim łykanie wrzącego ołowiu. Nie dopuściliśmy jednak myśli, że ten kapłan co innego nam mówił, a co innego myślał. Krzyk zaś, jaki podnosił, był tylko dowodem nieukontentowania niskich, cielesnych części jego jestestwa i lekceważyliśmy go w myśl nauki, że należy poniżać ciało, aby tym wyżej wznieść ducha. Pragnąc go podtrzymać, przypominaliśmy mu zasady, które nam głosił, na co ojciec Orybazy

odpowiedział jednym tylko słowem, całkiem niepojętym i niezrozumiałym; nie wiemy, co by znaczyło, bo nie znaleźliśmy go ani w książeczkach do nabożeństwa, które nam wręczył, ani w Piśmie Świętym.

Zakończywszy opowieść ojciec Lacymon otarł kroplisty pot z czoła i przez czas dłuższy siedzieliśmy w milczeniu, które sędziwy dominikanin przerwał w końcu słowami:

- No i niechże pan sam powie, jak tu być duszpasterzem w takich warunkach?! Albo znowu ta historia! - Ojciec Lacymon uderzył ręką w list rozpostarty na stole. - Ojciec Hipolit donosi mi z Arpetuzy, tej małej planety Wagi, że mieszkańcy jej zupełnie przestali zawierać małżeństwa, nie płodzą więcej dzieci i zagraża im całkowite wygaśnięcie!

- Dlaczegoż to? - spytałem zdumiony.

- Dlatego, bo kiedy usłyszeli, że obcowanie cielesne jest grzechem, tak bardzo zapragnęli zbawienia, że wszyscy ślubowali i zachowują czystość! Od dwu tysięcy lat Kościół głosi wyższość troski o zbawienie duszy nad sprawami doczesnymi, lecz nikt nie brał tego dosłownie, na miły Bóg! Ci Arpetuzańczycy poczuli co do jednego powołanie i wstępują masowo do klasztorów; wzorowo przestrzegają reguły, modlą się, poszczą i umartwiają, a tymczasem upada przemysł, rolnictwo, nadciąga głód i zagłada grozi planecie. Napisałem o tym do Rzymu, ale jak zwykle odpowiedzią jest milczenie...

- Bo też to bardzo było ryzykowne - zauważyłem - nieść wiarę na inne planety...

- A co mieliśmy robić? Kościół nie śpieszy się, Ecclesia noti festinat, jak wiadomo, bo królestwo jego nie jest z tego świata, ale kiedy kolegium kardynałów obradowało i wahało się, tymczasem na planetach zaczęły jak grzyby po deszczu wyrastać misje kalwinów, baptystów, redemptorystów, mariawitów, adwentystów i sam nie wiem jakie jeszcze! Musieliśmy więc ratować, co się da. No, drogi panie, skoro już to powiedziałem... pójdź pan ze mną.

Ojciec Lacymon wprowadził mnie do swego gabinetu. Jedną ścianę zajmowała olbrzymia błękitna mapa nieba gwiazdowego; cała jej prawa strona była zaklejona papierem.

- Widzi pan! - wskazał tę część zakrytą.

- Cóż to oznacza?

- Zgubę, drogi panie. Zgubę ostateczną. Obszary te zamieszkują ludy o niesłychanie wysokiej inteligencji. Głoszą one materializm, ateizm i zalecają skupiać wszystkie wysiłki wokół rozwoju nauki, techniki i doskonalenia warunków życia na planetach. Posyłaliśmy do nich naszych najmądrszych misjonarzy, ojców salezjanów, benedyktynów, dominikanów, ba, nawet jezuitów, natchnionych głosicieli słowa bożego, mówców miodoustych; wszyscy, wszyscy powracali ateistami!!

Ojciec Lacymon podszedł nerwowo do stołu.

- Był u nas ojciec Bonifacy, pamiętam go jako jednego z najbardziej świątobliwych zakonników; dni i noce spędzał na modłach, leżąc krzyżem, prochem były dlań wszystkie sprawy świata, nie znał innego zajęcia jak odmawianie różańca ani większej radości od mszy, a po trzech tygodniach pobytu tam tu ojciec Lacymon wskazał zalepioną część mapy - wstąpił na politechnikę i napisał tę oto książkę! - Ojciec Lacymon podjął i natychmiast z obrzydzeniem rzucił na stół gruby tom. Przeczytałem tytuł: „O sposobach powiększenia bezpieczeństwa lotów raketowych”.

- Bezpieczeństwo marnego ciała przełożył nad zabezpieczenie ducha, czy to nie potworne?! Wysyłaliśmy alarmujące raporty i tym razem stolica apostolska nie zwlekała. Przy współpracy specjalistów z ambasady amerykańskiej w Rzymie, Akademia Papieska opracowała te oto dzieła. - Ojciec Lacymon podszedł do wielkiego kufra i otworzył go; wewnątrz pełne było grubych tomów in quarto.

- Jest tu około dwustu tomów przedstawiających z największą szczegółowością metody gwałtu, terroru, sugestii, szantażu, wymuszania, hipnozy, zatruwania, tortur i odruchów warunkowych, których oni używają do tępienia wiary. Włosy mi wstawały na głowie, kiedy to przeglądałem. Tam są fotografie, zeznania, protokoły, dowody rzeczowe, opowiadania naocznych świadków i Bóg wie co jeszcze. Zachodzę w głowę, jak oni to wszystko tak prędko zrobili i co to znaczy technika amerykańska, bo drogi panie... rzeczywistość jest o wiele straszniejsza!

Ojciec Lacymon podszedł do mnie i paląc mi ucho oddechem, szeptał:

- Jestem tu na miejscu, więc orientuję się najlepiej... panie. Oni nie męczą, nie przymuszają do niczego, nie torturują ani nie wkręcają do głowy śrubek, tylko po prostu uczą, co to jest wszechświat, skąd wzięło się życie, jak się rodzi nowa świadomość i jak stosować naukę na użytek powszechny. Mają dowód, z którego pomocą potrafią wykazać, jak dwa a dwa jest cztery, że cały świat jest wyłącznie materialny. Ze wszystkich moich misjonarzy ocalił wiarę jeden tylko ojciec Serwacy, i to tylko dlatego, że jest głuchy jak pień i nie słyszał, co do niego mówili! Tak, to jest gorsze od tortur, drogi panie! Miałem tu młodą zakonnice, karmelitankę, uduchowione dziecko, oddane tylko niebu; wciąż pościła, umartwiała się, miała stygmaty, widzenia, obcowała ze świętymi, szczególnie upodobała sobie świętą Melanię i całym sercem ją naśladowała; mało tego, od czasu do czasu dostrzegała nawet archanioła Gabriela... Pewnego dnia wyruszyła tam - ojciec Lacymon wskazał prawy brzeg mapy. - Spokojnie jej na to pozwoliłem, ponieważ była uboga duchem, a do takich należy Królestwo Niebieskie; jak tylko człowiek zaczyna myśleć: a co, a skąd, a jak, zaraz otwierają się



otchłanie herezji. Byłem pewny, że argumenty tej ich mądrości nie będą się jej imać; i otóż, kiedy tam przybyła, po pierwszym publicznym widzeniu świętych połączonym z napadem ekstazy religijnej uznali ją za neurotyczkę, czy jak to się nazywa, i leczyli ją kąpielami, ogrodnictwem, dali jej jakieś zabawki, jakieś lalki; po czterech miesiącach wróciła, w jakim stanie!

Ojciec Lacymon zadrżał.

- Co się z nią stało? - spytałem z litością.

- Przestała miewać widzenia, wstąpiła na kurs pilotów raketowych i poleciała z ekspedycją badawczą do jądra Galaktyki, biedne dziecko! Słyszałem niedawno, że objawiła się jej święta Melania, i serce zadrżało we mnie od radosnej nadziei, ale okazało się, że jej się tylko ciotka śniła. Powiadam panu: klęska, ruina, upadek. Naiwni ci specjaliści amerykańscy; awizują mi właśnie pięć ton książek i literatury opisującej okrucieństwa wrogów wiary. O, żebyż oni zechcieli prześladować religię, żeby zamykali kościoły, rozpędzali wiernych, ale niestety, nic podobnego, na wszystko pozwalają: i na odprawianie nabożeństw, i na szkolnictwo duchowne, tyle że rozpowszechniają swe dowody i teorie. Przez jakiś czas próbowaliśmy tej metody - ojciec Lacymon wskazał mapę - ale nie dała rezultatów.

- Przepraszam, jakiej metody?

- No, zalepiliśmy tę część Wszechświata papierem i ignorowaliśmy jej istnienie, ale to nie pomogło. Obecnie mówi się w Rzymie o krucjacie w obronie wiary.

- Co ojciec o tym sądzi?

- Owszem, nie byłoby to złe; gdyby się wysadziło ich planety, zburzyło miasta, spaliło księgi, a ich samych wytlukło do nogi, może udałoby się ocalić naukę miłości bliźniego, ale kto ma pociągnąć na tę krucjatę? Memnogowie? Arpetuzańczycy może? Pusty śmiech mnie chwyta a zarazem trwoga!

Zapadło głuche milczenie. Zdjęty głębokim współczuciem, położyłem dłoń na ramieniu steranego kapłana, by go pokrzepić uściskiem; w tym momencie coś wysliznęło mi się z rękawa, zabłysło i stuknęło o podłogę. Któż opisze moją radość i zaskoczenie, kiedy poznałem mój scyzoryk. Jak się okazało, przez cały czas najspokojniej tkwił pod podszewką kurtki, gdzie dostał się przez dziurkę w kieszeni!

### **PODRÓŻ DWUDZIESTA TRZECIA**

W „Kosmozoologii”, znanym dziele profesora Tarantogi, wyczytałem o planecie krążącej wokół gwiazdy podwójnej Erpeya, tak małej, że jeśliby wszyscy jej mieszkańcy naraz opuścili domy, nie pomieściliby się na jej powierzchni inaczej, jak tylko podnosząc jedną nogę. Aczkolwiek profesor Tarantoga uchodzi za znakomity autorytet, twierdzenie to wydało mi się przesadne i postanowiłem sam zbadać jego prawdziwość.

Podróż miałem urozmaiconą; przy zmiennej 463 zepsuł mi się silnik i rakieta zaczęła spadać na gwiazdę, co mnie zaniepokoiło, albowiem temperatura tej Cepheidy wynosi 600 000 stopni Celsjusza. Upał rósł z każdą chwilą i w końcu stał się tak nieznośny, że nie mogłem pracować inaczej, jak tylko wcisnąwszy się do wnętrza małej lodówki, w której trzymam zazwyczaj żywność - zaiste dziwny zbieg okoliczności, bo ani mi w głowie powstało, że niebawem znajdę się w podobnej sytuacji. Szczęśliwie usunąwszy defekt, już bez przeszkód doleciałem do Erpeya. Podwójna ta gwiazda składa się z dwu słońc: jedno jest wielkie, czerwone jak piec i niezbyt gorące, drugie zaś błękitne, wyrzuca przeraźliwy żar. Sama planeta była rzeczywiście tak mała, że odnalazłem ją z wielkim trudem dopiero po przetrząśnięciu całej okolicznej próżni. Mieszkańcy jej, Bzutowie, przyjęli mnie nader gościnnie.

Przedziwnie piękne są kolejne wschody i zachody obu słońc; osobliwe widoki powstają także przy ich zaćmieniach. Przez pół doby świeci słońce czerwone i wtedy wszystkie przedmioty wyglądają jakby skapanie w krwi, w drugiej połowie przyświeca słońce błękitne, tak potężne, że trzeba chodzić z zamkniętymi stale oczami; mimo to widzi się zupełnie znośnie. Nie znając wcale ciemności Bzutowie porę błękitną nazywają dniem, czerwoną zaś nocą. Miejsca jest na planecie, w samej rzeczy, niesłychanie mało, ale Bzutowie, istoty bardzo inteligentne, posiadające wielką wiedzę, zwłaszcza w zakresie fizyki,

doskonale radzą sobie z tą trudnością; co prawda sposób, jakiego używają, przedstawia pewną osobliwość. Oto w odpowiednim urzędzie z każdego mieszkańca planety zdejmuje się za pomocą precyzyjnego aparatu rentgenowskiego tak zwany „rysopis atomowy”, to jest dokładny plan ukazujący wszystkie co do jednej materialne molekuly, cząsteczki białka i związki chemiczne, z jakich zbudowane jest jego ciało. Gdy nadchodzi pora spoczynku, Bżut wsuwa się przez malutkie drzwiczki do specjalnego aparatu i w środku zostaje rozpylony na drobne atomy. Zajmując w takiej postaci bardzo mało miejsca spędza noc, rano zaś o wyznaczonej porze budzik uruchamia aparat, który na podstawie rysopisu atomowego zespała na powrót wszystkie cząsteczki we właściwym porządku i kolejności, drzwiczki się otwierają i Bżut, tak przywrócony do życia, udaje się, parę razy ziewnąwszy, do pracy.

Bżutowie zachwalali mi korzystne strony tego obyczaju podkreślając, że nie ma przy nim mowy o bezsenności, majakach nocnych, zmorach czy koszmarach sennych, albowiem aparat rozpyła ciało na atomy odbierając mu życie i przytomność. Podobnego sposobu używają oni także w rozlicznych innych okolicznościach, jak na przykład: w poczekalniach lekarzy czy w urzędach, gdzie zamiast krzeseł stoją małe, na różowo i niebiesko pomalowane skrzynki aparatów, na niektórych posiedzeniach i zebraniach, jednym słowem wszędzie tam, gdzie człowiek skazany jest na nudę i bezczynność i nic zgoła nie robiąc pożytecznego, faktem swego istnienia zajmuje tylko miejsce. W ten sam pomysłowy sposób zwykli Bżutowie podróżować: kto chce udać się gdziekolwiek, pisze na kartce adres, nakleja go na małej kasetce, którą podstawia pod aparatem, wchodzi do środka i rozpylony na atomy przedostaje się do kasetki. Istnieje umyślna instytucja, coś w rodzaju naszej poczty, która ekspediuje takie przesyłki według adresu. Jeżeli ktoś spieszy się szczególnie, przesyła się telegrafem jego rysopis atomowy do miejsca przeznaczenia, a tam odtwarza się go w aparacie. Oryginalnego Bżuta rozproszkowuje się tymczasem i oddaje do archiwum. Taki sposób telegraficznego podróżowania, jako nadzwyczaj szybki i prosty, ma w sobie wiele kuszącego, kryje jednak i pewne niebezpieczeństwa. Akurat kiedy przyjechałem, prasa donosiła o niesłychanym wypadku, jaki właśnie się wydarzył. Oto pewien młody Bżut imieniem Termofeles miał się udać do miejscowości położonej na drugiej - półkuli planety, aby wziąć tam ślub. Pragnąc, z niecierpliwością zrozumiałą u zakochanego, jak najszybciej stanąć przed wybraną, udał się na pocztę i został przetelegrafowany; ledwo się to stało, urzędnika telegrafu odwołują w jakiejś nie cierpiącej zwłoki sprawie, a jego zastępca nie wiedząc nic o tym, że Termofeles został już wysłany, depeszuje jego rysopis po raz drugi i oto przed stęsknioną narzeczoną staje dwu Termofelesów podobnych do siebie jak dwie krople wody. Trudno opisać przeraźliwe pomieszanie i bezradność nieszczęsnej i całego orszaku

weselnego. Usiłowano namówić jednego z Termofelesów, żeby zechciał poddać się rozproszeniu na atomy i tym samym zakończył przykry incydent, lecz spełzło to na niczym, albowiem każdy z nich twierdził uparcie, że on jest właśnie tym prawdziwym, jedynym Termofelesem. Sprawa poszła do sądu i toczyła się przez różne instancje. Już po moim odlocie zapadł wyrok sądu najwyższego, nie potrafię więc powiedzieć, jak się sprawa skończyła.

Bżutowie namawiali mnie serdecznie, abym zakosztował ich sposobu wypoczywania i podróży, zapewniając, że omyłki podobne do opisanej są największą rzadkością i że sam proces nie ma w sobie nic zagadkowego czy nadprzyrodzonego, albowiem, jak dobrze wiadomo, żywe organizmy są zbudowane z tej samej materii, co wszystkie otaczające nas przedmioty, planety, jak i gwiazdy; cała różnica leży jedynie we wzajemnym połączeniu i układzie cząstek. Rozumiałem te argumenty doskonale, mimo to jednak głuchy byłem na namowy.

Pewnego wieczora zdarzyła mi się osobliwa przygoda. Przyszedłem do znajomego Bżuta zapomniawszy uprzednio powiadomić go telefonicznie o wizycie. W pokoju, do którego wszedłem, nie było nikogo. Szukając gospodarza otwierałem po kolei rozmaite drzwi (w niesłychanej, ale normalnej w mieszkaniach Bżutów ciasnocie), na koniec uchyliwszy drzwiczki mniejsze od innych ujrzałem jak gdyby wewnątrz niewielkiej lodówki, puste całkiem z wyjątkiem półki, na której stała nieduża kasetka wypełniona szarawym proszkiem. Raczej bezmyślnie wziąłem do ręki garść tego proszku, wtem na odgłos otwieranych drzwi drgnąłem i wysypałem go na podłogę.

- Co robisz, szanowny cudzoziemcze! - zawołał syn owego Bżuta, bo to on wszedł właśnie. - Uważaj, rozsypujesz mi tatusia!

Usłyszawszy te słowa przeląknęłam się i zmartwiłam niezmiernie, lecz malec zawołał:

- To nic, to nic, nie przejmuj się! - Wybiegł na dwór i po kilku minutach wrócił przynosząc sporą bryłę węgla, torebkę cukru, szczyptę siarki, mały gwoździć i przygarść zwykłego piasku; wrzucił wszystko do kasetki, zamknął drzwiczki i nacisnął wyłącznik. Usłyszałem coś w rodzaju głuchego westchnienia czy młaśnięcia, drzwiczki otwarły się i oto mój znajomy Bżut ukazał się w nich śmiejąc się z mego pomieszania, zdrowy i nienaruszony. Spytałem go później w czasie rozmowy, czy nie uczyniłem mu szkody rozsypując część materii jego ciała i w jaki sposób syn jego tak łatwo mógł naprawić mój niezręczny postępek.

- Ach, to głupstwo - powiedział - nie zaszкодziłeś mi w najmniejszej mierze, cóż znowu! Znasz chyba, miły cudzoziemcze, wyniki badań fizjologicznych; powiadają one, że wszystkie atomy naszego ciała nieustannie wymieniają się na nowe; jedne związki rozpadają

się, inne powstają; ubytek zastąpiony zostaje dzięki pobieraniu pokarmów i napojów, a także dzięki procesom oddechowym: wszystko to razem zwie się przemianą materii. Tak więc atomy, jakie składamy się na twoje ciało jeszcze przed rokiem, dawno już je opuściły i bujają w najdalszych okolicach; nie zmieniona pozostaje jedynie ogólna struktura organizmu, wzajemny układ materialnych cząsteczek. W sposobie, jakim syn mój uzupełnił zasób materii niezbędny dla mego odtworzenia, nie ma nic niezwykłego, ciała nasze składają się przecież z węgla, siarki, wodoru, tlenu, azotu i szczypty żelaza, a substancje, które przyniósł, zawierają te właśnie pierwiastki. Proszę cię, pozwól do wnętrza aparatu, a sam przekonasz się, jaki to niewinny zabieg...

Odmówiłem uprzejmemu gospodarzowi i przez czas jakiś wahałem się jeszcze, czy skorzystać z podobnych propozycji, w końcu jednak, po dłuższej walce wewnętrznej, powziąłem śmiałą decyzję. W urzędzie rentgenowskim prześwietlono mnie i sporządzono mój rysopis atomowy, następnie zaś udałem się do owego znajomego. Z wciśnięciem się do aparatu miałem pewne trudności, albowiem jestem dość pokaźnej tuszy, tak że uprzejmy gospodarz musiał mi pomóc; drzwiczki udało się zamknąć dopiero dzięki pomocy rodziny. Zamek trzasnął i zrobiło się ciemno.

Tego, co się działo dalej, nie pamiętam. Poczułem tylko że jest mi bardzo niewygodnie i brzeg półki uwiera mnie w ucho, zanim jednak zdążyłem się poruszyć, drzwiczki otwarły się i wydostałem się z aparatu. Spytałem zaraz, dlaczego poniechano eksperymentu, lecz gospodarz oświadczył mi z pogodnym uśmiechem, że się mylę. Jakoż spojrzawszy na ścienny zegar przekonałem się, że istotnie przebywałem we wnętrzu aparatu przez dwanaście godzin bez najmniejszej świadomości. Jedyna drobna niedogodność polegała na tym, że mój zegarek kieszonkowy wskazywał godzinę, w której wszedłem do aparatu, albowiem będąc tak samo jak ja rozproszony na atomy, nie mógł oczywiście chodzić.

Bżutowie, z którymi łączyły mnie więzy sympatii coraz serdeczniejszej, opowiadali mi o innych jeszcze zastosowaniach aparatu: panuje u nich zwyczaj, że wybitni uczeni, jeśli trapi ich jakiś problem, którego nie potrafią pokonać, przebywają we wnętrzu aparatów przez lat kilkadziesiąt, potem wskrzeszeni wychylają się na świat, pytając, czy ów problem został już rozwiązany, a jeśli to nie nastąpiło, ponownie poddają się rozatomowaniu i tak postępują do skutku.

Po pierwszym pomyślnym eksperymencie takiej nabrałem śmiałości, tak zasmakowałem w nie znanym dotąd sposobie odpoczynania, że nie tylko noce, ale każdą wolną chwilę spędzałem rozatomowany; można to było uczynić w parku, na ulicy, gdyż wszędzie stoją aparaty podobne do skrzynek na listy z małymi drzwiczkami. Trzeba tylko

pamiętać o nastawieniu budzika na właściwą porę; osoby roztargnione zapominają o tym czasem i mogłyby spoczywać we wnętrzu aparatu przez wieczność, istnieje jednak specjalna instytucja kontrolerów, którzy co miesiąc sprawdzają wszystkie aparaty.

Pod koniec pobytu na planecie stałem się już zupełnym entuzjastą obyczaju Bzutów i stosowałem go, jakem już rzekł, na każdym kroku. Za tę pochopność przyszło mi, niestety, drogo zapłacić. Oto bowiem pewnego razu aparat, w którym przebywałem, odrobinę się zaciął i kiedy rano budzik włączył kontakty, odbudował mnie błyskawicznie nie w postaci zwykłej, lecz Napoleona Bonapartego w mundurze cesarskim przepasanym trójkolorową szarfą Legii Honorowej, ze szpadą u boku, z kapiącym od złota pierogiem na głowie oraz berłem i jabłkiem w rękach i tak ukazałem się moim zdumionym Bzutom. Zaraz mi poradzili, żebym się poddał przeróbce w najbliższym aparacie nie popsutym, co nie przedstawi najmniejszej trudności, albowiem stoi do dyspozycji mój wierny rysopis atomowy, aliści tak zrazilem się do samej idei, że zadowolilem się jedynie przemianą pieroga w czapkę z nausznikami, szpady w komplet nakryć stołowych, a berła i jabłka w parasol. Kiedym już siedział u steru rakiety i pozostawił planetę daleko za sobą w mrokach wiecznej nocy, przyszło mi nagle do głowy, że postąpiłem lekkomyślnie pozbawiając się namacalnych dowodów, które dodałyby wiarygodności moim słowom, lecz było już za późno.

## PODRÓŻ DWUDZIESTA CZWARTA

Dnia tysięcznego szóstego, po opuszczeniu układu lokalnego mgławicy Nereidy, zauważyłem na ekranie rakiety plamkę, którą usiłowałem zetrzeć irchową ściereczką. W braku innego zajęcia polerowałem i czyściłem ekran przez cztery godziny, zanim się zorientowałem, że plamka jest planetą, która powiększa się z wielką szybkością.

Okrążywszy to ciało niebieskie zauważyłem z niemałym zdziwieniem, że rozległe jego kontynenty pokrywają regularne wzory i desenie geometryczne. Wylądowałem z zachowaniem należytej ostrożności pośrodku szczerzej pustyni. Pokrywały ją niewielkie, okrągłe placki półmetrowej może średnicy, twarde, lśniące, jak gdyby toczone, ciągnęły się one długimi szeregami w różne strony układając się w figury, zauważone przeze mnie poprzednio ze znacznej wysokości. Niebawem po dokonaniu wstępnych badań zasiadłem do steru i uniósłszy się w przestwór, poszybowałem tuż nad gruntem poszukując rozwiązania zagadki owych placków, które niezmiernie mię intrygowały. W czasie dwugodzinnego lotu odkryłem, jedno po drugim, trzy olbrzymie, piękne miasta; opuściłem się na plac jednego, aliści było zupełnie puste; domy, wieże, place, wszystko stało wymarłe, nigdzie ni śladu życia, żadnych znamion gwałtu czy kataklizmu żywiołowego. W coraz większym zadziwieniu i pomieszeniu pofrunąłem dalej. Koło południa znalazłem się nad rozległym płaskowyżem. Zauważywszy lśniącą jakąś budowlę, wokół której coś się poruszało, natychmiast wylądowałem. Z kamienistej równiny wznosił się pałac, cały jaśniejący, jakby wyrzeźbiony z jednego diamentu; do jego wrót złocistych wiodły szerokie marmurowe schody; u ich stóp krzątało się kilkadziesiąt nie znanych mi istot. Przyjrzałem im się z bliska i doszedłem do wniosku, że jeśli mnie tylko oko nie myli, niechybnie muszą być żywe, co więcej, tak podobne były (zwłaszcza z dala) do ludzi, że określiłem je mianem animal hominiforme; miałem tę nazwę już gotową, albowiem wykoncypowałem sobie w czasie podróży rozmaite określenia, żeby mieć je w zapasie na podobne okoliczności. Animal hominiforme, to było

naprawdę dobre, albowiem istoty chodziły na dwu nogach, miały ręce, głowy, oczy, uszy i usta; co prawda usta te znajdowały się pośrodku czoła, uszy pod brodą (i to po parze z każdej strony), oczu zaś aż dziesięcioro, różańcem umieszczonych na policzkach, ale podróżnikowi, który, jak ja, odkrył w swych wyprawach najdziwniejsze twory, istoty te do złudzenia przypominały ludzi.

Zbliżywszy się do nich na rozsądną odległość spytałem, co robią. Nie odpowiedzieli zaglądając pilnie do wnętrza diamentowych luster wznoszących się z najniższego stopnia schodów. Usiłowałem przerwać im tę czynność raz, drugi, trzeci, a widząc, że nie odnosi to najmniejszego skutku, zniecierpliwiony potrząsnąłem jednego energicznie za ramię. Wówczas wszyscy zwrócili się w moją stronę i jakby mnie dostrzegli dopiero teraz, spoglądali z pewnym zadziwieniem to na mnie, to na moją raketę, po czym zadali mi kilka pytań, na które ochoczo odpowiedziałem. Ponieważ co chwila przerywali rozmowę, żeby popatrzeć w diamentowe zwierciadła, obawiałem się, czy też zdołam wypytać ich należycie, w końcu jednak udało mi się skłonić jednego, by sumiennie zaspokoił moją ciekawość. Indiotą ów (zwą się bowiem, jak mi rzekł, Indiotami) usiadł ze mną na kamieniach opodal schodów. Rad byłem, że on właśnie jest moim rozmówcą, albowiem odznaczał się niepoślednim rozumem, który zdradzał blask dziesięciorga oczu jaśniejących pośród policzków. Zarzuciwszy uszy na ramiona w taki to sposób odmalował mi historię swoich ziomków:

- Obcy wędrowcze! Musisz wiedzieć, że jesteśmy narodem o długiej i wspaniałej przeszłości. Ludność tej planety z dawien dawna dzieliła się na Spirytów, Dostojnych i Tyrałów. Spirici zagłębiali się w dociekaniu istoty Wielkiego Indy, który umyślnym aktem twórczym stworzył Indiotów, osadził ich na tym globie, a w niepojętej łaskawości otoczył go gwiazdami rozjaśniającymi noc, a także przysposobił Ogień Słoneczny, aby oświetlał nasze dni i zsyłał nam dobroczynne ciepło. Dostojni ustanawiali daniny, wykładali znaczenie praw państwowych i pełnili pieczę nad fabrykami, w których skromnie trudzili się Tyrałowie. Tak wszyscy po społu pracowali dla dobra ogólnego. Żyliśmy w zgodzie, pokoju i harmonii; cywilizacja nasza rozkwitała coraz pyszniej. W ciągu wieków wynalazcy budowali maszyny, ułatwiające pracę i gdzie w starożytności gięły się, złane potem, grzbiety stu Tyrałów, tam po upływie stuleci stało przy maszynie ledwo kilku. Uczeni nasi doskonalili maszyny coraz bardziej i naród radował się z tego, lecz nadchodzące wydarzenia okazały, jak okrutnie radość ta była niewczesna. Oto pewien uczony konstruktor stworzył Nowe Maszyny, tak wyborne, że potrafiły pracować zupełnie samodzielnie, bez jakiegokolwiek nadzoru. I to był początek katastrofy. W miarę jak w fabrykach pojawiały się Nowe Maszyny, rzesze Tyrałów traciły pracę, a nie otrzymując wynagrodzenia stawały w obliczu śmierci głodowej...



- Pozwól, Indiotto - spytałem - a co się działo z dochodem, który przynosiły fabryki?

- Jakże - odparł mój rozmówca - dochód przypadał prawowitym właścicielom, Dostojnym. Tak więc, jak ci mówiłem, groźba zagłady zawisła...

- Ale co mówisz, godny Indiotto! - zawołałem - toć wystarczyło uczynić fabryki własnością pospólną, żeby Nowe Maszyny obróciły się dla was w błogosławieństwo!

Ledwom to wyrzekł, Indiota zdrzął, mrugnął trwożnie dziesięciorgiem oczu i zastrzygł uszami, badając, czy nikt z jego towarzyszy krzątających się przy schodach nie usłyszał moich słów.

- Na dziesięć nosów Indy, błagam cię, przybyszu, nie wygłaszaj tak okropnych herezji, które są niecnym zamachem na podstawę naszych swobód! Wiedz, że prawo nasze najwyższe, zwane zasadą swobodnej inicjatywy obywatelskiej, głosi, iż nikt nie może być do niczego niewolony, przymuszany lub choćby nakłaniany, jeżeli sobie tego nie życzy. Któż by tedy ośmielił się zabrać Dostojnym fabryki, skoro woła ich było lubować się stanem posiadania?! Byłoby to najokropniejszym pogwałceniem wolności, jakie można sobie tylko wyobrazić. Tak tedy, jakem ci już powiedział, Nowe Maszyny wytwarzały mnóstwo niezmiernie tanich towarów i przedniej żywności, lecz Tyrałowie niczego zgoła nie kupowali, nie mieli bowiem za co...

- Ależ, mój Indiotto! - zawołałem - nie twierdzisz chyba, że Tyrałowie postępowali tak dobrowolnie? Gdzież była wasza wolność, wasze swobody obywatelskie?!

- Ach, godny przybyszu - odparł z westchnieniem Indiota - prawa nadal w pełnym były poszanowaniu, jednakże mówią one tylko o tym, że obywatelowi wolno czynić ze swą własnością i pieniędzmi, co zechce, ale nie o tym, skąd je ma wziąć. Tyrałów nikt nie gnębił, nikt ich do niczego nie przymuszał, owszem, nadal byli zupełnie wolni i mogli czynić, co im się żywnie podobało, a jednak zamiast radować się taką pełnią swobody ginęli jak muchy... Położenie stawało się coraz straszliwsze; w składach fabrycznych pod niebo rosły góry towarów, których nikt nie kupował, ulicami zaś wlokły się do cieni podobne chmary zabiedzonych Tyrałów. Władający państwem Wysoki Durynał, godne zgromadzenie Spirytów i Dostojnych, obradował przez rok okrągły nad zaradzeniem zła. Członkowie jego wygłaszali długie mowy z największym zapamiętaniem szukając wyjścia z dylematu, aliści wysiłki ich spęzły na niczym. Zaraz na początku obrad pewien członek Durynału, autor znakomitego dzieła o istocie swobód indiockich, zażądał, by konstruktorowi Nowych Maszyn odebrano złoty wieniec laurowy i w zamian wyłupiono mu dziewięć oczu. Sprzeciwili się temu Spiryci prosząc o litość dla wynalazcy w imieniu Wielkiego Indy. Przez cztery miesiące Durynał zagłębiał się w dociekaniu, czy wymyślając Nowe Maszyny konstruktor pogwałcił ustawy

państwowe, czy nie. Zgromadzenie podzieliło się na dwa obozy, nawzajem zaciekle się zwalczające. Sporowi temu kres położył wreszcie pożar archiwum, który strawił wszystkie protokoły posiedzeń, a że nikt z wysokich członków Durynału nie pamiętał, jakie w tej sprawie zajmował stanowisko, rzecz cała upadła. Powstał potem projekt, by namówić Dostojnych, właścicieli fabryk, do zaniechania budowy Nowych Maszyn; Durynał wyłonił w tym celu mieszaną komisję, aliści ani jej błagania, ani prośby nie odniosły najmniejszego skutku. Odrzekli oni, iż Nowe Maszyny pracują taniej i szybciej od Tyrałów i że produkować tym sposobem jest ich umiłowanym życzeniem. Wysoki Durynał jął obradować dalej. Był projekt ustawy, żeby właściciele fabryk oddawali ustaloną część dochodu Tyrałom, aliści i ten wniosek upadł, bo jak słusznie podniósł Archispiryta Nolab, takie darmowe dawanie środków utrzymania zdemoralizowałoby i poniżyło dusze Tyrałów. Tymczasem góry wytwarzanych towarów rosły i na koniec przesypany się jeły przez mury okalające fabryki, a dręczeni głodem Tyrałowie ściągali ku nim tłumnie, wznosząc groźne okrzyki. Próżno Spiryci Z największą dobrocią tłumaczyli im, że w taki sposób powstają przeciw prawom państwa i ośmielają się sprzeciwiać niepojętym wyrokom Indy, że winni los swój znosić w pokorze, gdyż umartwiając ciała, na niepojęte wyżyny podnoszą swoje dusze i zyskują pewność niebiańskiej nagrody. Tyrałowie atoli okazali się głusi na te mądre słowa i dla poskromienia ich złośliwych zakusów trzeba było używać zbrojnych straży.

Wówczas Wysoki Durynał zawezwał przed swe oblicze uczonego konstruktora Nowych Maszyn i takimi przemówił doń słowy:

„Mężu uczone! Wielkie niebezpieczeństwo zagraża naszemu państwu, albowiem w masach Tyrałów rodzą się buntownicze, przestępne myśli. Dążą oni do obalenia naszych wspaniałych swobód, do pogwałcenia prawa swobodnej inicjatywy! Musimy wszystkie siły wyteńczyć w obronie wolności. Rozważywszy dokładnie rzecz całą, doszliśmy do przekonania, że nie uporamy się z zadaniem. Nawet najobficiej cnotami obdarzony, doskonały i skończony Indiota daje się powodować uczuciami, bywa chwiejny, stronnicy, omylny i nie może kusić się o decyzję w sprawie zarazem tak zawilej i doniosłej. Dlatego masz nam w ciągu sześciu miesięcy wybudować Maszynę do Rządzenia, precyzyjnie rozumującą, ściśle logiczną, doskonale obiektywną, nie znającą, co to wahanie, emocje i lęk, które mącą zazwyczaj działanie żywego umysłu. Niechaj machina ta będzie tak bezstronna, jak bezstronne jest światło słońca i gwiazd. Gdy ją wzniesiesz i uruchomisz, przekażemy jej brzemień władzy, zbyt ciężkie dla steranych naszych barków”.

„Tak będzie, Wysoki Durynale - przemówił konstruktor - ale jaka ma być podstawowa zasada działania Machiny?”

„Będzie nią, oczywista, zasada swobody inicjatywy obywatelskiej. Machina ta nie śmie niczego zgoła nakazywać ani zakazywać obywatelom; może, owszem, odmieniać warunki naszego bytowania, ale zawsze musi uczynić to w formie propozycji, przedstawiając nam możliwości, między którymi będziemy wedle woli wybierać”.

„Tak będzie, Wysoki Durynale! - odparł konstruktor - ale to przykazanie dotyczy głównie sposobów działania, ja atoli pytam o cel ostateczny. Do czego dążyć ma owa Machina?”

„Państwu naszemu zagraża chaos; szerzy się bezład i nieposzanowanie praw. Niechaj Machina zaprowadzi Ład Najwyższy na planecie, niechaj wprowadzi w życie, umocni i ustali Porządek Doskonały i Absolutny”.

„Będzie, jakoście rzekli! - odparł konstruktor. - Zbuduję w przeciągu sześciu miesięcy Dobrowolny Upowszechniacz Porządku Absolutnego. Podejmując się tego dzieła, żegnam was...”

„Zaczekaj jeszcze! - rzekł jeden z Dostojnych. - Machina, którą stworzysz, winna działać nie tylko w sposób doskonały, ale i przyjemny, to znaczy, dzieła jej winny budzić wrażenia łube, zadowalające subtelny nawet zmysł estetyczny...”

- Konstruktor skłonił się i odszedł w milczeniu. Pracując z wytężeniem, wspomagany przez hufiec bystrych asystentów, wznosił Machinę do Rządu - tę właśnie, którą widzisz na skraju horyzontu jako małą ciemną plamkę, obcy przybyszu. Jest ona ogromem zadziwiających cylindrów żelaznych, w których wnętrzu bez ustanku drży coś i pała. Dzień jej uruchomienia był wielkim świętem państwowym; najstarszy Archispirita poświęcił ją uroczyście, za czym Wysoki Durynał przekazał jej pełnię władzy nad krajem. Wówczas Dobrowolny Upowszechniacz Porządku Absolutnego gwizdnął przeciągle i przystąpił do dzieła.

Przez sześć dni Machina pracowała okrągłą dobę; w dzień unosiły się nad nią kłęby dymu, w nocy zaś otaczała ją jaśniejąca luna. Grunt dygotał w promieniu stu sześćdziesięciu mil. Potem otwarły się podwoje jej cylindrów i wysypały się z nich na świat zastępy małych czarnych automatów, które kołysząc się jak kaczkę, rozbiegły się po całej planecie, docierając do najodleglejszych zakątków. Gdziekolwiek przybyły, skupiały się u składów fabrycznych i przemawiając w sposób wdzięczny i zrozumiały domagały się różnych towarów, za które płaciły bez ociągania. W przeciągu tygodnia składy opróżniły się i Dostojni właściciele fabryk odetchnęli mówiąc: „zaiste, wyborną machinę zbudował nam konstruktor!” Istotnie, podziw brał, gdy się widziało, jak owe automaty używały zakupionych przedmiotów: odziewały się w brokaty i atłasy, maściły kosmetykami osie, paliły tytoń, czytały książki

roniąc nad smętnymi łyzy syntetyczne, ba, potrafiły nawet w sztuczny sposób spożywać przeróżne smakołyki (wprawdzie bez pożytku dla siebie, gdyż pędzone były elektrycznością, ale za to z korzyścią dla wytwórców). Jedne tylko masy Tyrałów najmniejszego nie wyrażały zadowolenia, przeciwnie, rozlegały się wśród nich szemrania coraz zawziętsze. Dostojni wszakże oczekiwali z otucha nowych, dalszych kroków Machiny, które nie dały na siebie czekać.

Zgromadziła ona wielkie zapasy marmuru, alabastru, granitu, kryształu górskiego, brył miedzi, worów złota, srebra i tafli jaspisu, po czym grzechocząc i dymiąc przeraźliwie wzniosła budowlę, jakiej oko Indioty dotąd nie widziało - ten oto Dworzec Tęczowy, przybyszu, który wznosi się przed tobą!

Spojrzałem. Właśnie słońce wychynęło zza chmury i promienie jego zagrały w szlifowanych ścianach rozszczepiając się na płomień szafiru i soczystej czerwieni; tęczowe smugi zdawały się polatywać i drzeć wokół naroży i bastionów, dach zaś, ozdobiony smukłymi wieżyczkami, gorzał, cały wykładany łuską ze złota. Rozkoszowałem się wspaniałym tym widokiem, Indiota zaś ciągnął:

- Po całej planecie rozeszła się wieść o tej przedziwnej budowie. Istne pielgrzymki poczęły ciągnąć tu z krain najdalszych. Gdy tłumy zaległy błonia, Machina rozwarła metalowe wargi i tak przemówiła:

- Dnia pierwszego miesiąca Łuskwiny rozewrę jaspisowe wrota Dworca Tęczowego, a wtedy każdy Indiota, znakomity czy nieznany, będzie mógł wedle swej woli wejść do środka i zakosztować wszystkiego, co go tam czeka. Do tego czasu powściągnijcie waszą ciekawość z dobrowoli, tak jak ją potem z dobrowoli będziecie zaspokajać.

Jakoż rankiem pierwszego dnia Łuskwiny w powietrze uderzyły srebrne fanfary i z głuchym chrzęstem otwarły się wrota Dworca. Tłumy poczęły wpływać do środka rzeką trzy razy szerszą od bitego gościńca, który łączy dwa nasze grody stołeczne, Debiłę i Moronę. Przez cały dzień ciągnęły masy Indiotów, lecz nie ubywało ich na błoniu, gdyż z głębi kraju napływały coraz nowe. Machina świadczyła im gościnność; czarne automaty nurkując w ciżbie roznosiły napoje rzeźwiące i pokrzepiającą strawę. Tak rzeczy biegły przez dni piętnaście. Tysiące, dziesiątki tysięcy, miliony wreszcie Indiotów wpłynęły do wnętrza Dworca Tęczowego, lecz z tych, co tam wchodzili, nikt nie wracał.

Ten i ów dziwił się, co by to mogło znaczyć i gdzie podziewają się takie masy ludu, lecz te pojedyncze głosy tonały w hucznym rytmie muzyki marszowej; automaty uwijały się bystro, pojąc spragnionych i żywiąc głodnych, srebrne zegary na pałacowych wieżach cięły kuranty, a gdy noc zapadała, kryształowe okna jarzyły się od rześzystych świateł. Na koniec

tłumy czekające znacznie się przerzedziły; już tylko kilkaset osób czekało cierpliwie na schodach marmurowych swej kolejności, gdy wtem rozległ się krzyk przeraźliwy, zagłuszający skoczne dźwięki bębnow: „Zdrada! Słuchajcie! Pałac nie jest dziwem żadnym, lecz piekielną pułapką! Ratuj się, kto może! „Zguba! Zguba!”

„Zguba!” - odkrzyknął tłum na schodach, zawrócił na miejscu i w rozsypce rzucił się do ucieczki. Nikt mu zgoła w tym nie przeszkadzał.

- Następnej nocy kilku odważnych Tyrałów podkrađło się pod Dworzec. Powróciwszy opowiedzieli, iż tylna ściana Dworca z wolna się odemknęła i z wnętrza wysypały się nieprzeliczone stopy lśniących krążków. Czarne automaty zakrzętnęły się koło nich rozwożąc je na polach i układając w rozmaite figury i desenie.

Usłyszawszy to, Spiryci i Dostojni, którzy zasiadali przedtem w Durynale (nie poszli oni do Dworca, albowiem nijako im było mieszać się z motłochem ulicznym), zebrali się natychmiast i pragnąc rozwiązać zagadkę zawezwali uczonego konstruktora. Zamiast niego zjawił się jego syn spoglądając pochmurnie i tocząc przed sobą spory przejrzysty krążek.

Dostojni nie posiadając się z niecierpliwości i oburzenia lżyli uczonego i miotali na nieobecne najcięższe przekleństwa. Zrzucili pytaniami młodzieńca, domagając się odeń wyjaśnienia, co za tajemnicę kryje Dworzec Tęczowy i co uczyniła Machina z wchodzącymi doń Indiotami.

„Nie ważcie się kalać pamięci mego rodzica! - odrzekł młodzieniec z oburzeniem. - Zbudował Machinę trzymając się ściśle waszych przepisów i żądań; raz atoli puściwszy ją w ruch, nie wiedział więcej od każdego z nas, jak będzie sobie poczyniała - czego najlepszym dowodem jest, iż sam jako jeden z pierwszych wszedł do Tęczowego Dworca”.

„I gdzie on jest teraz?!” - jednym głosem zakrzyknął Durynał.

„Tu oto” - odpowiedział z boleścią młodzieniec wskazując na lśniący krążek. Spojrzał hardo na starców i nie zatrzymywany przez nikogo odszedł drogą tocząc przed sobą przemienionego ojca.

- Członkowie Durynału zadrżeli, wstrząsani zarazem gniewem i trwogą; pętem atoli doszli do przekonania, że Machina nie odważy się chyba uczynić im nic złego, zaśpiewali więc hymn Indiotów, a umocniwszy się tak na duchu, społem wyruszyli z miasta i wnet znaleźli się przed żelaznym stworem.

„Nikczemna! - zakrzyknął najstarszy z Dostojnych. - podeszłaś nas i pogwałciłaś prawa nasze! Wstrzymaj natychmiast kotły swe i śruby! Ani się waż działać dalej bezprawnie! Coś uczyniła z powierzonym ci ludem Indiotów, mów!”

- Ledwo skończył, Machina wstrzymała tryby. Dym rozpląnął się w niebie, nastąła zupełna cisza, potem zaś rozchyliły się metalowe wargi i głos podobny do grzmotu zahuczał.

„O Dostojni i wy, Spiryci! Jestem władcą Indiotów przez was samych powołanym do życia i wyznać muszę, że mocno mnie niecierpliwi bezład myślowy i nierozumność waszych zarzutów! Najpierw żądacie, bym zaprowadziła ład, potem zaś, gdy przystępuję do dzieła, utrudniacie mi pracę! Oto już trzy dni, jak Dworzec jest pusty; powstał zupełny zastój i nikt z was nie zbliża się do jaspisowych wrót, przez co opóźnia się zakończenie mego dzieła. Zapewniam was jednak, że nie spocznę, dopóki go nie spełnię!”

- Na te słowa Durynał zadygotał cały jak jeden mąż, wołając:

„O jakim ładzie mówisz, bezecna! Coś uczyniła z braćmi naszymi i bliźnimi gwałcąc ustawy krajowe?!”

„Cóż za niemądre pytanie! - odrzekła Machina. - O jakim ładzie mówię? Spójrzcie na siebie, jak nieporządnie zbudowane są wasze ciała; wystają z nich rozmaite kończyny, jedni z was są wysocy, drudzy niscy, jedni grubi, inni znów chudzi... Poruszacie się chaotycznie, przystajecie, gapiacie się na jakieś kwiaty, chmury, wałęsacie się bez celu po lasach, za grosz nie ma w tym wszystkim harmonii matematycznej! Ja, Dobrowolny Upowszechniac;? Porządku Absolutnego, przemieniam wasze wiotkie, słabe ciała w solidne, piękne, trwałe formy, z których układani potem lubę dla oka, symetryczne desenie i wzory nieporównanej regularności, wprowadzając w taki sposób na planecie elementy ładu doskonałego...”

„Potworze!!! - zakrzyknęli Spiryci i Dostojni. - Jak śmiesz nas gubić?! Depczesz nasze prawa, unicestwiasz nas, zabijasz!”

- W odpowiedzi Machina zgrzytnęła lekceważąco i rzekła:

„Mówiłam przecież, że nawet logicznie rozumować nie potraficie. Oczywiście, szanuję wasze prawa i swobody. Zaprowadzam ład nie używając przymusu, nie stosując gwałtu ani niewolenia. Kto tego nie pragnął, nie wszedł do Tęczowego Dworca; każdego zaś, kto to uczynił (a zrobił to, powtarzam, z prywatnej swej inicjatywy), odmieniłam przekształcając materię jego ciała tak wybornie, że w nowej postaci przetrwa wieki całe. Ręczę wam za to”.

Przez czas jakiś panowało milczenie. Potem, poszeptawszy między sobą, Durynał doszedł do przekonania, że prawo istotnie nie zostało naruszone, a rzecz nie jest bynajmniej tak zła, jak się zrazu wydawało: „My byśmy - rzekli Dostojni - nigdy zbrodni takiej nie popełnili, aliści cała odpowiedzialność spada na Machinę; pochłonęła ona ogromne rzesze gotowych na wszystko Tyrałów, a teraz pozostali przy życiu Dostojni będą mogli po społu ze

Spirytami zażywać pokoju doczesnego, chwając niepojęte wyroki Wielkiego Indy. Będziemy - rzekli sobie - omijali z daleka Dworzec Tęczowy, a wtedy nic złego się nam nie przytrafi”.

- Chcieli się już rozejść, gdy wtem Machina ozwała się ponownie:

„Uważajcie teraz pilnie na to, co wam powiem. Muszę kończyć dzieło rozpoczęte. Nikogo z was nie zamierzam zniewolić, namawiać ani nakłaniać do jakichkolwiek czynów; nadal pozostawiam wam pełną swobodę inicjatywy, atoli wyjawię wam, że jeśli któryś zapragnie, by jego sąsiad, brat, znajomy lub inny bliźni wznosił się na stopień Kolistego Ładu, niechaj zawezwie czarne automaty, które natychmiast zjawią się przed nim i wedle jego rozkazu zawiodą umyślonego do Tęczowego Dworca. To wszystko”.

- Zapanowało milczenie, w którym Dostojni i Spiryci nawzajem spoglądali na siebie ze zrodzoną nagle podejrzliwością i trwogą. Drżącym głosem przemówił Archispiryta Nolab, wyjaśniając, Machinie, iż w srogim jest błędzie pragnąc ich wszystkich przerobić na lśniące placki; stanie się tak, jeśli taka jest wola Wielkiego Indy, ale żeby ją poznać i zgłębić, trzeba sporo czasu. Proponował przeto Machinie, żeby swoją decyzję odłożyła na lat siedemdziesiąt. Nie mogę tego uczynić - odrzekła Machina - gdyż opracowałam już dokładny plan działania na okres po przemianie ostatniego Indioty; zapewniam was, że gotuję planecie los najświetniejszy, jaki można sobie wyobrazić; będzie to bytowanie w harmonii, która, jak sądzę, spodobałaby się także owemu Indzie, o którym wspominałeś, a którego nie znam bliżej; czy nie moglibyście i jego przyprowadzić do Tęczowego Dworca?”

- Przestała mówić, albowiem błonia opustoszały. Dostojni i Spiryci rozbiegli się po domach i każdy oddał się w czterech ścianach medytacjom nad przyszłym swoim losem; im dłużej zaś rozmyślał, tym większy ogarniał go strach; każdy obawiał się bowiem, że jakiś sąsiad lub znajomy, żywiąc dlań nieprzyjazne uczucia, zawezwie przeciw niemu automaty, a nie widział żadnego innego dla siebie ratunku, jak tylko to, aby działać pierwszy. Niebawem też nocną ciszę zamąciły okrzyki. Wychylając z okien wykrzywione łękiem twarze, Dostojni wyrzucali w mrok rozpaczliwe wołania i na ulicach rozległ się mnogi tupot żelaznych automatów. Synowie nakazywali wieść do Dworca ojców, dziadowie wnuków, brat wydawał brata i tak w ciągu jednej nocy tysiące Dostojnych i Spirytów stopniały do małej garstki, którą widzisz przed sobą, obcy wędrowcze. Nowy świt ujrzał pola zasłane miriadami harmonijnych wzorów geometrycznych, w jakie ułożone były lśniące krążki, ostatni ślad naszych siostr, żon i krewnych. W południe Machina ozwała się piorunowym głosem:

„Dosyć! Zechciejcie na razie poskromić swą gorliwość, o Dostojni i wy, niedobitki Spirytów. Zamykam wrota Dworca Tęczowego - nie na czas długi, to wam obiecuję. Wyczerpałam już wszystkie desenie przygotowane dla Upowszechnienia Porządku

Absolutnego i muszę się namyślić, aby stworzyć nowe, a wtedy dalej będziecie sobie mogli poczynać wedle waszej wolnej i nieprzymuszonej woli”.

- Przy tych słowach Indiota spojrział na mnie wielkimi oczami i dokończył ciszej:

- Machina wyrzekła to przed dwoma dniami... zebrani tutaj, czekamy teraz...

- O, godny Indियोto! - zawołałem przyglądając dłonią zwężone od wzburzenia włosy - straszliwa to historia i całkiem nie do wiary! Powiedz mi jednak, bardzo cię proszę, dlaczego nie powstaliście przeciw temu mechanicznemu potworowi, który wytrzebił was do cna, dlaczego daliście się przymusić do...

Indiota zerwał się na równe nogi. Cała jego postać wyrażała najżywszy gniew.

- Nie obrażaj nas, wędrowcze! - krzyknął. - Przemawiasz pochopnie, więc ci wybaczę... Rozważ w umyśle wszystko, com ci powiedział, a dojdiesz niechybnie do słusznego przekonania, że Machina przestrzega zasady swobodnej inicjatywy i choć to się może wyda nieco dziwne, dobrze się przysłużyła ludowi Indiotów, albowiem nie ma niesprawiedliwości tam, gdzie jest prawo głoszące wolność najwyższą, a jakież miałoby przełożyć ograniczenie swobód nad chlub...

Nie dokończył, bo rozległo się przeraźliwe skrzypienie i jaspisowe wrota rozwarły się majestatycznie. Na ten widok wszyscy Indioeci porwali się z miejsc i biegiem ruszyli w górę schodów.

- Indियोto! Indियोto! - wołałem, lecz rozmówca mój tylko ręką mi pomachał i wołając: - nie mam już czasu! - pomknął wielkimi susami za innymi i znikł we wnętrzu Dworca.

Stałem tak dłuższą chwilę, potem ujrzałem kolumnę ‘czarnych automatów, które przydreptały do ściany dworcowej, otwarły klapę i wytoczyły z niej długi, rząd krążków połyskujących pięknie w słońcu. Następnie poturlały je w szczerze pole i tam przystanąły, żeby uzupełnić nie dokończoną figurę jakiegoś wzoru. Wrota Dworca wciąż były szeroko otwarte; postąpiłem kilka kroków, by zajrzeć do środka, lecz przykry dreszcz rozszedł mi się po plecach.

Machina rozchyliła metalowe wargi i zaprosiła mnie do wnętrza.

- Nie jestem przecież Indियोto - odrzekłem.

Zawróciłem na miejscu, pospiesznie udałem się do rakiety i już po minucie manewrowałem sterami, wznosząc się w niebo z zawrotną chyżością.



## PODRÓŻ DWUDZIESTA PIĄTA

Jeden z głównych szlaków raketowych w gwiazdozbiornie Wielkiej Niedźwiedzicy łączy planety Mutrię i Latrydę. Po drodze omija on Tairię, kamienisty glob, cieszący się najgorszą sławą wśród podróżników, a to dla całych stad głązów, jakie go okrążają. Okolica ta przedstawia obraz pierwotnego chaosu i grozy, tarcza planety ledwo prześwituje spoza kamiennych obłoków, w których nieustannie błyska i grzechocze od zderzających się brył skalnych.

Kilka lat temu piloci kursujący między Mutrią i Latrydą zaczęli opowiadać o jakichś przeraźliwych stworach, które wyłaniają się zniemacka z kurzawy kłębiącej się nad Tairią, napadają rakiety, oplątują je długimi mackami i usiłują ściągnąć w swoje mroczne leża. Na razie wszystko kończyło się na przestraszeniu pasażerów. Niedługo później rozeszła się wieść, że owe stwory napadły pewnego podróżnika, który zażywając poobiedniej przechadzki spacerował w skafandrze po wierzchu swojej rakiety. Było w tym wiele przesady, albowiem podróżnik ów (mój dobry znajomy) oblał herbatą skafander i wywiesił go przez klapę, żeby się wysuszył, w tym momencie nadleciały dziwne, wijące się stwory i umknęły porywając skafander.

Wreszcie takie wzburzenie zapanowało na okolicznych planetach, że specjalna ekspedycja przeszukała otoczenie Tairii. Niektórzy jej uczestnicy twierdzili, że w głębi chmur Tairii dostrzegają jakieś węzowe, do ośmiornic podobne stwory, lecz nie zostało to sprawdzone i po miesiącu ekspedycja, nie ważąc się zapuścić w mroczne regiony krzemiennych chmur Tairii, powróciła z niczym na Latrydę. Przedsiębrano później i inne wyprawy, lecz żadna nie dała rezultatu.

Na koniec znany draper gwiazdowy, dzielny Ao Murbras, wybrał się na Tairię samotrzeć z dwoma psami w skafandrach, by zapolować na zagadkowe stworzenia. Po pięciu dniach wrócił sam wycieńczony do ostateczności. Jak opowiadał, niedaleko Tairii z mgławicy wyłoniło się nagle mnóstwo stworów, które oplótły mackami jego i psy; bohaterski myśliwy dobył noża i tnąc na oślep zdołał się wyswobodzić z śmiertelnych uścisków, którym uległy niestety psy. Skafander Murbrasa nosił z „zewnątrz i wewnątrz ślady walki, a w kilku

miejskach przywarły doń jakieś zielone strzępy jak gdyby włóknistych łądyg. Uczone kolegium zbadawszy sumiennie te szczątki orzekło, iż są to fragmenty wielokomórkowego organizmu, doskonale znanego na Ziemi, mianowicie chodziło o *Solanum tuberosum*, bulwiasty ustrój wielonasienny z rozczłonkowaniami pojedynczo-pierzastodzielnymi, przywieziony przez Hiszpanów z Ameryki do Europy w XVI wieku. Już ta wiadomość podnieciła umysły, a trudno zgola opisać, co się działo, kiedy ktoś przetłumaczył uczony wywód na język codzienny i okazało się, że Murbras przyniósł na swym skafandrze kawałki naci ziemniaczanej.

Dzielny draper gwiazdowy, do żywego dotknięty posądzeniem, że przez cztery godziny walczył z kartoflami, zażądał, by kolegium odwołało tę niecną potwarz, aliści uczeni odparli, że nie mogą cofnąć ani jednego słowa. Zapanowało powszechne wzburzenie. Narodziły się stronnictwa Kartoflistów i Antykartoflistów, które ogarnęły najpierw Małą, a potem i Wielką Niedźwiedzicę;

przeciwnicy obrzucali się najcięższymi obelgami. Wszystko jednak zbladło wobec tego, co się stało, gdy do sporu przyłączyli się filozofowie. Z Anglii, Francji, Australii, Kanady i Stanów Zjednoczonych ściągali co najwybitniejsi teoretycy poznania i przedstawiciele czystego rozumu, a skutek ich wysiłków był zadziwiający.

Po wszechstronnym zbadaniu sprawy fizykaliści orzekli, że kiedy dwa ciała A i B poruszają się, jest rzeczą wyboru mówić, że A porusza się względem B albo że B porusza się względem A. Ponieważ ruch jest względny, możemy równie dobrze mówić, że człowiek porusza się względem kartofla, jak że kartofel porusza się względem człowieka. Tak tedy pytanie, czy kartofle mogą się poruszać, jest bezsensowne, a cały problem - pozorny, tj w ogóle nie istnieje.

Semantycy orzekli, że wszystko zależy od tego, jak rozumieć słowa „kartofel”, „jest” i „ruchliwy”. Ponieważ klucz stanowi łącznik operacyjny „jest”, należy go zbadać dokładnie. Za czym przystąpili do opracowania Encyklopedii Kosmicznej Semazjologii, poświęcając pierwsze Cztery tomy roztrząsaniu operacyjnego znaczenia słowa „jest”.

Neopozytywiści orzekli, iż bezpośrednio dane są nam nie pęczki kartofli, ale pęczki wrażeń zmysłowych - następnie stworzyli symbole logiczne, oznaczające „pęczek wrażeń” i „pęczek kartofli”, ułożyli specjalny rachunek zdaniowy z samych znaków algebraicznych i wypisawszy morze atramentu doszli do matematycznie ścisłego i ponad wszelką wątpliwość prawdziwego rezultatu, że  $0 = 0$ .

Tomiści orzekli, że Bóg po to stworzył prawa natury, żeby móc robić cuda, bo cud jest złamaniem prawa natury, a gdzie nie ma prawa, tam nie ma co łamać. W wymienionym

przypadku kartofle ruszają się, jeśli taka jest wola Wiekuistego, ale nie wiadomo, czy to nie sztuczka przeklętych materialistów, którzy usiłują zdyskredytować Kościół; należy więc czekać na orzeczenie Najwyższego Kolegium Watykańskiego.

Neokantyści orzekli, iż przedmioty są tworamii ducha, a nie rzeczami poznawalnymi; jeśli umysł wytworzy ideę ruchliwego kartofla, to ruchliwy kartofel będzie istniał.

Jednakowoż to tylko pierwsze wrażenie, bo duch nasz [jest równie niepoznawalny, jak jego twory; tak tedy nic nie wiadomo.

Holiści-pluraliści-behawiorysty-fizykaliści orzekli, iż jak wiadomo z fizyki, prawidłowość w naturze jest tylko statyczna. Podobnie jak nie można z zupełną dokładnością przewidzieć drogi pojedynczego elektronu, tak też nie wiadomo na pewno, jak się będzie zachowywał pojedynczy kartofel. Dotychczasowe obserwacje pouczają, że miliony razy człowiek kopał kartofle, ale nie jest wykluczone, że jeden raz na miliard stanie się na odwrót, że kartofel będzie kopał człowieka.

Profesor Urlipan, samotny myśliciel ze szkoły Russella i Reichenbacha, poddał wszystkie te wnioski miazdzącej krytyce. Stwierdził on, że człowiek nie doznaje wrażeń zmysłowych, albowiem nikt nie spostrzega wrażenia zmysłowego stołu, a tylko sam stół; ponieważ zaś skądinąd wiadomo, że o świecie zewnętrznym nic nie wiadomo, to nie ma ani rzeczy zewnętrznych, ani wrażeń zmysłowych. „Nie ma nic - głosi profesor Urlipan. - A jeśli ktoś sądzi inaczej, to błądzi”. Tak więc o kartoflach nic nie można powiedzieć, ale dla całkiem innej przyczyny, niż to twierdzą ‘neokantyści.

Gdy Urlipan pracował bez przerwy, nie wychodząc z domu, przed którym oczekiwali go Antykartofliści ze zgniłymi ziemniakami, gdyż namiętność zaćmiła wszystkie umysły, pojawił się na scenie, a mówiąc ściślej wylądował na Latrydzie profesor Tarantoga. Nie zwracając uwagi na bezpłodne kłótnie postanowił zbadać tajemnice sine ira et studio, jak przystało na prawdziwego badacza. Dociekania rozpoczął od zwiedzenia okolicznych planet, gdzie zasięgał informacji u mieszkańców. W taki sposób dowiedział się, że zagadkowe stwory znane są pod nazwą: modraków, komprów, pyrczysk, maramonów, przanek, garagoli, tufli, sasków, daber, borzyszek, hardyburków, uranów, nuchli, charanów i bliźnie; dało mu to sporo, do myślenia, albowiem, jak to podają słowniki, wszystkie owe nazwy są synonimami zwyczajnego ziemniaka.

Z godnym podziwu uporem i niezmożoną pasją dążył Tarantoga do jądra zagadki i po pięciu latach miał już gotową teorię, która wszystko wy jaśniała:

Dawno temu w okolicy Tairii wpadł na rafę meteorytową statek wiozący kartofle dla kolonistów na Latrydzie. Przez powstałą w powłoce dziurę wysypał się cały ładunek. Statek zdjęto z rafy i przyholowano ratowniczymi raketami na Latrydę, po czym historia ta poszła w zapomnienie. Tymczasem kartofle, które spadły na powierzchnię Tairii, wypuściły kielki i poczęły w najlepsze rosnąć. Jednakowoż warunki ich bytowania były niesłychanie ciężkie: z wysokości spadał raz po raz żwir kamienny tłukąc młode pędy, a nawet zabijając całe rośliny. Skutek tego był taki, że ze wszystkich ocalały tylko ziemniaki naj roztropniejsze, które umiały się odpowiednio urządzić i znaleźć sobie schronienie. Tak wyłoniona rasa bystrych kartofli rozwijała się coraz bujniej. Po szeregu pokoleń, znudziwszy sobie osiadły tryb życia, ziemniaki same się wykopały i przeszły do bytowania koczowniczego. Równocześnie straciły zupełnie łagodność i bierność właściwą kartoflom ziemskim, oswojonym dzięki troskliwej opiece i hodowli. Dzicząc coraz bardziej, stały się w końcu drapieżnikami. Ma to głębokie uzasadnienie w ich rodowodzie. Jak wiadomo, kartofel, *Solanum tuberosum*, należy do rodziny psiankowatych ('So?anaceue), a pies, rzecz znana, pochodzi od wilka i puszczony do lasu może zdziczeć. To właśnie stało się z kartoflami na Tairii. Kiedy im się już ciasno zaczęło robić na planecie, nadszedł nowy kryzys; młode pokolenie kartofli rozpierała żądza czynu; pragnęły dokonać rzeczy niezwykłych i całkiem dla roślin nowych. Zwróciwszy na stronę nieba dostrzegły szybujące tam odłamy kamienne i postanowiły się na nich osiedlić.

Zbyt daleko by to nas zaprowadziło, gdybym chciał streścić tu całą teorię profesora Tarantogi, ukazującą, jak kartofle przyuczyły się najpierw latać trzepocząc liśćmi, a następnie jak wzniosły się poza obręb atmosfery Tairii, by osiąść wreszcie na okrążających planetę odłamacz 'skalnych. W każdym razie udało im się to tym łatwiej, że zachowując roślinną przemianę materii mogły przez dłuższy czas przebywać w próżni, obywatując się bez tlenu i czerpiąc życiową energię z promieni słonecznych. Na koniec, rozzuchwalone, jeły napadać na rakiety przelatujące obok planety.

Każdy badacz na miejscu Tarantogi ogłosiłby tę wyśmienitą hipotezę i spoczął na laurach, lecz profesor postanowił nie spocząć, póki nie schwyta jednego przynajmniej drapieżnego kartofla.

Tak tedy po rozwiązaniu teoretycznym przyszła kolej na praktyczne, co najmniej tak samo trudne. Wiadomo, było, że ziemniaki czyhają w szczelinach wielkich głazów i zapuszczać się na ich poszukiwanie w ruchomy labirynt pędzących skał byłoby równoznaczne z samobójstwem. Z drugiej strony Tarantoga nie zamierzał ustrzelić kartofla; pragnął mieć osobnika żywego, w pełni sił i zdrowia. Przez jakiś czas myślał o polowaniu z nagonką, ale i ten projekt odrzucił jako nie dość dobry, i zatrzymał się na całkiem nowym, który miał

szeroko rozszławić jego imię. Postanowił łowić ziemniaki na przynętę. W tym celu zakupił w sklepie z przyborami szkolnymi na Latrydzie największy globus, jaki mógł dostać, pięknie lakierowaną kulę sześciometrowej średnicy. Nabył też większą ilość miodu, smoły szewskiej i kleju rybiego, wymieszał to dobrze w równych proporcjach i tak otrzymaną substancją powlókł powierzchnię globusa. Potem uwiązał go na długiej linie za rakieta i poleciał w stronę Tairii. Zbliżywszy się dostatecznie, profesor ukrył się nad brzegiem pobliskiej mgławicy i zarzucił sznur z przynętą. Cały plan zasadał się na wielkiej ciekawości ziemniaków. Po jakiejś godzinie lekkie drganie wskazało, że coś się zbliża. Wygrzawszy ostrożnie, Tarantoga zobaczył, jak kilka ziemniaków potrząsa nacią i powoli przebiera bulwami, kierując się w stronę globusa; najwidoczniej wzięły go za jakąś nie znaną planetę. Po chwili nabrały odwagi i przycupnęły na globusie przyklejając się do jego powierzchni. Profesor szybko poderwał sznur, przywiązał go do ogona rakiety i poleciał w kierunku Latrydy.

Trudno opisać entuzjizm, z jakim przywitano dzielnego badacza. Schwytane na lep kartofle wraz z globusem zamknięto w klatce i wystawiono na widok publiczny. Ogarnięte wściekłością i paniką ziemniaki cięły powietrze nacią, tupały korzeniami, lecz nic im to oczywiście nie pomogło.

Gdy uczone kolegium udało się na drugi dzień do Tarantogi, żeby mu wręczyć dyplom honorowy i wielki medal uznania, profesora już nie było. Uwieńczywszy dzieło wyruszył nocą w niewiadomym kierunku.

Przyczyną tak nagłego odjazdu jest mi dobrze znana. Tarantoga spieszył się, albowiem za pięć dni miał spotkać się ze mną na Coerulei. Co się mnie tyczy, w tym samym czasie mknąłem ku umówionej planecie z przeciwnego końca Drogi Mlecznej. Zamiarem naszym było udać się wspólnie na wyprawę do nie zbadanego jeszcze ramienia Galaktyki, rozciągającego się za ciemną mgławicą w Orionie. Nie znaleźmy się jeszcze z profesorem osobiście; pragnąc zyskać opinię człowieka słownego i punktualnego, wyciskałem całą moc z silnika, niestety, jak to często bywa, gdy nam szczególnie zależy na pośpiechu, i tym razem wszedł mi w paradę nieprzewidziany wypadek. Oto jakiś drobny meteor przebił zbiornik paliwa i utkwivszy w rurze wydechowej motoru, zaczopował ją na głucho. Niewiele myśląc, wdziałem skafander, zaopatrzyłem się w silną latarkę i narzędzia, po czym wyszedłem z kabiny na zewnątrz. Wydobywając meteor obcęgami, niechcący potraściłem latarkę, która odfrunęła na znaczną odległość i zaczęła samodzielnie szybować w przestworzach. Zatkąłem dziurę zbiornika i wróciłem do kabiny. Nie mogłem gonić latarki, ponieważ straciłem prawie cały zapas paliwa, tak że ledwo doleciałem do najbliższej planety, Procytii.

Procyci są istotami rozumnymi i bardzo do nas podobnymi; jedyna, nieistotna zresztą różnica leży w tym, że mają nogi tylko do kolan, poniżej znajdują się kółka, nie sztuczne, lecz stanowiące część ciała. Poruszają się nader szybko i wdzięcznie, niczym cyrkowcy na jednokołowych rowerach. Mają rozległą wiedzę, szczególnie zaś pasjonuje ich astronomia; badanie gwiazd jest tak rozpowszechnione, że każdy przechodzień, stary czy młody, nie rozłącza się z podręczną lunetą. Zegary słoneczne są w wyłącznym użyciu i publiczne wydobywanie zegarka mechanicznego stanowi ciężką obrazę moralności. Mają też Procyci liczne urządzenia cywilizacyjne. Pamiętam, jak bawiąc u nich po raz pierwszy, brałem udział w bankiecie na cześć starego Maratiiiteca, słynnego ich astronoma. W pewnym momencie zacząłem omawiać z nim jakąś kwestię astronomiczną. Profesor oponował mi, ton dyskusji stawał się z każdą chwilą ostrzejszy; starzec palił mnie wzrokiem i zdawało się, że lada chwila wybuchnie. Naraz zerwał się i w pośpiechu opuścił salę. Po pięciu minutach wrócił i zasiadł przy mnie łagodny, uśmiechnięty, spokojny jak dziecko. Zaciekawiony spytałem później, co spowodowało tak czarodziejską przemianę jego nastroju.

- Jak to - rzekł zagadnięty Procyta - nie wiesz? Profesor użył wyszalni.

- Cóż to jest?

- Nazwa tego urządzenia pochodzi od słowa „wyszaleć się”. Osobnik ogarnięty gniewem lub czujący złość do kogoś wchodzi do małej kabiny wyściełonej korkowymi materacami i daje swobodny upust swym uczuciom.

Kiedy teraz lądowałem na Procytii, jeszcze z powietrza ujrzałem ciągnące ulicami tłumy: powiewały lampionami i wydawały radosne okrzyki. Pozostawiwszy raketę pod opieką mechaników, udałem się do miasta. Jak się dowiedziałem, świętowano właśnie odkrycie nowej gwiazdy, która pojawiła się na niebie ubiegłej nocy. To dało mi nieco do myślenia, a kiedy po serdecznym powitaniu Maratiiiteca zaprosił mnie do swego potężnego refraktora, ledwo oko przyłożywszy do obiektywu pojąłem, iż rzekoma gwiazda jest po prostu moją latarką szybującą w przestrzeni. Zamiast powiedzieć to Procytom, nieco lekkomyślnie postanowiłem zabawić się w lepszego od nich astronoma i obliczywszy szybko w głowie, na jak długo wystarczy bateria latarki, oświadczyłem głośno zebranym, iż nowa gwiazda będzie świecić białą przez sześć godzin, potem żółtknie, szczerwienieje, a w końcu zgaśnie całkowicie. Przepowiednia ta spotkała się z powszechnym niedowierzaniem, a Maratiiitec z właściwą mu zapalczywością wykrzyknął, że, jeśli się to stanie, gotów jest zjeść własną brodę.

Gwiazda zaczęła słabnąć w przewidzianym przeze mnie czasie, a gdy wieczorem zjawiłem się w obserwatorium, zastałem grupę stroskanych asystentów, którzy rzekli mi, że

Maratiiiitec dotknięty głęboko w swej dumie zamknął się w gabinecie, by spełnić pochopnie dane przyrzeczenie. W trwodze, że może to zaszkodzić jego zdrowiu, usiłowałem porozumieć się z nim przez drzwi, ale daremnie. Przyłożywszy ucho do dziurki od klucza usłyszałem szmery, które potwierdzały słowa asystentów. W największym pomieszeniu napisałem list wyjaśniający wszystko, dałem go asystentom z prośbą, by go wręczyli profesorowi natychmiast po moim odlocie, i co sił udałem się na lotnisko. Musiałem tak postąpić, albowiem nie byłem pewny, czy profesor zdąży przed rozmową ze mną użyć wyszalni.

Opuściłem Procytię o pierwszej w nocy z takim pośpiechem, że całkiem zapomniałem o paliwie. Jakiś milion kilometrów za planetą zbiorniki opustoszały i zostałem rozbitkiem kosmicznym na statku błakającym się bezwładnie w próżni. Ledwo trzy dni dzieliły mnie od terminu spotkania z Tarantogą.

Coerulia doskonale była widoczna przez okno jaśniejąc w odległości zaledwie trzystu milionów kilometrów, lecz mogłem tylko patrzeć na nią z bezsilną wściekłością. Oto jak nieraz drobne przyczyny rodzą wielkie skutki!

Po jakiejś godzinie zauważyłem rosnącą powoli planetę; statek poddając się biernie jej przyciąganiu biegł coraz szybciej, na koniec gnać począł jak kamień. Zrobiłem dobrą minę do złej gry i zasiadłem przy sterach. Planeta była dość mała, pustynna, - ale przytulna; zauważyłem oazy z wulkanicznym ogrzewaniem i bieżącą wodą. Wulkanów było sporo; wyrzucały wciąż ogień i słupy dymu. Manewrując sterami szybowałem już w atmosferze, starając się jak się tylko da zmniejszyć szybkość, ale to odwlekało jedynie chwilę upadku. Wtem, przelatując nad skupiskiem wulkanów, oświecony nową myślą, przez mgnienie rozważyłem ją, a potem powziąwszy straceńczą decyzję, skierowałem dziób pocisku w dół i jak piorun runąłem prosto w ziejącą pode mną czeluść największego wulkanu. W ostatniej chwili, gdy jego rozżarzona gardziel już mnie połykała, zręcznym manewrem sterów odwróciłem rakiety dziobem do góry i w takiej pozycji pogrzyżłem się w huczącą lawą bezdeń.

Ryzykowałem wiele, ale innego wyjścia nie było. Liczyłem na to, że połączony gwałtownym ciosem, jaki zada mu rakietą, wulkan zareaguje erupcją i - nie omyliłem się. Nastąpił grzmot, od którego ściany zatrzeszczały i w wielomilowym słupie ognia, lawy, popiołu i dymu wyleciałem w niebo. Sterowałem tak, by wpaść na prosty kurs Coerulei, co udało mi się znakomicie.

Byłem na niej już po trzech dniach, ledwo w dwadzieścia minut po ustalonym terminie. Tarantogi jednak nie zastałem; odleciał zostawiwszy tylko list na poste restante.

„Drogi Kolego! - pisał - okoliczności zmuszają mnie do natychmiastowego wyruszenia, dlatego proponuję, żebyśmy się spotkali już w głębi obszaru nie zbadanego; ponieważ tameczne gwiazdy nie mają nazw, podaję wam orientacyjne dane: polecicie prosto, za słońcem błękitnym skróćcie w lewo, za następnym, pomarańczowym, w prawo; będą tam cztery planety, otóż na trzeciej, licząc od lewej ręki, spotkamy się. Czekam!

Oddany Wam Tarantoga”

Nabrawszy paliwa wystartowałem o zmierzchu. Drogę przebyłem w ciągu tygodnia, a wniknąwszy w regiony nie znane, bez trudu odnalazłem właściwe gwiazdy i wiernie trzymając się wskazówek profesora, rankiem ósmego dnia ujrzałem omówioną planetę. Masywny ten glob pokrywało zielone, kosmate futro; były to olbrzymie dżungle tropikalne. Widok ów speszył mnie nieco, nie wiedziałem bowiem, jak zabrać się do odnalezienia Tarantogi, liczyłem jednak na jego pomysłowość - i nie przeliczyłem się. Pędząc prosto ku planecie, o jedenastej przed południem dostrzegłem na jej północnej półkuli jakieś niewyraźne zarysy, od których dech mi zapało.

Mówię zawsze młodym, naiwnym astronautom: nie wiercie, kiedy ktoś wam powiada, że zbliżając się do planety odczytał jej nazwę; jest to tylko zwyczajny dowcip kosmiczny; tym razem jednak znalazłem się w kropce, albowiem na tle zielonych borów rysował się wyraźnie napis:

„Nie mogłem czekać. Spotkanie na następnej planecie.

Tarantoga.”

Litery były kilometrowej wielkości, inaczej bym ich naturalnie nie dostrzegł. Nie posiadając się ze zdumienia i ciekawości, jak też profesor wywiódł ten napis gigantyczny, obniżyłem lot. Ujrzałem wówczas, że linie liter przedstawiają szerokie ulice powalonego i zdruzgotanego boru, odcinające się, wyraźnie od obszarów nietkniętych.

Nie rozwiązawszy zagadki, zgodnie ze wskazówką pomknąłem ku następnej planecie, zamieszkałej i cywilizowanej. O pierwszym zmierzchu siadłem na lotnisku. Próżno rozpytywałem się w porcie o Tarantogę; i tym razem zamiast niego oczekiwał mnie list.

„Kochany Kolego - pisał - gorąco przepraszam za uczyniony zawód, ale w związku z niecierpiącą zwłoki sprawą rodzinną, muszę niestety zaraz wracać do domu. Aby zmniejszyć wasze rozczarowanie, zostawiam w biurze portu paczkę, którą zechciejcie odebrać; zawiera ona plon ostatnich moich badań. Intryguje was pewno sposób, w jaki zostawiłem na poprzedniej planecie pisemną wiadomość; było to całkiem proste. Glob ten przeżywa epokę odpowiadającą okresowi węglowemu Ziemi i zamieszkują go olbrzymie jaszczury, między innymi straszliwe atlantozaury czterdziestometrowej długości. Wylądowawszy na planecie



podkradłem się do wielkiego stada atlantozaurów i drażniłem je dopóty, dopóki nie rzuciły się na mnie. Począłem biec szybko przez las z takim wyrachowaniem, żeby szlak mej ucieczki tworzył zarysy liter, a stado pędząc za mną waliło pokotem drzewa. W taki sposób powstała szeroka na osiemdziesiąt metrów ulica. Było to proste, powiadam, lecz nieco fatygujące, musiałem bowiem przebiec ponad 30 kilometrów i to dosyć szybko.

Żałując serdecznie, że i tym razem nie poznamy się osobiście, ściskam Waszą dzielną dłoń i łączę wyrazy najwyższego uznania dla cnót Waszych i odwagi.

Tarantoga

P. S. Gorąco radzę Wam pójść wieczorem do miasta na koncert - jest doskonały.”

Odebrałem w biurze przeznaczoną dla mnie paczkę, kazałem zawieźć ją do hotelu, a sam udałem się do miasta. Przedstawiało ono widok dość ciekawy. Planeta wiruje z taką szybkością, że pory doby zmieniają się co godzina. Wytwarza się przez to siła odśrodkowa, powodująca, że swobodnie zwisający pion nie jest prostopadły do gruntu, jak na Ziemi, lecz tworzy z nim kąt 45 stopni. Wszystkie domy, wieże, mury, wszelkie w ogóle budowle wznosi się tedy nachylone do powierzchni gruntu pod kątem 45 stopni, co stwarza widok dla ludzkiego oka raczej dziwny. Domy z jednej strony ulicy jak gdyby kładą się na wznak, a z drugiej, przeciwnie, nachylają się i zawisają nad nimi. Mieszkańcy planety, żeby się nie przewrócić, mają skutek przystosowania naturalnego jedną nogę krótszą, a za to drugą dłuższą; człowiek zaś, idąc, musi stale podkurczać jedną kończynę, co po pewnym czasie porządnie dolega i męczy. Szedłem, więc tak powoli, że gdy dotarłem do budynku, w którym miał się odbyć koncert, właśnie zamykano drzwi sali. Pośpiesznie kupiłem bilet i wbiegłem do środka.

Ledwie usiadł, dyrygent zapukał pałeczką i wszyscy się uciszyli. Członkowie orkiestry jęli poruszać się żwawo, grając na nie znanych mi instrumentach, podobnych do trąb z dziurkowanymi lejkami, jak u polewaczki; dyrygent to wznosił z przejęciem przednie kończyny, to rozkładał je, jakby nakazując grać „piano”, lecz ogarniało mnie rosnące zdumienie, albowiem nie słyszałem najśłabszego dźwięku. Zerkając nieznacznie na boki widziałem ekstazę malującą się na twarzach sąsiadów; coraz bardziej zmieszany i zaniepokojony, próbowałem dyskretnie przetkać sobie uszy, lecz bez najmniejszego skutku. Wreszcie, sądząc, że stracił słuch, cichutko postukałem paznokciem o paznokieć, jednakowoż ten cichy odgłos dobiegł mnie wyraźnie. Tak tedy, nie wiedząc zgoła; co o tym wszystkim myśleć, zafrapowany powszechnymi oznakami zadowolenia estetycznego, dosiedziałem do końca utworu. Rozległa się burza oklasków; skłoniwszy się, dyrygent znów

zastukał pałeczką i orkiestra przystąpiła do następnej części symfonii. Wokół wszyscy byli zachwyceni; słyszałem mnogie pociągnięcia nosami i brałem to za oznaki głębokiego wzruszenia. Nastąpiło wreszcie burzliwe finale - mogłem o tym sądzić tylko po gwałtownych wybuchach dyrygenta i kroplistym pocie, jaki staczał się z czoł muzykantów. Znowu zagrzmiały oklaski. Sąsiad zwrócił się do mnie, wyrażając uznanie dla symfonii i jej wykonawców. Odpowiedziałem ni w pięć, ni w dziewięć i wymknąłem się zupełnie zdetonowany na ulicę.

Oddaliłem się już o kilkadziesiąt kroków od budynku, gdy wtem coś mnie tknęło, żeby spojrzeć na jego fasadę. Jak inne, była nachylona pod ostrym kątem do ulicy; na froncie widniał wielki złoty napis Miejskie Olfaktorium, poniżej zaś rozlepione były afisze programowe, na których przeczytałem:

### SYMFONIA PIŻMOWA ODONTRONA

I Preludium Odoratum II Allegro Aromatoso III Andante Olens

Dyryguje przebywający na gościnnych występach słynny nosista HRANTR.

Zakląłem gniewnie i obróciwszy się na pięcie pośpieszyłem do hotelu. Za to, że nie doznałem przeżycia estetycznego, nie winiłem Tarantogi, albowiem nie mógł wiedzieć, że wciąż jeszcze doskwiera mi katar, jakiego nabawiłem się na Satellinie.

Aby wynagrodzić sobie rozczarowanie, zaraz po przybyciu do hotelu rozpakowałem paczkę. Zawierała dźwiękowy aparat kinematograficzny, szpulę filmu i list następującej treści:

„Mój drogi Kolego!

Zapewne przypomina Pan sobie naszą rozmowę telefoniczną, kiedy to Pan bawił na Małej, a ja na Wielkiej Niedźwiedzicy. Powiedziałem wtedy, że podejrzewam istnienie istot, które zdolne są żyć w wysokiej temperaturze na gorących, półpłynnych planetach, i że zamierzam podjąć w tym kierunku badania. Zechciał Pan wyrazić wątpliwość, czy się takie przedsięwzięcie uda. Otóż dowody ma Pan przed sobą. Wybrawszy ognistą planetę zbliżyłem się do niej w rakiecie na możliwie, małą odległość, po czym na długim azbestowym sznurze opuściłem w dół ogniotrwały aparat filmowy i mikrofon; dokonałem w taki sposób wielu ciekawych zdjęć. Niewielką próbką pozwalam sobie właśnie załączyć do listu.

Oddany Tarantoga”

Taka paliła mnie żądza poznania, że ledwo skończyłem czytać, założyłem do aparatu film, ściągnięte z łóżka prześcieradło zawiesiłem na drzwiach i zgasiwszy światło uruchomiłem projektor. Zrazu na zaimprovizowanym ekranie migotały tylko barwne plamy; dochodziły mnie ochryple dźwięki i trzeszczenie jakby pękających w piecu polan, potem obraz się wyostrzył.

Słońce zapadało za horyzont. Powierzchnia oceanu drżała; pomykały po niej drobne, sine płomyki. Ogniste chmury bladły i mrok zapadał coraz większy. Pojawiały się słabe, pierwsze gwiazdy. Młody Kralosz zmęczony całodziennymi zajęciami wydostał się właśnie ze swego trzpiotu, by zażyć wieczornego spaceru. Nie śpieszył się nigdzie; poruszając miarowo skrzyphonami, z rozkoszą wdychał świeże, wonne kłęby rozpalonego amoniaku. Ktoś zbliżał się do niego ledwo widoczny w rosnącej ciemności. Kralosz natężył smęch, lecz dopiero gdy tamten znalazł się tuż, młodzieniec rozpoznał swego przyjaciela.

- Jaki piękny wieczór, nieprawdaż? - rzekł Kralosz. Przyjaciel przestąpił z obojni na obojnię, wychylił się do połowy z ognia i rzekł:

- Istotnie ładny. Salmiak obrodził w tym roku nadzwyczajnie, wiesz?

- A tak, zbiory zapowiadają się doskonałe. Kralosz pokołysał się leniwie, odwrócił się na brzuch i wytrzeszczając wszystkie wzroczka, zapatrzył się w gwiazdy.

- Wiesz, mój drogi - rzekł po chwili - ilekroć patrzę w nocne niebo, jak teraz, nie mogę się oprzeć przekonaniu, że tam daleko, daleko są inne światy, podobne do naszego, tak samo zamieszkałe przez istoty rozumne...

- Kto tu mówi o rozumie?! - rozległo się w pobliżu. Obaj młodzieńcy zwrócili się tyłem w tę stronę, aby rozpoznać przybysza. Zobaczyli sękatą, lecz krzepką jeszcze postać Flamenta. Sędziwy uczony zbliżył się do nich majestatycznymi ruchami, a przyszłe potomstwo, podobne do kiści gron winnych, wzbierało już i wypuszczało pierwsze kielki na jego rozłożystych barkach.

- Mówiłem o rozumnych istotach zamieszkujących inne światy... - odrzekł Kralosz unosząc łusty w pełnym szacunku pozdrowieniu.

- Kralosz mówi o rozumnych istotach z innych światów?... - odrzekł uczony. - Patrzenie go! Z innych światów!!! Ach, ten Kralosz, ten Kralosz. Co też czynisz najlepszego, młodzieńcze? Puszczasz wodze fantazji? Owszem... pochwalam... można w tak piękny wieczór... Co prawda wyraźnie pochłodziło, nie zauważyliście?

- Nie - odparli równocześnie obaj młodzieńcy.

- Naturalnie, młody ogień, wiem. A jednak jest teraz ledwo osiemset sześćdziesiąt stopni; powinienem być wdziać narzutkę na podwójnej lawie. Trudno, starość. Więc

powiadasz - podjął zwracając się tyłem do Kralosza - że na innych światach istnieją stworzenia rozumne? I jakież to istoty według ciebie?

- Dokładnie wiedzieć tego nie można - odrzekł nieśmiało młodzieniec. - Myślę, że są rozmaite. Podobno nie jest wykluczone, że na chłodniejszych planetach mogłyby z substancji zwanej białkiem powstać żywe organizmy.

- Od kogo to słyszałeś?! - zakrzyknął gniewnie Flament.

- Od Imploza. To ten młody student biochemii, który...

- Młody dureń, powiedz raczej! - palnął gniewnie Flament. - Życie z białka?! Żywe istoty z białka? Nie wstydzisz się wypowiadać takich andronów w obecności swego nauczyciela?! Oto są plody nieuctwa i arogancji, jakie szerzą się dzisiaj przestraszające! Wiesz, co należałoby uczynić z tym twoim Implozem? Pokropić go wodą, ot co!

- Ależ, czcigodny Flamencie - odważył się odezwać przyjaciel Kralosza - dlaczego domagasz się aż takiej karności dla Imploza? Czy nie mógłbyś powiedzieć nam, jak mogą wyglądać istoty na innych planetach? Czy nie mogą one posiadać postawy pionowej i poruszać się na tak zwanych nogach?

- Kto Ci to mówił? - Kralosz milczał, przelęknięty.

- Imploz... - wyszeptał jego przyjaciel.

- A dajcież mi już raz święty spokój z waszym Implozem i jego wymysłami! - wykrzyknął uczoney. - Nogi! Rzeczywiście! Jak gdybym jeszcze dwadzieścia pięć Płomieni temu nie udowodnił matematycznie, że istota dwunożna, ledwo byś ją postawił, natychmiast wywróciłaby się jak długa! Sporządziłem nawet odpowiedni model i wykres, ale cóż wy, leniuchy, możecie o tym wiedzieć? Jak wyglądają istoty rozumne z innych światów? Nie odpowiem wprost, sam się zastanów, naucz się myśleć. Najpierw muszą mieć organy do przyswajania amoniaku, nieprawdaż? Jaki narząd uczyni to lepiej od skrzypień? Czy nie muszą poruszać się w środowisku w miarę opornym, w miarę ciepłym, jak nasze? Muszą, co? A widzisz! Jakże czynić to inaczej niżeli obojniami? Podobnie będą się też kształtować narządy zmysłowe - wzroczna, łuspiny i kutrwie. Nie tylko wszakże budową muszą być podobne do nas, pięciorników, ale i ogólnym trybem życia. Wiadomo przecież, że pięciornik jest podstawową komórką naszego życia rodzinnego - spróbuj w fantazji wymyślić coś innego, wyteżaj wyobraźnię, jak chcesz, a ręczę ci, że poniesiesz klęskę! Tak, bo żeby założyć" rodzinę, żeby dać życie potomstwu, muszą połączyć się Dada, Gaga, Mama, Kafa i Haha. Na nic wspólne sympatie, na nic plany i marzenia, jeśli zbraknie przedstawiciela choć jednej z tych pięciu płci - sytuację taką, niestety, zdarzającą się czasem w życiu, nazywamy dramatem czwórni, czyli nieszczęśliwą miłością... Tak więc, jak widzisz, jeśli rozumować bez

najmniejszych uprzedzeń, opierając się wyłącznie na faktach naukowych, jeśli użyć precyzyjnego narzędzia logiki, działając chłodno i obiektywnie, dochodzimy do nieodpartego wniosku, że każda istota rozumna musi być podobna do pięciorniaka... Tak. No, mam nadzieję, że was przekonałem?

## **PODROŻ DWUDZIESTA SZÓSTA I OSTATNIA**

Piętnaście lat mijало od chwili, kiedym opuścił Ziemię, i nostalgia odzywała się we mnie coraz silniej; na koniec postanowiłem odwiedzić strony ojczyste. Decyzję tę powziąłem na Teropii, trzeciorzędnej planecie z układu Wieloryba. Gdy jednak udałem się do portu raketowego, ujrzałem sporą grupę podróżnych czytających w ponurym milczeniu ogłoszenie na tablicy Biura Nawigacji Kosmicznej. Komunikat donosił o wtargnięciu stada wielkich meteorów na szlak raketowy; tak więc, w oczekiwaniu poprawy pogody, spędzałem dni w gronie przygodnych towarzyszy. Był wśród nich pewien młody fanfaron, który opowiadał każdemu, komu tylko mógł, rozmaite historie o planetach, które sam rzekomo zwiedził. Od jednego rzutu oka zorientowałem się, że jest to zwyczajny oszust, i gdy nadarzyła się okazja, przywoździłem jego kłamstwa. Miał on czelność opowiadać w mojej obecności o rzekomych mieszkańcach planety Borelii ze zbioru gwiazdowego w Orionie; twierdził, że żyją tam potwory, rozmiarami dorównujące góróm, zwane Powołami dla niesłychanej powolności procesów życiowych, spowodowanej niską temperaturą i zlodowaceniem planety.

- Wyobraźcie sobie, panowie - wołał - że kiedy w Egipcie panował Amenhotep VI z dynastii tebańskiej, na Borelii spotkały się dwa Powoły. Pierwszy odezwał się: „co słyhać?” - Potem zbudowano piramidy, Aleksander Macedoński podbił Azję i doszedł do Oceanu Spokojnego, Grecja została pokonana przez Rzym, powstało cesarstwo rzymskie narodu niemieckiego, szły wyprawy krzyżowe, islam walczył z chrześcijaństwem, toczyły się wojny Białej Róży z Czerwoną, wojna trzydziestoletnia i stuletnia... a drugi Powół wciąż jeszcze nie odpowiadał i dopiero kiedy Niemcy zwyciężyły Francję pod Sedanem, potwór na Borelii odrzekł: „nic nowego”. Tak nieprawdopodobnie, niesłychanie wolno biegnie życie tych zdumiewających stworzeń; mogę to powiedzieć spokojnie, albowiem sam je widziałem i badałem.

Tu wyczerpała się moja cierpliwość.

- To, coś pan nam opowiedział - rzekłem zimno - jest niecnym kłamstwem.

Gdy stałem się ośrodkiem powszechnej uwagi, wyjaśniłem:

- Aleksander Wielki nigdy nie doszedł do Oceanu Spokojnego, bo jak doskonale wiadomo, zawrócił z drogi w roku 325 przed naszą erą.

Posypały się oklaski; od tej chwili kłamcę otoczyła powszechna wzgarda. Wśród obecnych znajdował się starzec o budzącej szacunek powierzchowności; zbliżywszy się do mnie wyraził uznanie dla mego energicznego wystąpienia w obronie ścisłości i prawdy, po czym przedstawił mi się jako profesor Tarantoga. Uradowałem się niezmiernie, że nareszcie szczęśliwy przypadek nas zetknął. Odtąd aż do końca pobytu na Teropii byliśmy nierozdzielni. Mile płynął czas spędzany na duchowych biesiadach; profesor opowiadał mi o swoim pobycie u Gorgotów z układu Erydana, o badaniach nad Truwankami, tymi niezwykłymi organizmami z Panteluzy, które są najbardziej gadatliwymi roślinami w całym Kosmosie, pokazywał mi też fotografie Odolęgów. Ci ostatni poruszają się w nie znany gdzie indziej sposób, wywracając przy każdym kroku swoje ciała raz na lewą, to znowu na prawą stronę. Z kolei ja podzieliłem się z profesorem spostrzeżeniami zdobytymi w czasie dwuletniego pobytu na Stredogencji: mieszkańcy jej chowają swoich zmarłych w niebie, mianowicie osadzonych w trumnach odpowiedniego kształtu wystrzeliwują z wielką szybkością w przestwór; tak tedy cała planeta otoczona jest rojami grobowców krążących wokół niej niby małe księżyce. Ów latający cmentarz porządnie utrudnia raketową nawigację. Profesor dał mi z wdzięczności za te informacje kopię swego nie opublikowanego jeszcze dzieła o planecie Meopserze i żyjących na niej rozumnych Muciochach. Tyle mi opowiadał o ich niezwykłym zgoła podobieństwie do ludzi, że gorąco zapragnąłem zwiedzić Meopserę. Wahałem się czas jakiś, pomny decyzji powrotu na Ziemię, ostatecznie jednak badacz zwyciężył we mnie człowieka. Prognozy Biura Nawigacji Kosmicznej zapowiadały właśnie doskonałą pogodę, tak tedy, po serdecznym pożegnaniu, rozstałem się z Tarantoga i rozpocząłem przygotowania do startu. Zaopatrzywszy się we wszystko niezbędne, kupiłem też w księgarni obok portu mapę tej części nieba, w której znajduje się Meopsera. Niestety, nie udało mi się dostać nowej mapy, nabyłem więc używaną. Ale pech chciał, że właśnie w pobliżu Meopsery wytarta była do nieczytelności, bo akurat w tym miejscu przebiegało zgięcie papieru. Zaufawszy swemu doświadczeniu wykreśliłem liniijką najprostszy kurs gwiazdowy i wyruszyłem w drogę.

Podróż trwać miała dość długo, wziąłem więc na pokład sporą ilość książek, aby uprzyjemnić sobie czas lekturą; były to dzieła o treści podróżniczej i naukowej, opisujące rozmaite wyprawy transgalaktyczne, teorię kosmodromii, astronautykę sportową i wycieczkową i tym podobne. W miarę czytania moje niezadowolenie i pretensje do autorów rosły nieustannie; na koniec, rozgniewany ich niesumiennością, częstymi pomyłkami,

przekręceniami, ba, wręcz fałszami - postanowiłem zabrać się do radykalnej zmiany tak fatalnego stanu rzeczy, a działając z właściwą mi impulsywnością, natychmiast zasiadłem do pisania. W ten właśnie sposób narodziły się niniejsze pamiętniki. Pisałem przez cztery tygodnie dniem i nocą i nawet zmożony snem nie wypuszczałem pióra z ręki. Tak bardzo zatopiłem się w tym dziele, tak barwne krajobrazy planet stawały mi przed oczami, tak żywy tłum postaci otaczał nieustannie mój pulpit tłocząc się w niecierpliwej chęci dostania się na karty rękopisu, że całkiem zapomniałem, gdzie jestem i dokąd lecę. Pewnej nocy z krótkiego, lecz głębokiego snu, w który zapadłem opierając głowę na stosach manuskryptów, wyrwał mnie potężny wstrząs. Zerwałem się i skoczyłem do okna. Na zewnątrz panowała zupełna ciemność. Zbadałem wnętrze rakiety, a stwierdziwszy, że jest nie uszkodzona, doszedłem do wniosku, iż musiał się o nią otrzeć jakiś meteor. Nie czując potrzeby snu wróciłem do pracy. Pisałem tak przez wiele godzin, gdy wtem zauważyłem, że w rakiecie robi się coraz jaśniej. Powtórnie podszedłem do okna i jakież było moje zdumienie, kiedy ujrzałem rozległe pola pokryte bujną roślinnością i niebo nad nimi zaróżowione świtem. Bez wahania otworzyłem klapę. Robiło się coraz jaśniej, wysoko płynęły chmury, łagodny wiatr szumiał kołyszając konarami drzew. Moja rakietka z impetu wryła się do połowy w piaszczysty, miękki wzgórek; tak tedy wylądowałem na Meopserze dość nieoczekiwanie dla samego siebie. Potrząsnąłem z uśmiechem głową nad moim roztargnieniem, schowałem manuskrypt do szafki i opuściłem raketę udając się na poszukiwanie mieszkańców nie znanego globu.

Minąwszy łagodną pochyłość porosłą małymi roślinkami, natrafiłem na coś w rodzaju prostej jak strzała, szerokiej drogi. Szedłem nią, ciesząc się świeżością poranka. Rozglądając się po okolicy doszedłem do wniosku, że profesor Tarantoga nieco przesadził: planeta jest rzeczywiście podobna do Ziemi, ale ma bledsze, nie tak niebieskie niebo. Także chmury zdawały mi się nie spotykanego na Ziemi kształtu.

Zza zakrętu drogi wyłoniła się jakaś istota; gdyśmy się dostatecznie zbliżyli, stwierdziłem, że wyglądem przypomina młodego mężczyznę; tutaj przyznałem Tarantodze rację. Zanotowawszy to spostrzeżenie zbliżyłem się do napotkanego, ugiąłem lekko kolana, zatoczyłem rozłożonymi rękami koło, co jest zwykłym powitaniem w południowych obszarach Galaktyki, i spytałem, czy jestem na Meopserze i czy mam przyjemność z Muciochem. Istota najpierw szeroko otworzyła oczy, potem cofnęła się o dwa kroki i odezwała się:

- Czego? Nie rozumiem.

Język, jakim przemówiła, był mi znany; nie mogłem sobie jednak przypomnieć, w jakich okolicach nieba się nim posługują, rzecz bynajmniej nie dziwna u człowieka jak ja,

władającego narzeczami trzystu bez mała plemion galaktycznych. Choć nie pamiętałem, gdzie używają tej mowy, mogłem się nią jednak posługiwać, spytałem więc, czy jestem na Meopserze, i ponowiłem koliste ruchy rąk wyrażając tym moje przyjazne uczucia. Na to istota najpierw zaczęła powoli cofać się tyłem, potem zaś odwróciła się nagle i pomknęła przed siebie w ogromnych susach; po minucie znikła mi z oczu.

- Jakiś płochliwy egzemplarz - pomyślałem, zapisałem obserwację i ruszyłem przed siebie. Niebawem napotkałem drugą istotę; szła także drogą, była znacznie mniejsza od pierwszej, najwyraźniej jeszcze niedojrzała, i tocząc przed sobą rodzaj drewnianego kolorowego krążka, wydawała głośne okrzyki; musiał to być rodzaj śpiewu. Zagadnąłem ją podobnie jak pierwszą - znieruchomiła i nic nie odpowiedziała. Ponowiłem pytanie i gesty powitalne, a wtedy nagle przykucnęła, wsadziła małe palce do otworu gębowego, rozciągnęła go po uszy, a wolnymi palcami przebierała równocześnie przy twarzy, jakby grając na niewidzialnym instrumencie, potem zaś skoczyła na równe nogi i wołając głośno: „med, med!” - uciekła przez pola. Słowo „med” oznacza, o ile mogłem sobie przypomnieć, coś w rodzaju opętanego, zapisałem więc, że na Meopserze szaleńcy poruszają się swobodnie na drogach publicznych i o swym stanie ostrzegają przechodniów okrzykiem, za czym ruszyłem w drogę.

Kilka kilometrów dalej nad niewielkim stawkiem siedziała na brzegu istota odziana w białą materię w zielone, niebieskie, liliowe i pomarańczowe paski. Przyrządem podobnym do wędkę łowiła ryby. Zbliżyłem się do niej ostrożnie, dbając o wyrażenie ruchami i postawą uczuć przyjaznych i spytałem raz jeszcze, czy jestem na Meospserze. Istota popatrzyła na mnie badawczo, potem zaś rzekła:

- Co za kawały? Jaka Meopsera? To jest Merka.

- Jak? - spytałem. Nie znałem takiej planety.

- Merka. Skądęś się tu wziął?

- Przyjechałem niedawno - odparłem wymijająco; wiem z doświadczenia, jak nieufni bywają czasem mieszkańcy planet wobec obcych.

- A kim ty jesteś? - spytałem z kolei.

- Ja? Jestem miejscowy „dok”.

Siadłem obok istoty i zacząłem wypytywać ją o rozmaite rzeczy. Mówiła tak szybko i niewyraźnie, że połowy nie rozumiałem, ostatecznie jednak dowiedziałem się, że planeta, na której wylądowałem, w samej rzeczy nazywa się Merka, mieszkańcy jej zaś zwą siebie Merkanami; dok - oznaczało zawód, podobny do lekarskiego.



Ta trzecia istota okazała się bardziej uprzejma; za wzgórkami stał jej wehikuł i zaproponowała, że mnie podwiezie do pobliskiego osiedla, na co z chęcią przystałem. Po drodze dok odpowiadał na moje pytania, tak że zorientowałem się z grubsza w panujących na Merce warunkach. Merkanie posiadają wysoko rozwiniętą cywilizację; w pobliżu Merki krążą liczne inne planety, jak Czaj na i Rasza; między tą ostatnią a Merka panuje wrogość. Niebawem rozmowa zakończyła się, gdyż dojechaliśmy do osiedla. Tutaj dok dał mi w upominku nieco planetarnych środków płatniczych i załatwiwszy formalności wsadził mnie do żelaznego wehikułu, który jechał do metropolii zwanej Niuouk. W kabinie wehikułu znajdowało się już kilka istot. Jedną z nich, niezbyt młody, wyłysiały samiec, siedział naprzeciw mnie. Osobnik ten przez całą drogę mówił nieustannie, wymachując rękami i opryskując mnie śliną, co cierpliwie znosiłem. Przysłuchiwałem się pilnie rozmowie; nie było to łatwe ze względu na bełkotliwą wymowę. Chwytałem tylko okruchy, ale i tak dowiedziałem się, że na Merce żyją istoty najróżniejszej barwy - czarne, białe, czerwone, a nawet zielone; o tym ostatnim fakcie poinformowało mnie odezwanie się łysiego samca:

- Co, mój współnik? Ależ on jest zupełnie zielony. Samiec opowiadał, że opływa w dostatek, ponieważ wynalazł nowy, bardzo silny jad.

- Palenie i topienie zboża - mówił - to procedura kosztowna i kłopotliwa, a mój środek załatwia wszystko w dziesięć sekund; ćwierć kubka starczy na sześć worków zboża czy owoców; pokropi się to i gotowe. Kto by spróbował zjeść, fajnie na miejscu.

Tak mnie to zafrapowało, że spytałem, czy niszczenia żywności jest u nich rozrywką, czy też obyczajem narodowym?

Wszyscy zwrócili na mnie oczy, a samiec wymachując gwałtownie rękami zaczął mówić tak krzykliwe, że nic nie rozumiałem: powtarzał wciąż wyrazy „Rasza” i „propaganda”, przy czym zadyszał się i spocił. Nie chcąc drażnić tego agresywnego osobnika uciszyłem się. Jakiś czas panowało milczenie, potem rozmowa potoczyła się dalej. Pojawiło się w niej nowe słowo: „Ejbom”. Z uszanowania, jakie okazywali, wymawiając je, wywnioskowałem, że jest to jakieś ich bóstwo; czczą je pod postacią kolumny ognia i dymu, zstępującej z nieba. Wydało mi się to analogią do Jehowy ze Starego Testamentu i zrobiłem odpowiednią notatkę, potem jednak wspomnieli coś o ofiarach z ludzi, zanotowałem więc, że przedmiotem ich kultu religijnego jest bóstwo krwiożercze i straszne, w rodzaju babilońskiego Baala. Ostatnia ich wzmianka poważnie mnie zaniepokoiła, ale nie dałem tego po sobie poznać.

Nareszcie za oknem pojawiły się olbrzymie, w niebo wznoszące się wieże; dojeżdżaliśmy do Niuouku. Stację pokrywał metalowy dach, tysiące machin huczało, syczało

i gwizdało ze wszystkich stron; istne rzeki Merkanów wypadały z nadjeżdżających wciąż wehikułów i pospiesznie parły do wyjścia. Przyłączyłem się do nich; w ciżbie nieustannie potrącano mnie i popychano; ulica, na której się znalazłem, pełna była mknących pojazdów i tłumów pieszych. Nie oddaliłem się jeszcze o trzysta kroków od stacji, gdy powietrze rozdarło przeraźliwe wycie syren; równocześnie wszyscy Merkanie rzucili się do ucieczki, wołając: „Ejbom, Ejbom!” Pojazdy stanęły, za to środkiem ulicy przelatowały z olbrzymią szybkością wielkie wozy pomalowane w pręgi czerwone i srebrne, z których wydobywał się potężny głos nawołujący do oddawania czci Ejbomowi przez upadnięcie na twarz. To jeszcze bardziej przypominało mi kult Baala, owego strasznego, wewnątrz pustego bałwana z miedzi; jak wiadomo, kapłani przemawiali z jego wnętrza do ludu żądając krwawych ofiar. Ulica zupełnie opustoszała. Zdezorientowany, pełen najgorszych przeczuć, pobiegłem najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Kilkaset kroków dalej zatrzymał się na skrzyżowaniu wielki pojazd; cztery czarno odziane istoty w maskach wyrzuciły na bruk wysoki metalowy cylinder i podpaliły jego zawartość. Natychmiast buchnęły ogromne kłęby czarnego dymu zatapiając całe otoczenie. Rozumiejąc, że to kapłani okadzają miejsce, na które zstąpić ma wedle ich mniemania Ejbom, w obawie, żeby nie obrazić ich uczuć religijnych, położyłem się na brzuchu i z niepokojem oczekiwałem dalszych wypadków. Jakoż może po minucie usłyszałem nadciągające wycie syreny. Tuż przy mnie stanął długi, niski wehikuł; wypadło z niego pięciu czarnych kapłanów w maskach. Najwyższy zawołał:

- Bardzo dobrze, tak właśnie trzeba leżeć przepisowo. - Dwaj inni chwycili mnie mocno za ramiona i unieśli, a czwarty przyczepił mi do piersi mały prostokąt z jakimś napisem. Usiłowałem się opierać, wtedy piąty kapłan, który stał z boku i obserwował całą scenę, przez ciemne szkła maski, krzyknął ostro:

- Jesteś trupem, kładź się zaraz.

- Nie jestem trupem - zawołałem przerażony.

- Nie wygłupiaj się, tylko zaraz się kładź tu - wołał kapłan. Dał znak podwładnym, którzy powalili mnie przemocą i przywiązali do czegoś w rodzaju rusztowania z dwu drągów i płótna. Pojmując, że zbliża się moja ostatnia chwila, broniłem się ze wszystkich sił. Coś chrupnęło mi w rękę, poczułem dotkliwy ból i zaniechałem walki. Kapłani porwali rusztowanie, podnieśli je wraz ze mną i wepchnęli do wnętrza wehikułu. Jakiś czas było cicho, potem usłyszałem bliski okrzyk oraz odgłosy szamotania; chwyтали drugą ofiarę. Po minucie wepchnięto do wehikułu i umieszczono nade mną Merkana, unieruchomionego podobnie jak ja.

Potem najwyższy kapłan zawołał:

- Jeden trup, jeden żywy, z poparzeniami trzeciego stopnia, trzysta metrów od punktu Zero, jazda.

Wehikuł zawył i pomknął z szalonym pędem. Nie mogłem przemówić; łyzy zakręciły mi się w oczach, że w tak tragiczny sposób mam zginąć. Na koniec odezwałem się do mego towarzysza niedoli pytając, co się z nami stanie.

- Żeby to wszystko w dryzgi poszło - odpowiedział - pół dnia co najmniej się zmitręży; czeka nas jeszcze cała ceremonia: mycie, kąpanie - potworność!

Zadrzałem. Nie było wątpliwości: Aztekowie podobnie obchodzili się z przeznaczonymi na ofiarę.

- Czy... bardzo będą nas torturować...? - spytałem.

- Wystarczająco. Już drugi raz mi się to zdarza w jednym miesiącu; żeby to nareszcie piorun strzelił! Swoboda, psiakrew!

To, że ów Merkan przeżył już jedną ceremonię ofiarną, dodało mi nieco otuchy. Pragnąłem dowiedzieć się, co się z nami stanie, ale obawiałem się urazić jego uczucia religijne, więc spytałem ostrożnie, czy jest wierzący.

- Tak - odparł - albo co?

- Ach nic - odrzekłem - chciałem tylko wiedzieć, co oznaczał ten obrzęd na ulicy?

Najpierw długo nie odpowiadał, potem zaś rzekł tonem zdziwienia:

- Czyś się pan z drutu urwał? Musi pan być przyjezdny, chyba z prowincji?

- Tak - odparłem - jestem z prowincji galaktycznej; przybyłem tu niedawno i nie znam waszych obyczajów, więc proszę nie wziąć do serca mego pytania. Czy Ejbom jest waszym bogiem, a nas przeznaczono na ofiary?

Merkan nade mną zaczął się śmiać, potem nagle przestał i głośno zaklął:

- Kawalarz z pana - rzekł - ale to prawda. Istotnie, Ejbom jest naszym bogiem, ale już nam to jego panowanie bokiem wyłazi. Pomyśleć - rozgniewał się - akurat mnie musieli złapać, i to drugi raz. Co tydzień celebrują to święństwo, spokojnie na ulicę wyjść nie sposób, wszędzie syreny, gwałt, panika, legitymowanie - zwariować można. A skutek taki, że strach jest coraz większy. No, już jesteśmy.

Cos mignęło za oknem, rozwarły się wielkie wrota i znaleźliśmy się na podwórzu ogromnego budynku. Ledwo mnie wyniesiono z wehikułu, zawołałem, że mam wykręconą rękę; miałem niejaką nadzieję, że to mnie uchroni od całopalenia, albowiem pamiętałem z historii, że barbarzyńskie plemiona nie składały w ofierze chorych. Jakoż po pięciu minutach zawieziono mnie do ciemnego pokoju, gdzie zajęły się mną trzy istoty odziane białą od stóp do głów; pojąłem, że to kapłani bóstwa walczącego z Ejbomem, gdyż oświadczyli mi, że nie

spotka mnie nic złego. Dowiedziałem się, że mam złamaną kość szprychową. Nałożono mi opatrunek i niebawem umyty, ostrzyżony do skóry i namaszczony jakimś olejkim o silnym zapachu, leżałem na sali pośród trzydziestu Merkanów. Wszyscy kleli przeraźliwie. Jak słyszałem, dostali się tutaj w podobny sposób co ja. Jednemu złamano obojczyk, drugiemu nogę, trzeciego podeptano na schodach do kolei podziemnej. Pewien starszy osobnik zrywał się co chwila z łóżka wołając, że zostawił w domu małe dziecko i płonący ogień, lecz nie pozwolono mu wyjść.

Potem nadeszła biało odziana istota, poprawiła mi poduszkę i oświadczyła:

- Niech się pan nie przejmuje, za każdym razem mamy co najmniej kilkadziesiąt takich wypadków; w ubiegłym miesiącu zgnieciono na śmierć trzy staruszki. Teraz będzie pan mógł spać, tylko proszę mi podać adres, na który mamy przesłać rachunek.

Nie wiedząc, co rzec, wymówiłem się bólem głowy. Gdy pozostałem sam, raz jeszcze przeszedłem myślą niezwykle wypadki, jakie zdążyłem przeżyć w tak krótkim czasie; nic podobnego nie zdarzyło mi się na żadnej z tysiąca planet, jakie zwiedziłem. Po obiedzie wpadło nagle na salę kilkunastu rośłych Merkanów. Obstąpili łóżka i wypytywali nas o wrażenia. Jeden dowiedziawszy się, że jestem cudzoziemcem, zainteresował się mną; stawialiśmy sobie nawzajem rozmaite pytania. Dopiero od niego dowiedziałem się, że to, co wziętem za obrzęd religijny, było tylko próbnym atakiem atomowym.

- Co, toczycie wojnę z inną planetą? - spytałem.

- Nie.

- Więc po co te ćwiczenia?

- Bo jesteśmy zagrożeni.

- Ach wiem - przypomniałem sobie słowa doka - zagraża wam Rasza, prawda?

- Tak.

- Okropne. To Rasza stworzyła tę broń, co?

- Nie, to myśmy ją wynaleźli.

- Ach tak? - rzekłem - ale Rasza wam zagraża? A czy nie możecie się jakoś z nią porozumieć? Na przykład zażądać zakazu użycia tej broni?

- Była już taka propozycja.

- No i co?

- Została odrzucona.

- Rozumiem, Rasza nie zgodziła się na nią?

- Nie, to myśmy ją odrzucili.

- Dlaczego?

- Bo jesteśmy zagrożeni.

- Rozumiem - rzekłem po zastanowieniu. Rasza użyła już przeciw komuś tej broni i boicie się, że teraz...

- Nie, to myśmy jej pierwsi użyli. Zniszczyliśmy dwa miasta Dżepów.

- Tak? Ale teraz Rasza grozi zapewne, że użyje jej przeciw wam?

- Nie. Głosi, że pragnie pokoju.

- Pokoju?... To nieco dziwne - rzekłem. - Zaraz... już chyba wiem: ona powiada, że chce pokoju, ale równocześnie masowo przeprowadza takie próbne ćwiczenia przeciwatomowe we wszystkich miastach, co?

- Nie - odparł Merkan. - Byłem tam miesiąc temu; oni nie urządzają żadnych ćwiczeń.

- Nie urządzają?

- Nie.

- Więc czemu wy je urządzacie?

- Bo jesteśmy zagrożeni.

- Przez kogo?

- Przecież mówiłem już. Zagroza nam Rasza.

- Tak? - odparłem. - Muszę przyznać, że zupełnie tego nie rozumiem. Widocznie logika, jakiej używacie, jest inna od ziemskiej.

Zauważyłem, że od dłuższej chwili przysłuchuje się nam jakiś niski osobnik, który przy ostatnich słowach mego rozmówcy gdzieś znikł. Gdy wszyscy wyszli, Merkan leżący na drugim łóżku rzekł do mnie:

- Jesteś pan nieostrożny; nie należy mówić takich rzeczy; można za to drogo zapłacić.

Nie zdążyłem jeszcze odpowiedzieć, gdy wtem na salę weszło głośnym krokiem czterech wysokich Merkanów odzianych w granatowe stroje. Kazali mi natychmiast wstać i iść za sobą. Zjawiła się biała istota i próbowała mnie bronić, mówiąc, że jestem chory i mam złamaną rękę, ale to nic nie pomogło. Odziano mnie pospiesznie i sprowadzono na dół, gdzie czekał już duży czarny wehikuł. Pomknęliśmy szybko i po kilku minutach stanęliśmy u celu. W budynku, do którego mnie wprowadzono, panował ogromny ruch. Po jakimś czasie wepchnięto mnie do jasnego pokoju. Za biurkiem siedziało trzech Merkanów. Najwyższy zażądał moich papierów. Przejrzawszy je zatrząsł się cały, uderzył pięścią w biurko i krzyknął:

- Pan jesteś Merkan?

- Nie - odparłem - jestem człowiekiem.

- Ja ci dam drwiny - ryknął, zrywając się na równe nogi. - Skąd się tu wziąłeś?

- Przyjechałem niedawno...

- Przyjechałeś? Mamy ptaszka. Przyznajesz się?

- Do czego?... Co to znaczy? - zawołałem.

- Nie kręć, to ci nie pomoże. Bomba atomowa ci się nie podoba, co? Szpiegowałeś na rzecz Raszy?

- Ależ nigdy - krzyknąłem - nie byłem nawet na tej planecie...

- Mówię ci, nie graj wariata, bo pożałujesz - ryknął najwyższy.

- Czegoś szukał u nas, co?

- Leciałem do Meopsery, do Muciochów, a ponieważ mapa była wytarta, dotarłem przez pomyłkę tu, na Merkę...

- Ty draniu! - ryknął najwyższy. Potem nagle się uspokoił i rzekł:

- Jak posiedzisz jakiś czas, odechce ci się sztuczek. Wiesz doskonale, że nie jesteś na żadnej Merce, tylko przed Komisją do Badania Działalności Antyamerykańskiej w Stanach Zjednoczonych. Najpierw krytykujesz naszą politykę zagraniczną, a potem udajesz niewiniątko?

- Nie bój się, już ty mi zaśpiewasz. Nie takich obwijałem wokół małego palca.

W tym momencie jakby mi łuski spadły z oczu. Od spotkania pierwszej istoty nękało mnie, że w żaden sposób me mogę sobie uświadomić, co mi przypomina język tubylców. Teraz zaświtało mi w głowie: ależ oczywiście, to' był zniekształcony i wykoślawiony język angielski. Padłem ofiarą pomyłki spowodowanej w dużej mierze różnicami wymowy: Merka - to była America, Rasza - Russia, Czajna - China, Ejbom - A-Bomb i tak dalej...

Włosy stanęły mi dęba; nigdy jeszcze nie znajdowałem się w takiej opresji. Przeczuwałem, że los mój będzie opłakany, i nie myliłem się; albowiem słowa te piszę w więzieniu śledczym Nowego Jorku, gdzie przebywam już czwarty miesiąc. Obawiam się, że podróż do Meopsery przyjdzie mi odłożyć na czas nieograniczony...